NRLF-1
MAIN

WYDAWNICTWO IMIENIA M. BRZEZIŃSKIEGO.

HELENA WÓJCICKA.

JAN KOCHANOWSKI

W CZARNOLESIE.

Według powieści

Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

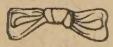

WARSZAWA. — 1921.
„KSIĘGARNIA POLSKA" POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ.
WARECKA 15.

Printed in Poland

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

DRUK KLAMKOWSKIEGO I RAJSKIEGO
WARSZAWA, CIASNA 5 (przy Ś-to Jerskiej)

ROZDZIAŁ 1.

Było to 1584 roku, w drugi piątek po Wielkanocy. Czas był nadzwyczaj piękny. Słońce dogrzewało, trawniki się zazieleniły, niektóre kwiatki pokazywać się zaczęły, nawet kilka drzew listki puściło. Korzystając z tej wczesnej, a przeto tem milszej wiosny, Jan Kochanowski siedział sobie więcej niż od godziny w ogrodzie i dumał.

Z pogody wysokiego czoła, z jasności łagodnej twarzy, z uśmiechu widać było miłe jakieś dumanie, bo też i wszystko również do pana swego się śmiało. Wioska, gniazdo i dziedzictwo ojcowskie, zamieszkana przez szczęśliwszych, niż gdzieindziej, kmieci; dom dostatni, gospodarstwo dobrze urządzone, sad i pola obiecujące, sąsiedztwa liczne, pokrewne i zgodne; a gdy bliżej siebie spojrzał, jakiż miły widok wpadał mu w oczy!

Żona, zacna Hanna Dorota Podlodowska, młoda jeszcze i piękna, nadzieją siódmego dziecięcia poważna, siedziała o kilka kroków z najstarszą córką, hożą, czarnooką Ewą; obie z matką przędły na wyścigi len miękki i włóknisty. U nóg ich troje dziewcząt od lat siedmiu do trzynastu: Dorota, Marychna i Hanna, siedziały nad przetakiem cukrowego grochu, który przebierały pilnie, wyrzucając nikczemne i uschłe ziarnka, do sadzenia niezdatne.

Nieco dalej, pod ciennikiem chróścianym, którego chmielowa zasłona jeszcze nie urosła, kryła się, odmawiając półgłosem pacierze, druga z kolei córka Kochanowskiego,

pobożna, jak ją zwano, Ludwina. Nareszcie na łące, wśród młodziuchnej trawy, biegało śpiewając dziecię, a raczej aniołek. Koszulka z krezą, jak śnieg biała, nie była bielszą od ciałka, ciemno-błękitny letniczek błękitniejszy od oczów, ani krzyżyk, co na piersiach wisiał, więcej złoty od włosków kręconych. Kochanowskiego oczy ku tej miłej dziecinie zwracały się najczęściej, nakoniec zawołał Urszulki. Co tchu przybiegła, a patrząc ojcu i matce w oczy, pytała:

— Wołacie mnie, czy jest co na wasze usługi?

— Nie, pieszczoto moja — odpowiedział ojciec, biorąc ją na ręce i przytulając mocno do siebie — nic; ale powiedz mi, ty, co z aniołami w częstych rozmowach być musisz, powiedz: przyjedzie dziś ten, co go widzieć pragnę? Przyjedzie dziś Jakób, brat matki twojej, którego już blisko pięć lat nie widzieliśmy?

Z fiołków, które dziewczynka rwała, jeden zaczepił się za bramowania letniczka, dostrzegła go, wzięła, a zamiast odpowiedzi, rwąc ostrożnie po listku, mówiła, przechylając śliczną główkę i patrząc na ojca: „nie przyjedzie, przyjedzie". Właśnie ostatni listek urwać miała, kiedy szczekanie psów i stąpanie koni oznajmiło, że ktoś obcy przyjechał, i w tej samej chwili pokazał się młodzieniec może dwudziestoletni, rosły, gruby i rumiany, z wielkiemi, wytrzeszczonemi oczyma, który szedł zwolna, jak gdyby miał cztery razy tyle wieku. Suknia jego kosztowna, ale dobrze powalana i obdarta, szabla wlokła się za nim niby pożyczana, a pas, którego widać bał się ściągnąć, zapewne przez wzgląd dla już szanownego brzuszka, spadać mu chciał, tak że go co chwila musiał poprawiać. Włosy jasne, dosyć rzadkie, były potargane i gdzieniegdzie pierze z nich wyglądało, zupełnie jak u człowieka, co dopiero wstał z pościeli. Trzymał pod ramieniem bułkę chleba, i ofiarował ją Ewie, mówiąc:

— Udały się dziś zemły naszej starej Jagience i przywożę wam największą, jeszcze cieplusieńką...

Dzieweczka ukłoniła się z uśmiechem, a pani Kochanowska spytała uprzejmie:

— A czemu to tak późno, panie Franciszku? czemuż nie na obiad?

— Okrutnie późno jadacie, pani stryjenko — a ja tak długo wytrzymać nie mogę, natychmiast omdlewam. I jął przyciskać żołądek, jak gdyby mu się słabo robiło.

— Jeżeliście już po obiedzie, możebyście co przekąsili? — zapytała znowu — mamy jeszcze placki i kołacze wielkanocne.

— Przekąsić jak przekąsić, alebym się chętniej napił. Dziś post święty; obiad był lichy, same ryby; dokładałem, jak mogłem, pierogami, grochem, śliwkami, kapustą surową i jakoś mi to pragnienie sprawiło.

— Przynieście mu piwa—zawyrokował ojciec: — pan Franciszek za młody na miód i wino.

Tu pachołek przyniósł dzban piwa, a pan Franciszek wnet wysuszył go do kropli. Kochanowski ledwie usta w swoim kuflu umoczył; nie uśmiechnął się nawet na komiczną figurę, jaką wystawiał młodzieniec, z owym dzbanem, równie jak on sam, okrągłym.

— A, Bóg wam zapłać! uraczyłem się — przemówił pan Franciszek; — ale coś mi pan stryj nieswój i zamyślony; może pan stryj dziś z suchotami przy piątku? To licha warto!

— Ani ja z choroby, ani też z głodu takim, jak mnie widzisz — przemówił Kochanowski z półuśmiechem; — ale jeśli mam ci wyznać prawdę, synowczyku, właśnie kiedyś się pokazał, o kim innym my tu myśleli.

— O kimże takim? któż to ma zjechać? może pan jaki, albo mędrzec? Uciekam, ja się ich boję jak głodu i wojny!

— Nie uciekaj! brat to mojej Hanny, podkoniuszy królewski, nie pan ani mędrzec, ale dzielny żołnierz i mąż zacny,

jakich nawet w Rzeczypospolitej mało; więcej on bitew odbył, niż ty, bratku, czytał o nich; mój przyjaciel pierwszy, jedyny... bo tylko jeden może być przyjaciel prawdziwy, jak Bóg jeden, jedna żona, jedna matka i ojczyzna jedna... Myśmy z Jakóbem Podlodowskim jednego dnia się rodzili, w wigilję św. Jana, ja przyszedłem na świat w Sycynie, gdzie wtedy moi rodzice mieszkali, on w Studzienicy na Podolu. Spotkaliśmy się po raz pierwszy na dworze hetmana Jana Tarnowskiego i zaraz serca nasze do siebie przystały. Zaraz wtedy zawiązaliśmy gorącą i nigdy nierozwiązaną przyjaźń — żyliśmy jako jedna dusza, zachęcając się wzajemnie do cnoty, męstwa i nauki. On pokazywał mi, jak bronią robić, jam go w nauce i wierze oświecał. Od tej chwili losy rozmaicie mną miotały. Najprzód spokojny nauk wyznawca i dworzanin, byłem czas jakiś żołnierzem, zwiedziłem Niemcy, Włochy, Francję, potem w królewskich komnatach bawiłem, pókim nareszcie nie wrócił do pól piaszczystych, do czarnych lasów, — przecież na chwilę ani ja dla Jakóba, ani on dla mnie się nie zmienił...

— Dziatki moje! — dodał, zwracając się do córek — każda z was, gdy pożyje dłużej, pozna silną władzę pierwszych związków. Młodość wiosna to serca i życia; co w nie zasiejesz, wzrośnie. O! nie marnujcie uczuć waszych i myśli nie rzucajcie na świat! Kto za młodu nic nie przysposobi, ten w wieku dojrzalszym nie będzie miał po co się schylić.

Lecz piękne słowa poety przerwał pan Franciszek, wołając:

— Panie Boże odpuść, a wszak ci to ja zapomniałem, pocom tu dziś przyjechał. Panią matkę coś bardzo boli: czy kolano, czy bok, doprawdy nie pamiętam, ale boli; Jagienka naraiła jej lekarstwo i mnie przysłali po nie. Wy podobno, stryjenko, macie — jak się nazywa — te czarne robaki?

Ledwie dosłyszała te słowa Ludwina, natychmiast z domowej apteki wróciła z mendlem pijawek. Kochanowska dopytywała się tymczasem pana Franciszka o słabość jego matki, ale on jej nic powiedzieć nie umiał: znać, że i sam nie wiedział. Natomiast z niezwyczajnym pośpiechem wziął pijawki, raz się tylko zapytał, czy nie przebiją papieru i czy go nie ukąszą, pożegnał się i pojechał ze swoim pachołkiem, któremu jednak, dla większego bezpieczeństwa i wygody własnej, oddał słoik, skoro tylko wyjechał za wrota.

Kochanowska, patrząc za nim, zamyśliła się smutnie, Ewa ruszyła ramionami, Kochanowski zaś uśmiechnął się litościwie i powiedziawszy półgłosem: „Pieszczoch, jedynak!“ zaczął przechadzać się po prostej ulicy, prowadzacej do domu. Ledwo ją parę razy przeszedł, kiedy znów stąpanie konia, ale nierównie prędsze, niż pierwej, dało się słyszeć, a w chwilę później rozległ się radosny krzyk Ewy:

— Dobra wieść, dobra wieść! Posłaniec od pana podkoniuszego przyjechał, zapowiadając nam przybycie jego na jutro.

ROZDZIAŁ 2.

Radość podobno snadniej od smutku sen z powiek oddala, może dlatego, że człowiek, choćby też do liczby najszczęśliwszych należał, mniej jest z nią oswojony. Lubo u nas w kwietniu noc przespać nie sztuka i słońce już nie leniwe, przecież Kochanowski wyprzedził słońce, rad był zacząć co prędzej ów dzień pomyślny, który go miał złączyć z przyjacielem po kilku leciech niewidzenia. Wstał więc z jutrzenką, spiął piaskowy kontusz, przypasał szablę, czapkę na uszy nasunął, koszturek wziął w rękę i zwrócił się ku drodze, by iść póty, póki upragnionego gościa nie spo-

tka, kiedy przybiegła do niego ulubiona Urszulka, śliczniejsza niż kiedybądź, wołając:

— Ojcze! chodźcie ze mną na łąkę! kwiatów dla gościa narwać trzeba.

Poszedł, ulegając, jak zawsze, woli dziecięcia i mówiąc sobie: — Potem na drogę wyjdę.

A kiedy ona, biegając i śpiewając, zaczęła składać snopek wiosenny, on jej spytał:

— Szczebiotko! Wiesz, kto przyjedzie?

— O, wiem — odpowiedziała, jakby nie przerywając śpiewania:

Przyjedzie tu rycerz, ojcu, matce drogi,
A ja te kwiateczki rzucę mu pod nogi.

— Pieszczoto moja!—zawołał Kochanowski, siadając na trawie i otwierając ku niej ramiona, w które ona pędem wbiegła — i cóż mu powiesz?

— Oto mu zaśpiewam — zawołała dzieweczka:

Nie znałeś Orszulki *), a ona cię kocha;
Poznałeś ją teraz, pokochajże trocha!

— A za cóż ty go kochasz? — spytał ojciec, odchodząc prawie od zmysłów ze zdziwienia i jakby zapominając, że z dzieciną rozmawia, że może nadużywa władz rozumu, budzącego się zawcześnie.

Tu dziewczynka, zadumawszy się trochę, uroczystym głosem wyrzekła:

Tak Bóg przykazał; czyż tego nie wiecie?
Kto kocha ojca, tego kocha dziecię.

— O Boże! — zawołał Kochanowski w uniesieniu, powstając i porywając dziewczynkę — jakaż cudowna śpiewaczka! Chodź, słowiczku mój, powtórz matce piosenki, a nie zapomnij zaśpiewać tak samo wujaszkowi!

*) Za czasów Kochanowskiego mówiono powszechnie: *Orszula, Orszulka.*

— O, już zapomniałam — mówiła zakłopotana dziecina — może inne przyjdą. Tam jest lepszych siła — dodała, przytykając rękę do wysokiego czoła; — biedуję się często, a wyjść nie mogą, aż czasem bolą. Ale, ojcze, patrzcie, co tam widać na gościńcu! coś błyszczy: rycerze jadą!

I dobrze widziała dziewczynka. Podlodowski jechał na dzielnym ukraińskim koniu. Już niemłody, ale jeszcze ciemnego włosa i nadzwyczaj piękny, był uzbrojony jakby na wyprawę wojenną. Obok niego młodzieniec hoży i gładki, takoż zbrojny i jeszcze suciej ubrany, harcował na cisawym arabskim dzianecie. Stanęli oboje Kochanowscy z córkami na ganku, wołając radośnie:

— Witajże nam, witaj, przyjacielu i bracie! Witaj z tymi, co ich w progi nasze wprowadzasz!—dodali, widząc nieznajomego młodzieńca. Zaczęły się uściski, pokłony, pozdrowienia.

Czemu Ewa spłonęła rumieńcem, kiedy pan podkoniuszy wyrzekł, pokazując na towarzysza swego:

— Oto mój syn przybrany, Filip Owadowski, herbu Łabędź; nie on-ci mnie, ja jemu winienem życie, ale miłuję go jak syna i wy go za takiego mieć raczcie!

Czemu Ewa spłonęła? niech to młode dziewczęta odgadną.

Dwaj przyjaciele, po długiej rozłące krótkie i policzone chwile mając do spędzenia razem, gdyż pan podkoniuszy dziesięć tylko dni bawić przyobiecał, nacieszyć się sobą nie mogli. Jakkolwiek Jakób, dzielny, siarczysty, rubaszny, różnił się zupełnie obejściem i urodą od łagodnego, wdzięcznego spojrzenia, słodkiego języka Jana, owego miłośnika pokoju i wiosny, — przecież sercem zgadzali się i pasowali do siebie. Czyż tylko tych, co czytają, piszą i rymują, zwać można poetami? Są poeci czynu, w ich życiu jest poezja; z tych liczby był Podlodowski.

I młodzieży kółko nie uskarżało się bynajmniej na leniwość godzin i brak rozrywek. Filip Owadowski wnet zapoznał się i zaprzyjaźnił z dziewczętami, jak gdyby w rzeczy samej ich krewnym był się urodził. Nie było wtedy w obyczajach młodzieży tyle przymusu, co dziś; większa daleko niewinność panien, mniejsze zepsucie mężczyzn łatwiejszy dawały przystęp uczciwej poufałości. I tak, kiedy Podlodowski dzielił z Kochanowskim wszystkie jego sprawy, kiedy z nim jeździł w pole, koło gospodarstwa chodził, w sadzie pracował, sieci na ryby zarzucał, a nawet niejedną godzinę trawił nad księgami i papierami, dokumenta do wojny gdańskiej porządkując i bogacąc, Filip ledwie mógł nadążyć z opowiadaniem ciekawym dziewczętom na ich pytania o Podolu, skąd sam pochodził, o Turcji, o Carogrodzie, o Tatarach, o Kozakach, a mianowicie o ostatniej wojnie, na której, wiedziały, że był z panem podkoniuszym. Gdy zaś jął im opisywać tę wyprawę, pobożna Ludwina ręce składała i wzdychała serdecznie za dusze ginących ofiar bez pomocy Świętych Sakramentów, oczy zaś Ewy iskrzyły się ogniem, czoło jaśniało dumą, żałowała, że się nie urodziła mężczyzną, albo tego, że Filip nie był prawdziwym jej bratem, bo mogłaby rzucić mu się na szyję i wyrazić tym sposobem, ile jej się podoba jego duch rycerski.

Niezawsze też Filip bywał „błogosławiony między niewiastami", jak go Kochanowski nazywał; codzień według zwyczaju przyjeżdżał pan Franciszek i codzień swoje smaczne zaloty przywoził, a zmiarkowawszy, iż od czasu przyjazdu gości obiady czarnoleskie daleko były lepsze, przetrącał swój wcześniejszy i przybywał do stryjostwa po drugi; jadł jakby nigdy nic, pił za czterech, a po obiedzie, znużony snem, dosiadał wiernej Bułanej, która go drzemiącego do Policzny donosiła. Pan Franciszek Kochanowski, dobre chłopczysko w gruncie rzeczy, był sobie próżniak, do niczego prócz zamiatania półmisków i spełniania kuflów nie-

zdolny. Znając się jedynakiem, wiedząc, że dostał po ojcu kawał pięknego majątku, którym matka zarządza, że, jak jej braknie, znajdzie się włódarz, wreszcie żona, spuszczał się na to zupełnie, a często, leżąc zimą pod piecem, lub w lecie na trawie, rozmyślał:

— Kiedy mię Pan Bóg stworzył, chlebem opatrzył, którego nie przejem, choćby mi też w miłosierdziu Swojem drugi dał żołądek, byłbym głupi jak stołowe nogi, gdybym się czembądź trudnił. Panom stryjom winszuję ich mądrości, ale i nie zazdroszczę; gdybym ja miał tak nad książką dukwieć i nocy nie dospać, kazałbym sobie dać łozy. Pan stryj namawia mię do rycerskiego rzemiosła, chce, bym wszelką bronią władać umiał; a mnie poco? Żebym jechał na wojnę? Nie głupim — na wojnie zabić mogą. Pan stryj mówi jeszcze: „Jak tak nie będziesz nic umiał i wiedział, nie będziesz nic znaczył w kraju, ani na sejmiku, ani w czasie elekcji". Ja tego bynajmniej nie pragnę. Co mi do kraju, kiedy ja mam Policznę; poco mi sejmiki, kiedy ja i bez sejmików w sąsiedztwie i w domu objeść i opić się mogę; elekcja? a co mnie do niej, czy Batory, czy Gaweński *) królem polskim? mnie wszystko jedno: ani ten, ani ów wioski mi nie da ani weźmie. Dalipan, więcej mię obchodzi kucharz, co w Policznie w kuchni warzy, niż jakiś tam król, co rządzi w owym starym krakowskim zamku. „Wstyd, wstyd — mówi niejeden — tak żyć", a przecież matka za mną przepada, panny się do mnie wdzięczą, miałbym żon z jaki tuzin, gdyby tyle mieć można. Ale ja tam innej mieć nie chcę, jeno tak, jak pani matka kazała, wezmę Ewulkę, śliczną Ewulkę. Walna, czerstwa, zdrowa i gospodarna, różne przysmaki umie; będę przy niej opływał, jak pączek w maśle, pieczone

*) „Gaweński" skrócone z „Andegaweński"; tu: spolszczone nazwisko króla Henryka Walezjusza.

gołąbki będą mi szły same do gąbki — a ja tylko będę usta oblizywał i smakował.

A doszedłszy do tej części rozpamiętywań, dosiadał Bułanej i jechał do Czarnolasu.

Naszą Kochanowską, jakkolwiek wysoko szanowała matkę pana Franciszka, a jego przyjmowała grzecznie, niebardzo cieszyły owe zalecanki. Mając niepospolitego męża i brata, znając wielu godnych ludzi, życzyłaby dla córki ukochanej czegoś lepszego.

— Syn-ci to naszego dobrodzieja — mówiła czasami do męża — ale wybaczcie, to istny bałwan. Ewa nie będzie mogła go szanować; dziewczyna w jednym palcu ma więcej rozumu, niż on w całej głowie.

Kochanowski uspokajał żonę, kiedy mu te obawy zwierzała.

— Jeszcze nie dziś ani jutro owo małżeństwo się złączy — mówił jej; — chłopczysko jeszcze młode, jak się przekona, że „człowiek nie samym tylko chlebem żyje", toć się może weźmie do czego. Hanno moja, kogo Pan tak hojnie, jak nas, dziewkami obdarzył, ten w zięciach jak w ulęgałkach przebierać nie może.

I tak czas upływał i zaloty pana Franciszka uchodziły. Lecz miały się wnet zmienić okoliczności: spisek srogi knuł się przeciw owemu dobrodusznemu kochankowi.

Pan rotmistrz, dziwna rzecz, chociaż było jasno widać, iż ugodzony w samo serce czarnemi oczami Ewy i choć mu na wrodzonej śmiałości i odwadze nie zbywało, przecież więcej daleko rozmawiał z pobożną Ludwiną, nierównie był poufalszy z nią i z młodszemi jej siostrami, niż z samą Ewą. Ledwie śmiał wymówić jej imię, dotknąć się jej sukni, nie ciągle nawet w gronie dziewcząt był widziany; często przysiadał się do Kochanowskiego i do przybranego ojca, mieszał się do ich poważnych rozmów, skoro pozwolili; z Kochanowską zamieniał słowa pełne uszanowania, wychwalał

bez przesady jej umiejętność gospodarską; wspominał z uczuciem o własnej matce, która go odumarła dwuletnim chłopcem, pokazywał krzyżyk srebrny, co mu umierając na szyję włożyła, skarb jego najdroższy, tarczę od niebezpieczeństw wszelakich. Jakie tylko mógł, oddawał usługi pani czarnoleskiej: to obracał kołowrotek, kiedy się jej noga już zmęczyła, to w ustawieniu domowej apteki jej pomagał, a kiedy do ryb piątkowych brakło jej szafranu i imbiru, mimo zimnej słoty, pojechał do Kazimierza, sam w małej łódce przez szeroką Wisłę się przewiózł, a przed śniadaniem stawił się z tem, czego potrzebowała.

Zataić tego nie można, że za każdą podobną przysługę nietylko z uprzejmych ust pani Kochanowskiej, ale i z pewnych czarnych oczu wyglądał nagrody; jeśli one łaskawie na niego spojrzeć raczyły, zdawał się dumniejszy i szczęśliwszy od wszystkich mocarzów świata.

ROZDZIAŁ 3.

Tydzień od przyjazdu pana Podlodowskiego już się skończył, a zdawał się obydwom przyjaciołom jak gdyby dzień jeden. Bitny rycerz nawet, rad chwilowemu wypoczynkowi, przyznawał sam, iż miło mu było zasypiać na wygodnem łóżku, ręką siostry usłanem, z myślą, że nie obudzi go jutro ani trąba wojskowa, ani krzyk murzów tureckich, ale śpiew ptasząt, witających powrót wiosny, albo też głos dzwonka, zwołującego całą drużynę czarnoleską na poranną modlitwę.

Przecież sobotniego poranku nie doczekał się w łóżku ani śpiewu, ani dzwonu; jeszcze głucho i szaro było na świecie, on już wyszedł z izby przed ganek, a zupełnie ubrany, przy szabli, w czapce na lewem uchu, przechadzał się

szerokim krokiem naokoło domu, wyglądając, rychło się w nim kołatać zaczną. Ledwie zobaczył pachołka, odmykającego ciężkie okiennice, natychmiast zastukał w szybę sypialni Kochanowskich, prosząc, żeby niebawem do niego wyszli. Kochanowska, niespokojna, co się bratu stało, porwała co tchu ranny kożuszek i pośpieszyła wraz z mężem do niego, pytając, czy może jakie złe wieści otrzymał, czego żąda, czego mu brakuje, czy może głodny. „Bo to — mówiła litościwie — obiad był lichy, wieczerzy nie było; przekąście co przed śniadaniem, jest wyborny lin na zimno."

— Ni jeść, ni pić nie będę— wypowiedział uroczyście Podlodowski — aż omówię rzecz swoją.

— Mów więc — rzekł Kochanowski — schrońmy się do naszego ciennika chróścianego, tam ciszej będzie, tam nam nikt nie przeszkodzi.

I poszli — a ledwie zasiedli na ławkach, podkoniuszy tak zaczął:

— Założyłem ja sobie, najmilsi moi, przetrwać do ostatniego dnia pobytu mego u was—dopiero na samem wyjezdnem do Grodna wyłożyć przed wami całą sprawę, zostawić ją wam do namysłu, a potem za kilka tygodni wrócić po odpowiedź; ale, jak widzę, serce nie sługa, rozkazać mu nie można. Przychodzę tedy do was jako swat, a że krasnej mowy i dworstwa u żołnierza niema, szablę zwą szablą, a czapkę czapką, powiem odrazu: przychodzę prosić was o rękę waszej córki dla mojego Filipa.

— Wiecie, moi najmilsi—mówił dalej—iż choć Pan Bóg dał mi kawał majątku i kęs urody, nie miałem i nie mam ni żony, ni własnych dzieci; kościół, Rzeczpospolita, szabla i koń to były od młodości jedyne moje kochanki, a tańce i zaloty z Tatarami nie dopuściły innych, słodszych i weselszych. I tak płynęły lata, a jeśli w pięćdziesiątym roku za późno pojmować żonę, czas jeszcze przysposobić gotowego syna. Po-

wiedzcie sami, najmilsi moi, któryżby ojciec nie życzył sobie mieć dziedzica takiego, jak Filip? Dorodny, dziarski, śmiały, roztropny, otwarty, z gorącą miłością dla Rzeczypospolitej, z uszanowaniem dla starszych, z uczciwością dla płci białej. I nie miałem go pokochać? nie miałem mówić sobie: „Jemu, zacnemu młodzieńcowi, Pan Bóg odebrał rodziców i mienie, ale tobie dał majątek, a nie dał go z kim podzielić, komu bliskiemu po mieczu zostawić; powetujcie sobie te wasze wzajemne krzywdy.“ Lecz taiłem w głębi duszy ową myśl, chcąc go jeszcze lepiej poznać, zjeść z nim ową beczkę soli, jak mówią starzy. Nakoniec w czasie owej zbójeckiej napaści, która nás za powrotem z Carogrodu spotkała, kiedym już grób swój widział i tylkom Boga prosił, żeby nie pamiętał na grzechy moje, Filip, właśnie srodze przez oprawców związany, zerwał pęta nadludzką siłą, przypadł do mnie i wybawił mię od śmierci. Rozpierzchli się zbójcy, ja, głowę mając rozpłataną, straciłem przytomność; gdym przyszedł do siebie, obaczyłem go klęczącego nade mną, dybiącego na powrót mój do życia.

Wtedy przyszedł czas dokonać dawnego zamiaru. Przyjechawszy do Lwowa, napisałem testament, w którym, co mam i co mieć mogę, zapisałem Filipowi, jako memu przysposobionemu synowi i zbawcy. Zaczęło mię jednak korcić w duszy, iżem takowym zapisem skrzywdził was, pani siostro; kiedy nagle przyszło mi na myśl ożenić mego dziedzica z waszą pierworodną i powiedziałem to natychmiast memu Filipowi. Przypadła mu do smaku ta myśl, serce jego, jak obóz opuszczony, było do wzięcia. I przybyliśmy do Czarnolasu, a wasza dziewka tak głęboko zajechała mu w serce, że zaraz przy pierwszym pacierzu ślub uczynił przed Matką Boską, że jeśli ręki Ewy dostąpi, w miesiąc po weselu pójdzie bez szabli i służby do Jasnogóry.

Umilkł zmęczony i rozrzewniony wojak, a Kochanowski tak po chwili przemówił:

— Oświadczenie twoje, kochany bracie, jakkolwiek nagłe i przejąć nas musiało, nie może być przecież jednomiłe i pochlebiające dla nas, rodziców, ile że podaje sposobność ściśnienia jeszcze mocniej przyjaźni naszej. Nie możemy jednak przyjąć oświadczenia twego, dopóki z Ewą się nie rozmówimy; boć rodziców jest obowiązkiem obmyślić los dziatkom, im zaś wybór zostawić.

— Ale wy sami — przerwał Podlodowski — nic przeciw memu chłopakowi nie macie?

— Nie! — zawołali razem oboje — nie, prócz tego, żeby nam uwiózł daleko naszą dziewkę. Aleć to już takie rodzicielskie przeznaczenie.

— Tom już prawie pewny wygranej — zawołał z radością podkoniuszy, — bo nie sposób, żeby dziewczę przeciw nam było. Z przeproszeniem waszem, gdzież panu Franciszkowi z moim Filipem się mierzyć! Zawołajcież jej i spytajcież się zaraz; skoro waszej i jej dobrej woli pewny będę, spokojny o los syna mego odjadę.

A pomówiwszy jeszcze czas jakiś otwarcie i serdecznie, odszedł wgłąb sadu, gdzie czekał na niego młodzieniec; rodzice tymczasem zawołali Ewy i opowiedzieli jej rzecz całą. Za pierwszem ich ust otwarciem, nim jeszcze wymówili zwyczajne w takim razie słowa: „Jużeś się, córko, u nas chleba najadła, dosyć lnu naprzędła, czas ci na swoje“, ona już zgadła, nietylko o czem, ale o kim mowa, a wstyd panieński oblał jej jagody. Ale kiedy przyszło do okoliczności rozdzielenia się rychłego i już na zawsze przeniesienia się wgłąb dalekiego Podola, Ewa rzuciła się do nóg ojcu i matce, łzy długo wstrzymywane padły, złożyła dłonie i rzekła:

— O! mój mocny Boże! czemuż to nie pan Filip w Policznie! I to powiedziawszy, rozpłakała się na głos.

Domyślili się rodzice, co znaczyła owa uboczna odpowiedź; przecież zażądali wyraźniejszej, ile że ciągle płakała.

Uspokoiwszy się cokolwiek i kryjąc twarz rękami, to im powiedziała w przerywanej mowie:

— Za pana Franciszka poszłaby, gdyby jej koniecznie rodzice kazali; i zna to dobrze, że Policzna blisko, a pani Kasprowa żywy anioł; chociaż zdaje jej się w tej chwili, że wolałaby daleko pójść z Ludwiną do klasztoru. Co do pana rotmistrza... to gdyby tylko kto ją zapewnił, że się potrafi odtęsknić, możeby się i odważyła... — Bo ja i pana podkoniuszego bardzo kocham — dodała z pośpiechem.

Pocóż o więcej dopytywać się miano? Jasne było więc, że przemówiło i jej serce, „co jedną wolę we dwóch osobach czyni". Wówczas oboje Kochanowscy odejść jej kazali, a sami rozmawiali jeszcze chwilę o tej przygodzie, jak to małżonkowie zgodni i kochający rozmawiać umieją, zwłaszcza kiedy o los dzieci chodzi.

Ale wnet przerwała się ich rozmowa, ujrzeli skradającego się Podlodowskiego z synem. Młodzieniec padł im plackiem do nóg; oni zaś, objawionej skłonności córki lekko dotknąwszy, uściskali go jak syna. Wówczas najsłodsza radość ogarnęła serce uszczęśliwionego Filipa i ponowił w duszy ślub, przed tygodniem Najśw. Pannie uczyniony, obiecując Jej suszyć jeszcze co sobota przez całe życie.

ROZDZIAŁ 4.

Ów dzień sobotni nie tak wesoło się skończył, jak zaczął. Zaraz po otrzymaniu zezwolenia obojga Kochanowskich na małżeństwo syna swojego z ich córką Ewą pan Podlodowski oświadczył, iż jeszcze tego wieczora wyjechać musi. Gorliwego królewskiego sługę korciło już mocno, że dla rodzinnych powinności i uciech ukradł dni dziesięć obowiązkom urzędu. Przyjaciel i siostra nie śmieli go zatrzymywać, wiedząc, iż nierad zmienia słowa. Wyjechał więc

zaraz po wieczerzy do Grodna, skąd po odebraniu rozkazów królewskich miał natychmiast wyprawić posłańca i napisać Kochanowskim, kiedy będzie mógł zjechać na zaręczyny, ażeby oni stosowne porobili przygotowania. Pan Filip bez przymusu, jednak z wyraźnego rozkazu ojca, który, jakkolwiek nie znał prawie miłości, wiedział przecież, że o niej człowiek marzy całe życie, a używa ledwie chwil parę, został w Czarnolesie; na to jedynie pozwolił Podlodowski, żeby go o mil kilka, na pierwszy nocleg, odprowadził. Młodzieniec poradził sobie dobrze, żeby ani jednej chwili widzenia swojej bogdanki nie stracić: na tę noc bez snu się obchodząc, wrócił do Czarnolasu jeszcze o świtaniu.

Tymczasem Kochanowski, którego charakter i serce kochające nie mogły znieść żadnego udania, zwłaszcza z tymi, co mu drodzy i bliscy byli, zaraz po wyjeździe Podlodowskiego pojechał do Policzny rozmówić się sam na sam z panem Franciszkiem. Zastał go jeszcze w łóżku pod pierzyną i miał porę do zawstydzenia go i wymówienia mu tak gorszącego lenistwa. — Nie dziwuj się, synowczyku — powiedział — że cię ubiegł w sercu Ewy taki, który dziś całej nocy oka nie zmrużył, mil kilkanaście cwałem ujechał, byle nie stracić jednej chwili oglądania swej lubej.

I opowiedział mu wszystko. Biedny pan Franciszek aż zapłakał. W tym stanie upokorzenia nakłonił go stryj łatwo, żeby przecież raz wziął się do czego, świata przewidział, otrząsł się z gnuśności; a ukartowawszy wszystko z jego rozumną matką, posłał go naprzód do ziemi Stężyckiej, do krewnego swego pana Dobiesława, żeby tam się trochę przetarł, nimby do dworu Zamojskiego był oddany. Pan Franciszek pojechał nic nie mówiąc, milczał jak baranek, zrobił wszystko, co kazano, jednak do Czarnolasu nie chciał ani razu zajrzeć na pożegnanie.

Nasi kochankowie tymczasem słodkie dni i godziny pędzili, a im więcej poznawali się wzajemnie, tem się lepiej

kochali i szczęśliwymi czuli. Nie przeczuwali ciężkich dni, jakie przeżyć mieli, i złego losu, który na długo miał ich od siebie rozdzielić.

W tydzień po wyjeździe pana Podlodowskiego nadszedł list oczekiwany od niego następującej treści:

„Najmilsi moi! Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi; inaczej się rzeczy obracają, niżeśmy sobie układali. Dojeżdżając tu, spotkałem się z ludźmi mymi i końmi w dobrem zdrowiu Bogu dzięki, jeden tylko kary zapada trochę na nogę, ale zda się nic mu nie będzie. Zaraz po przyjeździe zostałem wezwany na posłuchanie do Miłościwego Pana, który rozkazał, abym niebawem do Turcji znowu jechał, drugie tyle koni nakupił, zwłaszcza arabskich, i jeszcze inne a ważne spełnił polecenia, które papierowi zwierzać nie widzi mi się rzeczą bezpieczną. Nie do smaku mi owa podróż, jak miarkować możecie, ale powinność przedewszystkiem iść musi. Jutro stąd wyjeżdżam, da Bóg, we środę przed wieczorem ujrzycie mnie; półtrzeciej doby jeno zabawię i pożegnam was. Na mój rozum, miasto zaręczyn wyprawićby dziatkom naszym tego czwartku wesele. Odjechałbym spokojny, gdybym mego Filipa żonkosiem zostawił. Możebyście przechowali komorą państwo młode u siebie przez te parę miesięcy, a za moim powrotem z Turcji odbyłyby się przenosiny do Studzienicy. Zostawiam to zresztą mądremu baczeniu Waszemu.

Wasz wierny brat i przyjaciel

Jakób Podlodowski

podkoniuszy królewski

Dan w Grodnie w dzień św. Witalisa 1584 r.“

Odczytanie głośne tego listu przez Kochanowskiego sprawiło wielkie a przykre zdziwienie w obecnych. Owa niespodziewana podróż Podlodowskiego, owo albo naglenie, albo odłożenie stanowczego aktu nie mogły być nikomu na rękę. Jeden pan rotmistrz powinien był się radować, widząc przed

sobą podobieństwo do tak rychłego połączenia się na zawsze z tą, którą kochał, ale on owszem smutniej się zamyślił; a kiedy Kochanowski zapytał go, co o tem wszystkiem trzyma, i zachęcił, by zdanie swoje wyjawił śmiało, on tak odpowiedział z uszanowaniem:

— Wolno waszym miłościom zrobić, co się wam jeno podoba, moim obowiązkiem słuchać ich. I zaiste, nie byłoby dla mnie większego i mniej spodziewanego szczęścia, jak gdybym tego czwartku nie narzeczoną, ale żonę z rąk waszych dostał. — Tu zbytek pomieszania prawie dech odjął rozkochanemu młodzieńcowi, — jednak dodał: — Zataić nie mogę i nie powinienem, iż choćby mi przyszło prosto od ołtarza odjeżdżać, odjadę; gdyż ojca, dobroczyńcy mego, samego do Turcji nie puszczę. Za nic byłoby mi wszystko, gdyby jemu w tej drodze nowe nieszczęście się stało.

Jeszcze nie dokończył tych słów, kiedy Kochanowski powstał i rzucił mu się na szyję. Matka z za łez spojrzała na niego z pochwałą, a Ewy serce napełniło się błogiem uczuciem i podwójnem przywiązaniem do swego bogdana. Już tedy ani mowy być nie mogło o weselu, i na zaręczyny zgodzili się wszyscy. Jeden Kochanowski im więcej się zastanawiał, tem go boleśniej przejmował ten cały zawód; ścisnęło mu się serce, dreszcz go przechodził, jakieś przeczucie nieszczęścia go ogarnęło; na domiar jeszcze trwożnych myśli, kiedy odczytywał po cichu list swego Jakóba i zatrzymał się nad temi słowami: „Półtrzeciej doby jeno zabawię i pożegnam was,“ dzwon żałobny dał się słyszeć w Policznie i uderzył o duszę jego. Nie było w tem nic dziwnego: chowano właśnie komornicę, której Ludwina doglądała tej nocy, ale jemu ten głos prorockim się wydał.

— I nam obydwom wnet tak zadzwonią — rzekł sobie w duszy.

ROZDZIAŁ 5.

Wyobrazić sobie łatwo, jaki był ruch w Czarnolesie przez dni następne; warto więc o tem coś nadmienić.

Ale naprzód powiedzieć należy, że smutek Kochanowskiego, który jednak przez całą noc go niepokoił, ustał w ciągu poranku. Właśnie wracał z Jasieńca, gdzie pojechał krewnych na zaręczyny zapraszać, kiedy, dojeżdżając do domu, napotkał Urszulkę z Nastką; naparła się koniecznie dziecina, żeby wyjść przeciw ojcu, chciała pierwsza powitać go z drogi i donieść mu drogą nowinę, że pan podkoniuszy, w wieczór dopiero spodziewany, przyjechał. Ta radość przywróciła zupełnie swobodę duszy poecie. Tak usposobiony Kochanowski podzielił sercem całem z przyjacielem żywą radość, jaką w nim postępek wychowanka sprawił; drożył się na to niby przybrany ojciec z początku, ale przecież rad był ofierze, gdyż czuł w sobie, iż w podobnym razie tak samoby postąpił.

Kochanowska, córki, czeladź cała i sam pan rotmistrz rzucili się do roboty. Na uroczystość należało przyrządzić dom, jadło, napoje i ubiory; było więc o czem myśleć, ile że czas był krótki. Już to z domem najmniejsza była robota; prawda, że wszędzie kwieciem trzęsiono, wszędzie zawieszano wianki, ale w izbach żadna inna nie zaszła zmiana; podłogę tylko dębową w sali bawialnej zamieciono dobrze, umyto schludnie, żeby nie było kurzu, a Kochanowska przyrządziła za piecem na murku gąsior wody pachnącej, zmieszanej napół z tęgim octem, postawiła obok lejek, żeby w ciągu tańca polewać niekiedy podłogę: sposób arcywyśmienity, gdyż kurz w izbie opadał i powietrze się odświeżało.

Większe były zachody około jadła i napojów, bo to u nas i dawniej, i dziś jeszcze podobno po wsiach, najwięcej o „papkę“ dbano, i dosyć ogólna była zasada: „cała rozkosz człowieka tyle jest, co zażyje“. Mało szło gospo-

darzowi, gdzie i jak gościa posadzi, byle go nakarmił i napoił do zbytku. Miał być tedy obiad, podwieczorek, wieczerza, podkurek, czyli od południa do północy ciągłe jedzenie i picie. Ani matka, ani córki nie żałowały rąk w przygotowaniu różnych przysmaków; Zobek, kucharz, sadził się, jak jeszcze nigdy; dom też był zasobny, piwnice dobrze opatrzone, stawy rybne. Prócz tego kmiotkowie czarnolescy, skoro się dowiedzieli o zaręczynach starszej panienki, zaczęli znosić rozmaite podarki. Nie było chaty w całej wsi, gdzieby Ewa z dobrego i hojnego serca swego znaną nie była, nie było też chaty, gdzieby w tym dniu nie myślano o sposobie okazania jej wdzięczności. Znoszono więc panience: to kwartę manny, uzbieranej troskliwie przed wschodem słońca na łąkach, to tłustych serów kilka, to worek orzechów, to grzybów suszonych parę wianków, to raków ogromnych kopę; a każdy i każda prosili, żeby panienka przyjęła ich skromne dary mile i żeby na uczcie zaręczynowej były spożyte koniecznie.

Dobrze przed południem zaczęli się zjeżdżać wezwani goście; żaden nie chybił, bo gdzież to i kiedy Polak do ucztyby się nie stawił? Skoro zbliżał się kto do wrót, na ten dzień naoścież otwartych, czy konno, czy pojazdem, muzyka uszykowana w jednym rogu podwórza blisko domu witała go huczno i z okrzykiem, aż się rozlegał odgłos radosny po okolicy.

Bo już to wówczas żaden obrzęd, żadna biesiada nie obeszła się bez „gędźby", tembardziej w domu Kochanowskiego, który za muzyką przepadał.

Niebawem zasiedli goście do obiadu. Ponieważ sam obrzęd zaręczyn dopiero po obiedzie miał się odbyć i wieczerza „uroczystą ucztą" mianowana była, nie siedzieli jeszcze narzeczeni przy sobie u stołu, a choć ochoczo szły kielichy, przecież ukradkiem tylko i pod pokrywką pito ich zdrowie.

Nasłuchała się jednak niemało Ewa żarcików i przycinków i „nieboraczka nie jednego spiekła raczka".

W parę godzin po obiedzie, kiedy już trochę ostygły zagrzane czupryny, Kochanowski, który wyszedł był na chwilkę z bawialnej sali, wrócił w towarzystwie księdza, ubranego w białą komżę, za którym szedł organista z tacką w ręku i z wodą święconą. Był to sędziwy proboszcz z Policzny; zajęty obowiązkami pasterza, nie mógł zjechać na obiad, lecz teraz przybywał poświęcić zrękowiny Ewy i Filipa.

Wnet na stole biało nakrytym pod środkową ścianą zajaśniały duże świece jarzące i ukazał się między niemi wizerunek Zbawiciela z kości słoniowej na hebanowym krzyżu. Kapłan oparł się o ten stół i obrócił się twarzą ku obecnym; wszyscy powstali i umilkli; Ewa, która się bawiła wśród młodzieży, uciekła jakby piskle przestraszone skryć się pod skrzydła matki. Filip bez trwogi i zwolna stanął obok przybranego ojca; Kochanowski zbliżył się do swojej żony i oboje stojąc czekali z powagą. Nie czekali długo. Podlodowski, którego niezwyczajnej urodzie w tym dniu strój rycerski i wykwintny nowego dodawał blasku, wziął za rękę równie prawie dorodnego a piękniej jeszcze ubranego Filipa, stanął przed nimi, skłonił się nisko i w krótkich słowach prosił o rękę ich córki dla swojego syna.

Kochanowski, odpowiedziawszy stosownie, podał córce szacowny pierścień rubinowy, krwawy, jak dla rycerza przystało; ona wsunęła go, jak był zwyczaj, na największy swój palec, ale jej spadał, gdyż był bardzo duży. Podlodowski ze swej strony wręczył synowi pierścionek misternej roboty, z jasnym jak gwiazda djamentem: młodzieniec wcisnął go na czubek serdecznego palca. Wtedy organista podał tackę oblubieńcom; złożyli na niej pierścienie, a prowadzeni przez ojców ziemskich, stanęli przed ojcem duchownym. On modlitwę zmówił nad pierścieniami, pokropił je święconą wodą i oddał dwojgu młodym. Wówczas młodzi najpierw błogo-

sławieństwo kapłana przyjęli, potem padli do nóg ojcom i matce i z pełności ich serca odebrali obfite i szczere błogosławieństwo. Nastąpiła chwila uroczystego milczenia. Przerwał ją wnet pan Adam Kochanowski, mianowany starostą całego obrzędu, wielkim głosem: „kielichem, kielichem!“ Zaczęły się dopiero okrzyki, powinszowania, życzenia, roztruchan przechodził z rąk do rąk, a choć kwartę z górą trzymał, w mgnieniu oka go spełniano.

Ale najsmaczniejszego wina i za najdroższe zdrowie pić ciągle nie można; wreszcie: „kiedy grajki pod oknami, a płeć biała pod ścianami, lepsze tany od kielicha“. Pan Adam dał znak muzyce, zagrała huczno, i młodzież ochoczo puściła się w tany. Filip, czego łatwo domyśli się każdy, rej wodził między wszystkimi i już bogdanki z rąk nie wypuścił; a gdy Ewie w czasie tańca brzęknęły klucze w kieszonkach zapaska, obecni winszowali z uśmiechem Podlodowskiemu: „Ot! jaka walna gospodyni będzie!“

Wieczerza dostatnia i smaczna, kształtnie zastawiona i chędogo podana, trwała, dopóki się nie ściemniło zupełnie. Wtedy sala bawialna i sień zajaśniały jarzącem się światłem; na podwórzu wzniosły się ognie ze słomy, kagańce rozpalone; zeszła się wezwana przez dziedzica czarnoleska gromada. Wytoczono dla nich kilka beczek piwa, parę baryłek miodu, a dodano nierównie więcej w miarę mięsiwa, krup, jarzyn, sera i chleba; grajkowie również posileni odezwali się hucznie, i nowa ochota do tańca przejęła wszystkich. Ewa wytańcowała się za wszystkie czasy i podobno na całe życie.

ROZDZIAŁ 6.

I przykrego zdarzenia nie trzeba, żeby po hucznej i wesołej biesiadzie dzień następny wydał się głuchym i ponurym;

cóż dopiero być musi, kiedy komu wypadnie prosto od tańca i od stołu żegnać się z ukochanemi osobami, puszczać się na dalekie przygody i prawie niechybne niebezpieczeństwa? Tak przecież trafiło się czarnoleskiej drużynie; wyznać należy, iż nie zniosła tej przemiany bez srogiej serca boleści. Kochanowski osobliwie, gdy już wybiła przykra godzina rozstania, gdy konie zaszły i wszyscy przed gankiem się zebrali, tkliwym się okazał aż do zbytku; może to był skutek wczorajszego wina, które jeszcze w nim pracowało, może jakieś okropne przeczucie; dosyć, że rzęsistemi łzami oblewał twarz przyjaciela, żegnając go, pełne smutku mówił mu słowa. Do tego przyszło, że Podlodowski oderwał się od niego prawie gwałtem, wskoczył odrazu na konia i ruszył za wrota cwałem, nie oglądając się nawet. Filip i Ewa nie mniej zapewne uczuli żałości, lecz pokazywać jej tyle nie śmieli; z trudnością też przyszło młodzieńcowi wypuścić z męskich i szorstkich rąk swoich drobną rękę dzieweczki, która ze swej strony żegnała go słowy serdecznemi.

— Niech cię jak najrychlej oglądam znowu! — mówiła drżącym i pełnym łez głosem — a skoro raz wrócicie szczęśliwie, już się więcej nie będziemy rozstawać z sobą.

Wreszcie ruszył i on za przybranym ojcem. Długo widać ich było, długo migały się jak błyskawice dobyte szable, któremi znaki robili w powietrzu na pożegnanie, nareszcie wszystko znikło, samo milczenie i smutek zostały.

Kochanowski zamknął się u siebie i przez parę dni mało co się pokazywał; wyjeżdżał w pole, chodził około gospodarstwa, najchętniej jednak osobności szukał: tam zagłębiał się w myślach i jednej Urszulce wolno było przerywać jego tęskne dumanie.

Ewa również od wyjazdu Filipa zarzuciła dawne piosenki wesołe, polubiła smutne nucenie, wszelakie wiersze. Wiele poezyj ojcowskich już było drukowanych, a ona nie znała i połowy; teraz odczytywała je pilnie i bardzo jej by-

ło dziwno, że niektóre pieśni, niegdyś dla niej obojętne i trudne, teraz rozumie i nawet jakby siebie w nich widzi. Naprzykład następująca:

„Jak ptak, kiedy towarzysza zbędzie,
Nigdy na różdżce zielonej nie siędzie,
A między bory i pustemi lasy
Sam jeden lata po swe wszystkie czasy:
Tak ja nieszczęsna w jego niebytności
Muszę być zawżdy w trosce i żałości;
Chronię się ludzi, sama nie wiem czemu,
Badam, gdy świadka nie mam płaczu memu.
Troszczą mnie smutną srogie morskie wody,
Troszczą mnie wiatry i złe niepogody,
Troszcze mnie wszystko, cokolwiek być może.
Tobie go ja poruczam, mój Boże!
I to mi czasem na myśl więc przychodzi
(Bo łatwo, gdy chce, nieszczęście ugodzi),
Że może serce próżno się frasuje,
A on podobno gdzieindziej miłuje.
Źlećby mi płacił moje życzliwości,
Bym miała doznać takiej niewdzięczności:
Bodajbym pierwej ostatnia skonała,
Niźli nowiny takiej doczekała.
Ale ja dufam jego szczerej cnocie,
Że mnie nie będzie chciał mieć w tym kłopocie;
Będzie pamiętał i statecznie chował
Miłość i wiarę, którą mi ślubował".

Często jednak Ewa, wymówki sobie czyniąc, iż wiersze świeckie powtarza jak pacierz, że nie da kościoła, ale dla niej samej tyle trudnej i pięknej jej roboty około wyprawy, prosiła pobożnej Ludwiny, żeby koło niej usiadła i prym w jakiej pieśni świętej trzymała, a wtórując siostrze,

spokoiła sumienie swoje. Pan Filip na tem nie tracił, bo modły ofiarowane były za niego, a robota szła sporzej jeszcze.

I Kochanowski po tylu dniach zaczął przecież otrząsać się ze smutku i znajdował rozrywkę nie w samych tylko pieszczotach Urszulki. Najmocniej jednak zajął go i zwrócił w innym kierunku list synowca Krzysztofa, który przy dworze królewskim zostawał, umieszczony tam najwięcej dla zasług swego stryja z Czarnolasu. Krzysztof wypłacał się stryjowi za posadę swoją, donosząc mu wiernie, co widział, słyszał, co się działo i czego się domyślał.

List jego był prawie w tych słowach: spolszczyliśmy bowiem łacinę, bez której ówczesne korespondencje męskie rzadko kiedy się odbywały.

„Wielmożny, mnie wielce miłościwy Stryju a Panie!

Pierwsza miłość od siebie; donoszę przeto na samym przedzie Waszej Miłości, iż zdrów jestem dzięki Bogu i powodzi mi się po myśli. We trzy dni po odjeździe naszego pana Podkoniuszego król Stefan Batory, pan nasz miłościwy, idąc do kaplicy na mszę świętą, postrzegł mnie, spytał, czy do Waszej Miłości często pisuję, i pozdrowić Was rozkazał, a nazajutrz pan Marszałek zawołał mię i oświadczył, jako skutkiem osobliwszej łaski królewskiej policzony zostałem w poczet dworzan, jakich bywa najwięcej szesnastu przy monarsze. Pobierać będę, jako i każdy z nich, na sześć koni obrok, strawnego trzy złote co tydzień na chleb, piwo i wino i czterysta złotych rocznych zasług; a jeszcze lepsza, zbliżę się daleko więcej do majestatu, co jest dobrodziejstwem i szczęściem bez ceny, a będąc koło wielkiego ołtarza, będę mógł i Waszej Miłości przysługiwać się jeszcze rychlejszemi i pewniejszemi wiadomościami, niż dotąd.

Już to mówiąc między nami — nie bez przyczyny pan Podkoniuszy tak śpiesznie wyprawiony do Carogrodu; do czegóżby, proszę, tyle koni w królewskiej stajni, gdyby się nie

miało na wojnę? Będziemy mieli wojnę niebawem z Turkami i nasz pan Podkoniuszy nie po same tylko konie pojechał; ma on tam przepatrywać siły tureckie, stan wojska i wierną zdać o tem sprawę; a królowi naszemu, choć tak za pięknemi końmi przepada, ręczę, że na tej wiadomości więcej zależy, niż gdyby mu ze stajni sułtańskiej kilka sprowadził arabskich dzianetów.

Skoro da Bóg, że owych potężnych wrogów pokonamy, nową chwałą się okryjemy, prawemu Kościołowi się zasłużymy, skarbami zasilimy, wtedy snadno nam będzie wewnętrznym nieprzyjaciołom poradzić... Groźni sąsiadom, pewni pokoju, poprawimy ciężkie wady Rzeczypospolitej, ustalimy niepewność jej losów. Założą się szranki swawoli, ukróci się zuchwalswo możnych, swobodom nada się trwałość, ustanowi się następstwo tronu, a przynajmniej sposób elekcji poprawiony zostanie. Nieodżałowana szkoda, iż po takim królu, jak dzisiejszy, nie wolno nam spodziewać się potomka. Jedna wada naszej miłościwej pani Anny Jagiellonki — to owe zgórą lat pięćdziesiąt. Słyszałem ja niedawno, iż dlatego jedynie Gryzelda Batorówna dana w małżeństwo Zamojskiemu, żeby jeśli nie on, to kiedyś syn jego, skoro mu go synowica królewska urodzi, był swego czasu królem. Lecz cóż — pani Kanclerzyna poroniła niedawno w Knyszynie i według dworskich pogłosek tyle miała szkodować sobie na zdrowiu, iż ani dalszego potomstwa, ani długiego życia lekarze jej nie obiecują. Kanclerz, jakkolwiek nie wie i słowa o tym ich wyroku, przecież zrazu bardzo wziął do serca to nieszczęście, zwłaszcza gdy się dowiedział, że dziecię było płci męskiej.

Zborowszczyk zawsze po swojemu; do tego przyszło, że mało kto śmie wspominać w obliczu królewskiem imię Samuela, gdyż zaraz zapala się bardzo. Bo choć on ma zaledwie lat trzydzieści, nagromadził już siła przestępstw na głowę swoją: on to jeszcze za panowania poprzedniego za-

mordował Wapowskiego, on w ciągu tych lat dziesięciu pobudzał Kozaków do buntu przeciw Rzeczypospolitej, on w czasie wojny moskiewskiej, bawiąc w obozie naszym, nie bił się, ale wichrzył, on w początkach tego roku knuł spiski na życie króla i kanclerza, a to w chęci wezwania na tron Iwana Moskiewskiego, który mu obiecał wynieść go tak wysoko, jak Batory Zamojskiego wyniósł. I byłaby może ta dziwna sprawa ucichła, gdyby nie wyuzdane obecne zuchwalstwo Samuela, który, jakby ośmielony tą bezkarnością, podniósł jeszcze wyżej głowę i zdaje mu się, że Batory, Zamojski, prawo są niczem, on królem, kanclerzem, władzą. Pan nasz miłościwy, pamiętny dawnej zażyłości i usług, nie przestał przez te wszystkie lata dawać mu ojcowskich przestróg i napomnień, lecz gdy nic nie pomagało, przebrała się miarka i Stefan Batory postanowił pono śmiercią go ukarać.

Ale jużem się bardzo szeroko rozpisał; tuszę sobie, że Wasza Miłość nie zarzucisz mi lenistwa. Zebrałem, com jeno rozumiał godnem być Waszego zajęcia; przyłączam nadto dzieło pogrobne Stanisława Orzechowskiego „Nauki dla panujących". Dziwna rzecz z tym Orzechowskim! tyle wrzawy narobił za życia, a nawet nie wiedzieliśmy, kiedy i jak umarł. Rokuję przecież sobie i wszystkim Kochanowskim, iż sława Waszej Miłości nigdy się nie zmieni, i niemasz prawie dnia, żeby mi nie wypadło chełpić się na głos, żem jest Waszym synowcem.

Żal mam też wielki do pana Franciszka. Wszystkich nas w pole wyprowadził, ja sam ustąpiłem mu miejsca, jako synowi najstarszego ze stryjów, aż tu on dał sobie włożyć grochowy wieniec przez przybyłego wojaka. Tak to bywa często: postronni mają lepsze szczęście od swoich. Z Franulem kłócić się nie będę, ale Ewulce i panu Rotmistrzowi nie daruję: na kołacze weselne zjadę i do białego dnia z panną młodą tańczyć będę.

Nim to nastąpi, mech Wasza Miłość przyjmie pokorne służby moje

Wasz przywiązany Synowiec i Sługa

Krzysztof Kochanowski
Dworzanin Królewski.

ROZDZIAŁ 7.

Było to 11 maja. Po kilku dniach zmieniło się wiatr i nastała znowu ciepła, wonna pogoda. Korzystając z niej, Kochanowska kazała przepłukać sztuki płótna, płócienka, drelichu, barchanu, obrusy, ręczniki i inną bieliznę przeznaczoną Ewie, żeby miększa i łatwiejsza była do kłucia i szycia, a chcąc te wszystkie rzeczy mieć pod okiem dała je rozwiesić i rozpostrzeć około domu. Kochanowski wróciwszy z pola, zganił tamte takowe rozpostarcie się z dziwem na samym widoku, jak gdyby już w całym Czarnolesie innego miejsca prócz podwórza nie było.

— Jedząc tylko w tym wyprawę córce się sporządza — rzekła sucho Kochanowska — można przecie raz nie żałować podwórza i płotu. Nie bójcie się, maluczko już Ewunia naprzykrzać wam się będzie; i ona i jej przybory zejdą wam z oczu niedługo i na zawsze.

Tymczasem okazało się, że Kochanowski miał niepewną słuszność w swoich naganach. We dwie godziny po południu, kiedy w najlepsze całe podwórze zawieszone i zasłane było, dał się nagle słyszeć tętent prędko stąpających koni, dworzanin suto przybrany z pachołkiem stanął za płotem. Kochanowski wyszedł na ganek pozdrowić przybyłego; ten zaś, uchyliwszy czapki, tak powiedział:

— Miłościwy pan mój, wielki kanclerz i hetman koronny, w przejeździe swoim z Krzyżma do Krakowa zatrzy-

mar się o pół mili stąd w go podzie, gdzie popasa z l-cznym orszakiem; mnie zaś tu przysłał dowiedzieć się, czy Wasza Miłość jesteś u siebie, gdyż, zjadłszy obiad, chce zbo-czyć z walnego gościńca, a wraz z bratem waszym Andrzejem pozdrowić was w domu waszym.

Kochanowski, przejęty i urado wany tak wielkim zaszczytem, prosił dworzanina, żeby oświadczył pokorne i życzliwe służby kanclerzowi i powiedział, iż czekać będą z utęsknieniem spełnienia jego łaskawej obietnicy. Młodzieniec, usłyszawszy te słowa, spiął konia i pędem odjechał.

Łatwo się domyślić, z jaką szybkością gruchnęła ta ważna wiadomość po całym domu.

Wielki Kanclerz i hetman koronny, starosta krakowski, druga osoba w Rzeczypospolitej, za godzinę tu zjedzie!

Kochanowski, rad temu jawnemu dowodowi szacunku i niezmiernej przyjaźni znakomitego męża, rad, że brata uściska, odzyskał zupełnie przyrodzoną wesołość i żartować sobie zaczął z żony, która, jakby odszedłszy od przytomności, biegała tam i sam i zaczynała wszystko nic nie kończąc.

Pani żono—powiedział z uśmiechem—a cóż choć zły, niegodziwy, bez serca ojciec, czy nie dobry miewam nos?

— Oj! już na drugi raz słuchać was będę ślepo we wszystkiem—odpowiedziała pokornie, ściskając go serdecznie—choćbyście i do moich garnków zaglądać chcieli. I na tę chwilę raczcie jeno rozkazać, wszystko co do litery wypełnię.

— Oto najprzód, wypij, moja dobra Hanno, kubek zimnej wody na uspokojenie; potem ubierz się coprędzej ochędożnie a nie strojno, dziewczęta niech się także ogarną; nagotować na stole najlepszego naszego wina i konfektów wszelakich, ciasta i pospolitego wina dla dworzan, jako też chleba, miodu i piwa dla służby. Przykazać także ostro dziewczętom i czeladzi, żeby żadnego głośnego gadania, trzaskania drzwiami nie było.

W każdem zamieszaniu, kiedy rozsądny naczelnik ster i rządy w swoje ręce weźmie, wszystko z nieładu wraca do porządku. Toż samo stało się i w Czarnolesie: jeszcze nie ubiegła godzina, a już pani wojska zupełnie uspokojona stała w ganku wraz z córkami, i wszystko w domu było porządnie, cicho, jak Bóg i mąż przykazał.

Nadjechał też niebawem wyglądany gość. Towarzyszył mu Andrzej Kochanowski, dworzanie i kilku pachołków. Rotmistrz Wybranowski z kilkudziesięciu jazdy zatrzymał się pode wsią, gotów na pierwsze zawołanie.

Zamojski, ubrany wspaniale, miernego wzrostu, niewielkiej urody, ale pełen dzielności i powagi, zsiadł rączo z karego konia arabskiego w sutym złotym rzędzie i pozdrowił uprzejmie kłaniające mu się do kolan gospodarstwo z dziatwą.

— Sądziłem, że wasza miłość rad będziesz — powiedział z uśmiechem do Kochanowskiego—widzieć brata swego Andrzeja, a odjeżdżać mnie ani na chwilę nie chciał.

— Dziękuję wam, bracie Andrzeju, że nie zapomnieliście o mnie—odpowiedział dwornie Kochanowski, ściskając brata. — Przez tę pamięć waszą spotkała mnie wielka a niezasłużona cześć i pociecha—gościć takiego męża, jak pan kanclerz, u siebie.

— Ale oto moja żona i córki—przemówił już do kanclerza—pokorne służby waszej miłości oddają.

Dygnęły wszystkie nisko, jakby świece maczał, w czasie tych słów, a Zamojski rzekł grzecznie:

— Dziwna rzecz, jak na tutejszej roli dzieweczki pięknie się udają i rosną szybko; kiedym u was był po raz ostatni, i połowy tych kwiateczków nie było.

— Brat Jan—odezwał się Andrzej — chce koniecznie, jako poeta, do liczby dziewięciu muz dostąpić.

— Dałbyś temu wasza miłość pokój—przemówił kanclerz—postarać się lepiej o Apollina.

— Może go i dadzą Nieba — odparł Kochanowski, wskazując nieznacznie na żonę.

— Winszuję z serca, wpraszam się w kumy i chcę mieć Jana — zawołał kanclerz; ale gdy to mówił, lekka chmura zasępiła wysokie jego czoło.

— Czy do komnaty wasza miłość nie raczy? — spytała zarumieniona Kochanowska — spocząć należy po drodze i usiąść łaskawie w chacie naszej, żeby nam dziatki spały.

Poszedł chętnie i żywo, siadł na wysłanej ławie pod środkową ścianą, gospodyni i obojgu braciom usiąść kazał, wreszcie rzekł, zwracając się do Kochanowskiego:

— Cóż, panie wojski? kiedy wam dziatki z łaski Boskiej szczęśliwie na świat przychodzą i w dobrem zdrowiu się chowają, nie dałbyś się teraz namówić na kasztelanję? Snadnieby przyszła: wakujące krzesło jest, a król, pan nasz, rad je rozdaje takim, co nie proszą o nie. Co do mnie, zawszem waszej miłości życzliwy przyjaciel i służyć gotów.

— Uniżenie dziękuję, miłościwy panie—odparł Kochanowski—trzymam się zawsze jednego, a moją mierność nadewszystko cenię. Takim mężom, jak wasza miłość, do wielkich dzieł zrodzonym, radzić przystoi i rzeczy publicznej; mnie śpiewać za płotem i cieszyć się myślą wolną i zdrowiem.

Na te słowa kanclerz zadumał się smutnie, wspomniał na ciężkie i trudne zadanie swoje, wreszcie, idąc za swą myślą, rzekł:

— Musicie wiedzieć, panie wojski, do jakiego stopnia dochodzi zuchwalstwo panów Zborowskich i ich stronników. Spadnie głowa z karku Zborowskiemu, powinność i sam prawie gwałt wcisną tę ostateczność na mnie: jeśli ten nędznik w juryzdykcję moją wjechać się poważy, uczynię z nim, jak prawo każe. Nie darmo dochody Rzeczypospolitej pobieram, malowanym starostą być nie myślę; sądów grodzkich, zarówno jak spraw kanclerskich i hetmańskich,

pilnować muszę. Wiem, że od sześciu przeszło lat już trwa zuchwalstwo pana Zborowskiego, a żaden starosta nie odważył się wykonać dawnych, ale zawsze obowiązujących królewskich rozkazów; wiem, że panowie starostowie wyrządzenie sprawiedliwości w czas nakazany nazywają nadto wielką fatygą swej pańskiej osoby; ja trzymam inaczej: w mojem przekonaniu, ostatni nawet dech obywatela ojczyźnie się należy, a jakkolwiek ważne i przeciwne sobie urzędy piastuję, nikt przecież zarzucić mi nie może, abym uchybiał któremu: miłość dobra pospolitego umie mnoży czas i siły.

Skrzyły się ciemne oczy Zamojskiego, kiedy tak mówił twarz płonęła żywym rumieńcem, ręka jedna chwyciła szablę, druga, zdawało się, że rozkazuje. Zatrzymał się nagle i rzekł:

— Folgujcie mi, panowie bracia, iżem się tak zapomniał; dowód to mego szacunku dla was: mało ja przed kim duszę otwieram.

Kiedy domawiał tych słów, Kochanowski podał mu kielich węgrzyna, wołając:

— Możebyśmy wypili za zdrowie ojczyzny, alboli też za królewskie i waszej miłości, bo to troje na jedno wychodzi.

— Nie wzgardzam winem — odpowiedział kanclerz, jakby otrząsając z głowy ważne i natrętne myśli — ile że wiem zdawna, iż się na tych rzeczach znacie. Czas nam też kęs pobłaznować. Spełnij wasza miłość kielich w moje ręce, jak mówiłeś, a ja do zdrowia króla i Rzeczypospolitej dodam wasze, którem znowu pan Andrzej nie wzgardzi.

I tak się stało. Zasiedli pod ścianą, jak pierwej, a kielich z wytrawnym węgrzynem krążyć między nimi zaczął. Posypały się z ust dwóch braci krotofilne słówka, gdyż wiedzieli, że Zamojski lubił żarty i zwał je osłodzeniem życia ludzkiego.

W liczbie różnych wiwatów, wznoszonych dla gładszego spełniania kielichów, musiała przyjść kolej i na płeć piękną: ledwie Kochanowski wypił zdrowie pani kanclerzyny, kiedy kanclerz zażądał wypić zdrowie pani wojskiej w jej obecności; pani Kochanowska bowiem, nie chcąc przeszkadzać panom w rozmowie ich o sprawach publicznych, wysunęła się z bawialni. Poszedł tedy pan Andrzej wezwać bratową, a tymczasem nasz Jan oświadczył gościowi rychłe a pomyślne postanowienie najstarszej córki. Ucieszył się bardzo tą wieścią Zamojski, gdyż, szacując wysoko Podlodowskiego, uważał także i młodego Filipa; prosił więc, żeby Ewa zosobna przedstawioną mu była. Kochanowska zaś, wiedząc, czem się mężowi podoba i czem rozmowę podsyci, przyszła z Urszulką na ręku. Namawiała ona już blisko od pół godziny dziewczynkę, żeby jakim wierszykiem powitała kanclerza; dziewczynka jakoś nie zdawała się być przy poetyckiej ochocie i powtarzała, marszcząc czoło:

— Nie znam tego pana, boję się go.

Naprożno matka rozpowiadała jej różne rzeczy o nim: jaki możny, bogaty, jakie ma śliczne pałace i zamki, suknie złote i klejnoty, a taki dobry, tak dzieci kocha, sam zaś nie ma ani jednego, a pragnąłby bardzo, osobliwie syna. Dziewczynka jakby tego wszystkiego nie słuchała, obiecała jednak matce być grzeczną, dać buzi wielkiemu panu, chociaż wcale nie taki ładny, jak pan podkoniuszy. Zaniosła ją tedy Kochanowska. Ledwie ją kanclerz ujrzał, zaczął wymawiać obojgu rodzicom, że ją tak późno pokazują, a ujęty jej anielską pięknością, wziął ją na kolana i pieścił się z nią czule. Ona mu długo w oczy patrzyła; potem oglądała jego suknie, dotykała rączką drogich klejnotów, jakie miał na sobie, a gdy jej spytał, czy to piękne, odpowiedziała:

Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie;

Ale gdybyć Bóg dał dziecię,
Dałbyś wszystko za to.

Kanclerz zdumiał się, aż pobladł cokolwiek, a chcąc żartem zagoić bolesne, choć niewinne dotknięcie niezgojonej jeszcze rany, zawołał: „To ja nie będę szukał innych dzieci, jeno sobie wezmę Orszulkę. Już moja Orszulka, już moja!“ — wołał, owijając ją w połę aksamitnej ferezji. Ale ona, wyrywając mu się i trzęsąc główką, tak jeszcze przemówiła:

Nie, jam dziewczyna,
Tobie trzeba syna.
Mnie weźmie kto inny —
Aniołek niewinny.
Ja poproszę Boskiej Matki
Dla ciebie o zdrowe dziatki.

Nie mógł już wytrzymać Zamojski, zbladł jeszcze mocniej, łza zakręciła mu się w oku, wstał, oddał pani wojskiej dziecinę, mówiąc z uczuciem:

— Bez żadnej przesady były listy wasze o niej: to prawdziwie cudowne dziecię. Oby jej słowa były prorockie i oby ją wam Bóg uchować raczył!

A spostrzegłszy teraz dopiero Ewę, która od chwili była w komnacie i stała nieśmiało w oknie, zapytał się:

— Czy to ta dorodna dziewka pana Owadowskiego narzeczona?

Otrzymawszy odpowiedź, rzekł, głaszcząc Ewę pod brodę:

— Szkoda, co godzina już upłynęła; mógłbym ci, dzieweczko, wiele miłych rzeczy o twoim bogdanie naprawić; widziałem go nieraz w ogniu: dzielny rotmistrz z niego. Ale komu w drogę, temu czas; jedno ci jeszcze powiem: możesz go serdecznie miłować, godzien tego.

Tak mówiąc, Zamojski podał Ewie cudną djamentową spinkę, którą z kołnierza był wyjął, i powiedział z przymileniem:

— Sam twój ojciec gdzieś napisał:

„Miłość w dyjamencie ryje
Swe czułe obietnice i pod serce kryje".

Weź przeto tę spinkę, noś ją na piersiach, dzieweczko, i niech ci przypomina, jaką być winna twoja miłość dla przyszłego męża.

Jeszcze Ewa i wszyscy obecni stali zdumieni uprzejmemi słowy i szacownym darem kanclerza, kiedy on, całując w ramię gospodarza, kłaniającego mu się do kolan, pozdrawiając wszystkich, wsiadł śpiesznie na konia i kazał swoim dać znak umówiony.

Wnet z dwóch stron nadjechały pędem dwa oddziały straży hetmańskiej, zabrzękły szable, zatętniała ziemia pod jeźdźcami i ruszyli wszyscy ku Wiśle; a po chwili wszystko cichnąć zaczęło, aż nareszcie ucichło.

ROZDZIAŁ 8.

Kochanowski, przejęty do żywego łaskawą poufałością i hojnością kanclerza, dowiedziawszy się od kilku domowych i kmieci, że pan Zborowski coraz nowych ludzi gromadzi i coraz głośniej się odgraża, iż napadnie znienacka na Zamojskiego i zabije go choćby własną ręką, 11 maja, w parę godzin po wyjeździe kanclerza z Czarnolasu, dosiadł swego siwosza, objechał kilku bliższych sąsiadów, do dalszych rozesłał gońców z zaproszeniem: ażeby każdy, kto może, ruszył dobrze uzbrojony tej nocy drogą krakowską, a to w celu powiększenia orszaku kanclerza i łatwiejszego schwytania i pobicia zuchwalca Zborowszczyka, gdyby do krwawej walki

przyszło. Dobrze tedy przed północą z jakie sto koni pędziło krakowską drogą za kanclerzem do Iłży, miejsca jego noclegu.

Kochanowski zaś zalecił synowcowi swemu Adamowi, który, jako zastępca stryja, został ogłoszony dowódcą całego zebrania, żeby w jego imieniu zameldował się Zamojskiemu i przeprosił, że dla niesposobnego zdrowia i ramienia nie on sam przewodniczy tej garstce szlachty sandomierskiej.

Jakoż w kilka dni później zaczęła wracać zbrojna szlachta do domów, a stary Mysłowski przywiózł list Adama Kochanowskiego do stryja. Był prawie w tych słowach:

„Służby moje życzliwe zalecając pilnie Waszej Miłości, donoszę, że spisek, na kanclerza knowany przez Samuela, nie udał się, Zborowski przez Żółkiewskiego pojmany, śmiercią ukarany został.

Cały Kraków trząsł się od chwili uwięzienia winowajcy od pogróżek, poduszczeń i przekupstw Zborowskich i ich przyjaciół. Wielu z nich przychodziło do kanclerza i namawiało śmiało, aby się wstrzymał do sejmu z wykonaniem wyroku, przez króla Henryka na Samuela wydanego. Zamojski nie wzbraniał się od tej łaskawości, byleby kto przyjął na siebie obowiązek stawienia winowajcy przed sąd sejmowy. Nikt tego podjąć się nie chciał, ani śmiał ręczyć za obwinionego. Wtedy powiedział: „Zrobię, co miłościwy pan każe“. Oczekiwaliśmy tedy niecierpliwie powrotu grodzieńskiego posłańca; nadjechał 25 maja i przywiózł wyrok śmierci. Król Stefan w liście własnoręcznym napisał między innemi te słowa: „Wściekły pies zabity nie kąsa.“

ROZDZIAŁ 9.

Nastąpiły dni upalne, susza, rosy nawet skąpo było; słońce jasne i gorące, niezakryte nigdy cieniem dobroczyn-

nego obłoku, królowało samowładnie na czystym błękicie. Stosownie do słów naszego poety: „ziemia spiekła się prawie na popiół, świata nie znać było w kurzawie, rzeki dnem uciekły, a zagorzałe zioła wołały dżdżu z nieba“. Kochanowski, krwisty z natury i do bólu głowy skłonny, cierpiał mocniej jeszcze, niż ktobądź inny, na owym afrykańskim spieku, często jakby z sił opadał i do żadnej pracy nie był sposobny; przecież jednego poranku, przejęty widokiem ogólnego cierpienia, wzniósł umysł swój tam, skąd najsnadniej przyjść może ratunek i natchnienie, i ułożył następującą modlitwę:

„Wszego dobrego Dawco i Szafarzu wieczny!
Tobie ziemia, spalona przez ogień słoneczny,
Modli się dżdżu, i smętne zioła pochylone,
I nadzieja oraczów, zboża upragnione.
Ściśnij wilgotne chmury świętą ręką Swoją,
A one suchą ziemię i drzewa napoją,
Ogniem zjęte. O! który z suchej skały zdroje
Niesłychane pobudzasz, Ty dostatkiem hojnym
Żywej wody dodawasz rzekom niespokojnym;
Ty przepaści nasycasz i łakome morze.
Kiedy Ty chcesz, świat wszytek powodzią zatonie,
A kiedy chcesz, od ognia jako pióro spłonie“.

W wieczór, przy wspólnych pacierzach, Kochanowski powtórzył rzewliwie modlitwę swoją z dziećmi i z czeladką; i zaraz nazajutrz, jak gdyby w rychły skutek tych próśb, wszystko od rana zaczęło wróżyć zmianę powietrza i deszcz niechybny: kury piały w niezwyczajnym czasie, gęsi kąpały się w stawie, jaskółki latały nisko i trwożliwie, kot się mył, siedząc na ganku, muchy nad obyczaj dokuczały, sól zwilgotniała. Jakoż w rzeczy samej około południa zaczęły się zbierać chmury; wychodziły jedna za drugą ze wszech stron,

a coraz czarniejsze, jakby goście wezwani na stypę; zeszło się ich tyle, iż zdawać się mogło, że miejsca im zbraknie w przestrzeni; błyskawice rozjaśniać zaczęły ciemność, ozwały się dalekie grzmoty i zerwała się wielka burza. Cała drużyna czarnoleska, widząc zbliżającą się burzę, w cichej modlitwie podniosła serce do Tego, który i gromu nie potrzebuje, ażeby w każdej chwili pozbawić nas życia, bo śmierć i żywot w Jego jest ręku. Za każdą błyskawicą widać było pobożne głów nachylenie i słychać święte wyrazy: „A słowo stało się ciałem i mieszkało między nami". Kochanowska, zapaliwszy gromnicę i okadziwszy dom cały poświęconemi wiankami, wychodziła przed ganek, a biorąc w rękę najszacowniejszą ze wszystkich relikwję, szczątek drzewa z owego krzyża, na którym wisiało Zbawienie ludzkie, żegnała nadchodzącą chmurę, Ludwina zaś, uzbrojona w dzwonek loretański, obiegała po trzy razy dwór i zabudowania gospodarskie, błagając z pokorą Bogarodzicy; — ktokolwiek z domowych lub włościan jej dzwonek posłyszał, nabierał pewnej otuchy, że nic złego w całym Czarnolesie się nie stanie, skoro święta panienka czuwa nad nim i poleca go Bogu.

Nareszcie srogość burzy uśmierzyła się, a deszcz, który padał rzęsisty przez kilka godzin, ożywił całą naturę, ochłodził powietrze, odświeżył ziemię.

Kochanowski, wyszedłszy z domu, zaczął się przechadzać po sadzie; chodził od kwiatka do kwiatka, od drzewa do drzewa, radując się nad każdem. Ledwo go żona zwołać potrafiła do wieczerzy, którą cała czarnoleska drużyna z ochotą spożyła, rozmawiając o minionem niebezpieczeństwie i o tym nowym dowodzie Opatrzności nad nimi.

Jeszcze siedzieli wszyscy w bawialni, kiedy wjechał człowiek obcy na podwórze, a wnet jeden z domowych pachołków wszedł do izby i oddał panu list.

— Umyślny z nim przyjechał — rzekł — uwiązał konia u żelaznego kółka i powiedział, że czekać będzie na odpowiedź.

Otworzywszy list i przeczytawszy go, Kochanowski zawołał:

— Ot, niespodzianie chcą mnie zajechać i uczcić.

— Któż taki? — spytały się córki i żona.

— Bracia w Apollinie — odpowiedział z uśmiechem — mężowie piszący wierszem, lubo i proza nie jest im obcą, chcą tu nie dalej jak pojutrze na obiad zjechać i ruszyć z Bogiem nad wieczorem. Pytają się, czy wojska nie ulęknie się tej napaści?

— Wielki Boże! co tu będzie mądrości, jak tylu uczonych mężów zjedzie do nas!

— Ja się tam ich nie boję — odpowiedziała Ewa — pewno żaden z nich nie mędrszy od was, panie ojcze?

— Tego nie powiem — odrzekł Kochanowski — z niejednym mierzyćbym się nie śmiał, zwłaszcza po łacinie i w niewiązanej mowie.

— Powiedzcie nam, panie mężu, jak się zowią, co za jedni. Może oni i byli już w naszym domu, boć do was każdy Polak sławny a mądry wcześniej czy później zajrzeć musi.

— Niektórzy nie byli jeszcze. Starego pana *Reja* naprzykład nie znacie wcale.

— Pana Reja! Czy owego Reja z Nagłowic?—krzyknęła Kochanowska—owego opilca, obżarcy nieumiarkowanego? Toż on jeszcze żyje? Jam sądziła, co oddawna gdzie się zapił i zajadł*).

*) Naprawdę to M. Rej nie żył już w r. 1584 (umarł w 1569), ale autorka powieści wprowadza go tutaj dlatego, że był on osobą znaną w całym kraju i znał Kochanowskiego. Trzeba wiedzieć, że i niektóre inne osoby z występujących w tem opowiadaniu nie miały takich

— Zwolna, zwolna! nie srożcież się tak, pani żono, nie unoście się! Upamiętał się on, za młodu do zbytku światek mu smakował, dziś dobiegł siódmego dziesiątka, broda i czupryna biała, to i statek przyszedł ze starości szronem. Pamiętacie „Żywot człowieka poczciwego“ — zapytał — który wam nieraz czytuję zimowemi wieczorami?

— Pamiętamy! — ozwały się wszystkie.

— Wszak on go napisał, a jestże tam co gorszącego? przeciwnie, najzbawienniejsze nauki i przykłady, a w niejednem miejscu jakby iskry wyższego światła. Jeśli chcecie, jest on wesół, rubaszny, liche wiersze i grube żarty sypią mu się z ust gdyby z rękawa, przy stole trudnoby w nim mędrca dopatrzyć; jednakże należy mu się ta chwała, iż on pierwszy zaczął pisać czystą polską mową. Co do mnie, mam dla niego wdzięczność osobistą: on pierwszy moje wiersze polskie publicznie pochwalił. Młody jeszcze i mało komu znany, przysłałem był z Włoch pieśń jedną; na wielkiem zgromadzeniu czytano ją, i czytano obojętnie; dopiero obecny tamże Rej wziął ją, rozebrał, pochwalił i wróżył, że go daleko w poezji wyprzedzę.

— Jeśli tak, niechże przyjedzie, rada mu będę z duszy — upewniła Kochanowska. — A inni?

— Najznakomitszy majątkiem, godnościami, układnością, a może i nauką, to mój dawny współpracownik w królewskiej komorze, *Łukasz Górnicki,* tenże, co „Dworzanina“ napisał, i rzec można śmiało, że był i jest żywym dzieła swojego wizerunkiem.

— Ja wiem, ja go znam — przerwała Kochanowska — był przecież w naszym Czarnolesie temu lat trzy, a z nim

lat, jakby wypadało z tego, co się tu o nich pisze. W powieściach historycznych (albo i na obrazach, np. sławnego Matejki) autorowie umyślnie nie zachowują ścisłej prawdy co do czasu i osób, jeżeli im idzie o to, żeby nam żywiej przedstawić społeczeństwo w pewnej chwili dziejowej.

ten, co to ma złą żonę, zły urząd, ale gładko pisze, choć czasem tak złośliwie, ten, co to „Flisa“ ułożył i tak lubi wszystkim prawdę mówić.

— *Sebastjan Klonowicz* — odpowiedział Kochanowski — przyjedzie i on. Ja wysoko cenię tego poetę, choć nieborak pod niefortunną gwiazdą się rodził; zawsze krucho koło niego, zawsze narzekający i wcale dać sobie rady na świecie nie może. Drugi taki pisarz nieszczęśliwy, ale podobno w jego skargach więcej udania, niż prawdy, to ksiądz kanonik *Stryjkowski*, kroniki polskiej i litewskiej autor, wielki bywalec, żołnierz, wędrownik, a nareszcie kapłan, człowiek bez talentu do rymowania. Wielce też przekładam nad niego *Bielskiego Joachima*, którego podpis także tu widzę. Gdy on dopełni i poprawi pracę ojca swego *Marcina* i wyda ją kiedy, dopiero będziemy mieli kronikę polską. Nadto obok zalet pisarskich dużo on liczy cnót jako człowiek.

— Lecz z kogo pani wojska rada będzie, to z pewnego młodzieńca: nie starszy od pana Filipa, uroda rzadka i dowcip, a skromność większa nad te wszystkie zalety.

— Zgaduję, zgaduję: — zawołała Kochanowska, śmiejąc się — *Szymon Szymonowicz*, co przy boku kanclerza bawi, listy mu czasem pisuje. Prześladujcie mnie nim, jako chcecie, ja zawsze będę mówiła, że jego poezje są mi do smaku zaraz po waszych. Pamiętam, tej zimy, słuchając jego sielanek przy kominie w ciężki a mglisty mróz, zdało mi się, że wiosna, żem w gaju i widzę pasterzy.

— Mój ojcze! — przemówiła Ewa — wielu tam jest owych mężów piszących o Polsce, kiedy tak naraz aż tylu wyliczyć można, a każdy, według słów waszych, ma swoje izalety?

— Moje dzieweczki, nie skończyłbym ja do nocy, gdybym wam chciał wyliczyć tych wszystkich, których nauką, zdatnością do wiersza, piękną wprawą w prozie szczycić się

nam godzi. Wiek dzisiejszy przeszedł wszystkie inne w tej mierze; wiek to prawdziwie ozdobny i wielki, mamy nietylko ludzi znakomitych w poezji i prozie, ale mamy i uczonych we wszystkich rodzajach: historyków, statystów, mówców, filozofów, lekarzy, astronomów, fizyków. Śmiało rzecz mogę, dziś w żadnym kraju, wyjąwszy Włochy, nauki nie stoją równie wysoko, jak u nas; mamy trzysta drukarń, rozrzuconych w osiemdziesięciu miastach, i każda ma robotę; a co najlepsza, język nasz ojczysty, niedawno gruby i prosty, w piśmie zostawiony białogłowom, dzieciom i domowym potrzebom, obecnie przeszedł wszystkie słowiańskie. Prawdziwie serce we mnie rośnie, tajemna duma powstaje mi w duszy, kiedy, wyprzedzając wieki, posunę myśl w przyszłe czasy i niecielesnemi oczyma spojrzę na to, co będzie u nas za paręset lat. Do jakiej doskonałości dojdą wszelkie nauki, czem stanie się język, który w młodocianej dobie już męską okazuje dzielność, nieprzebrane odkrywa bogactwa, Lecz ja tu z wami Bóg wie o czem bzdurzę, a zapominam. że człowiek czeka.

I tak mówiąc, poszedł wesoło i śpiesznie do siebie, gdzie w paru dowcipnych rymowanych słowach skreślił odpowiedź swoją — zapraszając miłych a uczonych gości do siebie.

W dzień naznaczony, o umówionej godzinie, zajechał oczekiwani goście przed dom w Czarnolesie.—Jeszcze otyły pan Rej wygramolić się z kolebki swej nie zdążył, lubo mu pomagali Górnicki i Bielski, kiedy po pierwszych słowach pozdrowienia wołał, na głos śmiejąc się:

— Otóż, panie wojski, przywozim wam młodego Feba, Stanisława Niegoszewskiego. Już on świat swoim genjuszem zadziwił i imię polskie daleko rozsławił.

— A! — odrzekł z widoczną radością Kochanowski— ów młody mędrzec, co dziwem był w Wenecji? Zaszczyt dla mnie rzetelny mieć go pod dachem swoim.

I podał rękę wysiadającemu młodzieńcowi, który, uścisnąwszy ją z uszanowaniem, powiedział może z nieco udaną skromnością i w rzymskiej mowie:

— Trąby sławy często są omylne, zwłaszcza gdy odgłos idzie zdaleka. Pragnąłbym ja chętnie waszej miłości kiedyś sprostać i żyć w pamięci ludzkiej tak długo, jak Jan Kochanowski.

— Jeno wróć do ojczyzny, bracie, a pisz po polsku i po polsku rozprawiaj! Włochy bez naszego rozumu się obejdą.

Tak się odezwał najbliżej stojący młodzieniec i sam jeszcze młody — Klonowicz.

— Wejdźcie do komnaty, panowie bracia — mówił gospodarz, skończywszy powitania — niechże was przedstawię mojej Hannie i córkom.

— To pani i panięta w komnacie? — przerwał Rej— tam do licha, bracie:

Kiedy jejmość w izbie bawi,
Gość się często ślinką dławi.

— A biedny Mikołaj — dodał, głaszcząc się po brzuchu — już od dwóch godzin nic nie dostał. Bo wasza miłość, która mnie pierwszy raz w życiu widzisz, — powiedział jeszcze, wchodząc do komnaty, gdzie u drzwi stała Kochanowska ze starszemi córkami—może nie wiesz, że stary Rej nic nie umie, jedno czapkę zdjąć, dobry dzień dać i o jadło pytać.

— Godziż się obmawiać samego siebie? — odrzekła z uśmiechem gospodyni. — W „Żywocie człowieka poczciwego" innego Reja poznałam i takiego widzieć pragnę.

A skłoniwszy mu się głową, witała innych gości, wyrażając im uprzejmie szczerą radość, że tylu zacnych panów naraz w domu swoim przyjąć może. Kochanowski tymcza-

sem obchodził z flaszą anyżówki, zachęcając do różnych przekąsek, które stały na stole.

Rozmowa, z początku na przesadny ton nastrojona, szła dość kulawo, jak to zwykle bywa na wstępie; przerwała ją gospodyni, z nadobnem przymileniem zapraszając gości na skromny obiadek.

Umywszy ręce u fontanny i otarłszy je szacownemi ręcznikami, goście zasiedli do stołu; Rej tylko dopytywał się usilnie, gdzie misa, bo tam chciał siedzieć, i mówił:

Zawżdy ci więcej jedzą,
Którzy bliżej misy siedzą.

Ale mis jeszcze na stole nie było; kurzyły się w dwóch głębokich donicach z uszami korzenne i treściwe zupy. Wszyscy za przykładem pana Mikołaja zjedli i barszcz rumiany i złotą polewkę.

— Barszcz — ojciec, a polewka — matka; mój żołądek — dobry syn, oboje miłuje zarówno — tak się tłumaczył z tego apetytu.

Jeden Niegoszewski poprzestał na samym rosole, ledwie pokosztował ciężkich mięs z pierwszego dania, a kiedy mu Ewa nałożyła, jak innym, talerz pieczeni z cebulą, zakręcił nosem i wyjąwszy z zanadrza jakąś flaszeczkę, wąchał ją nieznacznie.

To obejście się kawalera Rzeczypospolitej Weneckiej w niesmak poszło panu Rejowi; mimo więc pełnych ust mięsiwa i ogórków, przebąknął z przekąsem, jakby sam do siebie:

Włochy tem się chlubią, że perfumy mają,
A też śmierdzieć nie mogą, bo cienko jadają.
Dla Polaka perfuma — pieczenia z cebulą,
A potem konew piwa, aż się oczy stulą.

Mimowolnie wszyscy głośnym śmiechem parsknęli na

ten wierszyk trochę gruby a niespodziewany, wyzwany zaś młodzieniec dobrze się znalazł, bo chociaż pokraśniały mocniej okrągłe jego rumieńczyki, przecież rozśmiał się z innymi.

Kochanowski, chcąc odwrócić uwagę gości od zakłopotanego młodzieńca, począł wychwalać gościom sandomierskie flaki, które właśnie na stół podano, a gdy Rej, podsuwając powtórnie swój talerz Kochanowskiej, rzekł: „Smaczna potrawa mnie zawsze do powtórzenia wzywa. Ależ, pani wojska — dodał — u was widzę nie obiadek, jakeście mówili, prowadząc nas tutaj, jedno całą gębą *obiad;* każdy, wstawszy, jeśli wstać zdoła, będzie mógł śmiało powiedzieć, że się *objadł.*

— Wy jednak pierwsi, panie Reju — odezwał się Górnicki — dopatrzyliście owych szczególności; wy pierwsi z polską mową tak igracie.

— Taki gracie! pięknie, panie starosto, wymyślać staremu! Zresztą może tam zamłodu był kęs dowcipu w tej głowie, ale co dziś, są nierównie lepsi ode mnie, którym igraszka słów wypada jak kamień z procy, z którymi ani się dogadasz. Naprzykład pan Smolik, młody jeszcze, a już kuty w konceptach. Wiecie, co powiedział tej zimy? Oto idącemu ulicą w Krakowie zaszedł drogę żebrak i mówi do niego: „Proszę waszej miłości na chleb.“ A on mu na to: „Jedz, bracie, sam; ja wolę iść do księdza biskupa, który mię prosił na zraz pieczeni“. On także, kiedy go się niedawno pytano, jak sobie świętych uważa, odpowiedział:

— „U mnie najlepszy To-masz, a najgorszy Ja-dam.“

— Wybornie! udało się!—mówili obecni śmiejąc się. Niech żyje Smolik i Rej!

Wtem Nastka wniosła Urszulkę, bo ją Kochanowski przywołać kazał. Dziecina z otwartemi rączkami do szyi ojca pobiegła; gdy ją postawił na swoich kolanach, wszyst-

kim obecnym wdzięczne oddawała ukłony, a tym, którzy ją znali, posyłała głośne pocałunki.

— Żywy anioł z nieba — szeptali między sobą goście.

— Słuchaj — powiedział do niej ojciec, gdy już trochę ucichli z pochwałami — ci panowie umieją składać wiersze, tak jak i ty składać zaczynasz; może który z nich powie nam co swego, może i ja co powiem, pomyśl i ty, i powiedz nam także.

— Któż zacznie? — spytał Kochanowski, nalewając szacowny puhar sędziwym węgrzynem. — Panie Mikołaju, wam wino i piosenka.

— Wiecie, co ja nie poeta, jeno wierszokleta — odrzekł Rej, kładąc z pokorą lewą rękę na piersiach, a prawą wyciągając po kielich:

Jam prosty Polak, nigdzie nie jeżdżając,
Tum się pasł na dziedzinie, jako lesie *) zając;
Z granice Polskim miłej nigdzie nie wyjechał,
A zmłodu bardzom długo nauki zaniechał.

— Otóż i mamy wierszyk — zawołał Kochanowski wesoło. — Z waszą miłością sprawa nie trudna; spełnijcie puhar, do kogo wola wasza.

Rej, równie do wiersza, jak do napoju ochoczy, spełnił duszkiem złote naczynie w ręce Klonowicza, który głosem rozwlekłym przemówił:

*) *Lesie* zamiast dzisiejszego: *w lesie*.

W tym wierszyku i w innych, które będą dalej, są różne wyrazy staropolskie, dziś już nieużywane, albo znów takie, które dziś brzmią nieco inaczej. Tak np. tutaj zaraz w wierszu 3-im mamy wyraz *granice* zamiast dzisiejszego w tem miejscu *granicy*. Będziemy w dalszym ciągu dawali objaśnienia tylko trudniejszych wyrazów, w innych miejscach czytelnik łatwo sam spostrzeże i zrozumie różnicę między formami staropolskiemi a dzisiejszemi. W każdym języku na świecie następują z biegiem czasu rozmaite zmiany; tak się dzieje i w języku polskim.

Trunek, kto zbytnio pije, rozum w nim wygasza;
A kto bardzo dolewa, i duszę wystrasza.

— Ja tam — odpowiedział na dwuwiersz Klonowicza Kochanowski — wcale inaczej trzymam o trunku i większy mam dla niego szacunek.

Jam nie dbał nigdy o złoto,
Alem tylko prosił o to,
Aby kufel stał przede mną
I przyjaciel pijał ze mną,
A tymczasem robotnicy
Pieczę mieli o piwnicy.
To wszystko moje staranie,
To skarb, złoto i zebranie.
Ani dbam o kasztelana,
Trzymając się mocno dzbana.

— Oto wierszyk gładki i uczony, choć pracy nie widać, — wyrzekł półgłosem Górnicki — prawdziwy mistrz nasz pan wojski.

Kochanowski tymczasem zwrócił się do Urszulki i spytał:

— Słowiczku mój, odezwij się nam także! Cóż dziś tak długo usta twoje zamknione? nigdy tego nie bywało. A ona odpowiedziała poważnie:

Myślę, ojcze — gości wiele,
Zda się, kwitnie nam wesele,
A tu może już gdzie z boku
Ból jest w sercu, łza jest w oku;
Kto wie, czy za tą pogodą
Chmur czarnych wiatry nie wiodą?
Jedna jest błoga kraina,
Gdzie trosk niema i goryczy;
Tam tonie każda godzina,
W źródle szczęścia i słodyczy;
I znowu wypływa
Słodka i szczęśliwa.

Tam słońce wieczyste świeci
Dla ludzkich dzieci,
Bo wszelka człowiecza trwoga
Ginie u Boga.

Zdumieli się wszyscy zacząwszy od ojca, może nie tyle nad wierszykiem, gdyż wiedzieli, że dziewczę rymuje z taką łatwością, jak ptaszki śpiewają, ile nad duchem wierszyka; lecz nikomu, nawet ojcu, nie przyszedł w porę, nie przypadł do smaku.

Kochanowski, w którym przy wesołej biesiadzie odzywała się światowa żyłka i nałogi swawolnej nieco młodości, nierad smutnym myślom, tembardziej że mu zaraz stawał przed oczyma oddalony przyjaciel, powstał żwawo, oddał Urszulkę matce, a już nieźle podpity, porwał pełny puhar, kazał pootwierać okna, muzyce grać huczno i wesoło, i jakby na kieł biorąc, zaśpiewał, podług poety greckiego Anakreonta, pieśń weselną a podchmieleni goście zawtórowali mu gardłem całem.

ROZDZIAŁ 10.

W kilka godzin po rozjechaniu się uczonych i podochoconych gości, gospodarz rzucił się na łóżko i tak jak był ubrany, zasnął; Kochanowska zaś, gdy się już wszyscy położyli i usnęli, wstała około północy i zaczęła według swego codziennego zwyczaju śpiącą dziatwę oglądać i patrzeć, czy któremu czego nie brakuje. Otulając Urszulkę, która wszystko z siebie zrzuciła, poczuła w jej głowie i rączkach wielkie gorąco. Biedna matka strwożyła się bardzo i już nie wróciła do swego łóżka, a gdy pierwszy blask zorzy obudził Ludwinę, zwierzyła się jej z niespokojnością

swoją, znacznie nawet pomnożoną, gdyż Urszulka, zamiast ochłodnąć nad rankiem, coraz była gorętsza. Pobożna a niedoświadczona dzieweczka uspokoiła cokolwiek matkę swojemi słowy, pełnemi, jak jej dusza, spokoju i świętej nadziei, a chcąc obecnością swoją matce trochę ulżyć, usiadła przy kolebce i już jej nie odstąpiła.

Tymczasem Urszulki gorączka z każdą chwilą wzmagać się zdawała, a nabrzękłe jej policzki ogniem pałały. Zrazu ani matki, ani sióstr nie poznawała, owszem odpychała od siebie; widać było, że mocno cierpi, a gdy ją pytano, co ją boli, jęcząc wołała:

— Kto mnie kocha, kto Jezusa kocha, niech mi weźmie głowę! boli! ah! bardzo boli, nie wytrzymam!

Kochanowska, przerażona, nie mając odwagi leczyć własnego dziecięcia i brać jakby na swoją odpowiedzialność życia Urszulki, stosowała jedynie środki radzone jej przez przywiązaną sługę Nastkę. Lecz ani pijawki, ani gorczycowe plastry dziecku nie pomagały, a kiedy Kochanowski przebudził się nareszcie, poznał odrazu z pomieszanych twarzy kobiet, że grozi mu jakieś wielkie nieszczęście, że straci swoją ukochaną Urszulkę.

I w rzeczy samej każda chwila jakby potwierdzała wyrok. Śmierć niby cień, gdy się noc zbliży, zachodziła coraz wyraźniej na to wczoraj jeszcze pełne życia oblicze, a wszystkie używane domowe i stręczone z całej wsi i okolicy lekarstwa żadnego nie robiły skutku. Dzień i noc leżało dziewczę w srogiej wewnętrznej walce, bez zmysłów prawie. Głosiły tę walkę ducha z ciałem, rychły jej koniec i triumf — słowa wymykające się czasami z ust dzieciny. Były w nich własne jej myśli i wyrażenia, były i zastosowane psalmy ojca, a w każdym z tych słów, z niewypowiedzianą boleścią rodziców, którzy prawie ciągle siedzieli nachyleni nad jej kolebką, było oczywiste znamię: że coś w niej przeczuwa rychłą śmierć, że to już wyrok zapadły,

niecofniony, że nawet (co wyrzec okropnie, ale czego zapewne niemal każdy z nas doznał przy łożu śmiertelnem ukochanej osoby) już i modlić się za nią za późno, bo już sam Bóg dekret śmierci podpisał.

Raz szeptała dziecina jakby sama do siebie:

Jam trawa, com nie czekała
Razu kosy siekącej,
Alem przed czasem zniszczała
Ogniem plagi gorącej.

Drugi raz, siadając nagle w kołysce, patrząc śmiało w najciemniejszy kąt izby, wskazywała palcem i mówiła mocnym głosem:

Śmierci! próżno mi grozisz:
Nic mi nie straszliwe
Twoje strzały popędliwe,
Choć ty stoisz tuż przede mną;
Nie lękam się — Bóg mój ze mną.
Ustąp miejsca aniołowi!

i to mówiąc, wskazawała w drugą stronę izby pod okno, gdzie Ludwina modliła się w cichości:

Widzisz go, jak składa ręce,
Słyszysz, jak słodko on mówi:
„Przyszedł koniec twojej męce.
Wezmę cię na swe ramiona.
Orszulko [1]), będziesz zbawiona."

To powiedziawszy, wyciągała rączyny, szukała wzrokiem matki, przykładała z uczuciem ręce jej do spiekłych

[1]) Za czasów Kochanowskiego używano wyrazu *Orszula* zamiast dzisiejszego *Urszula*, a więc też *Orszulka*, nie *Urszulka*.

ust swoich, a widząc wybladłą, łzami zalaną, odzywała się do niej prawie wesoło:

Nie płacz, matko, proszę!
Ja idę do nieba
Na czyste rozkosze;
Mnie zazdrościć trzeba.

Twoja luba córka
Oblecze się w piórka;
Z aniołkami siędzie.
Matko! źle ci będzie?

wpadając jakby w zachwycenie, klękała w kołysce, składała ręce i modliła się z zapałem.

— O! rychłoż pójdę? — wołała—rychło się ukażę Jezusowi memu?

O! idzie, idzie mój Jezus drogi.
Trzyma Go dziewica w bieli,
Otaczają Go anieli.

Rzucę ja się im pod nogi;
Przyjmie Dzieciątko dziecinę,
Przytuli matka sierotę...

I w tem miejscu, przerywając sobie nagle, jak gdyby na ów ziemski wyraz sieroty coś ziemskiego odezwało się w niej całej, zaczynała płakać do łez. Przychodziła na chwilę do siebie, poznawała wszystkich, wracała do dziecięcego rozumu, do dziecięcej tkliwości, wołała siostry po imieniu, żegnała się z każdą zosobna, żegnała Nastkę, czeladź, wołała nawet do kolebki psy domowe; kazała sobie przynosić łątki i zabawki swoje, i z niemi także się żegnała; matkę i ojca przyciągała do siebie, całowała ich ręce, głaskała po twarzy, prosiła, żeby okiennice i okna w izbie pootwierali, żeby się mogła jeszcze choć trochę napatrzyć światła słonecznego.

W takim stanie trwała trzy dni i trzy noce w ciągłym ogniu, w ciągłem cierpieniu, biorąc chętnie wszystkie lekarstwa, znosząc bez szemrania wszelkie boleści, dziękując za każdą usługę. Nareszcie czwartej nocy, jeszcze przed świtaniem, wyrzekłszy wyraźnie i głośno te trzy święte imiona: —„Jezus, Maryja, Józef“, umilkła; mowa jej ustała zupełnie, oczy się przewróciły, wzmogło się okropne robienie pier-

siami: zgoła — nastąpiło ostateczne pasowanie się śmierci z życiem, straszliwe konanie.

Nagle wszystko ucichło, zrobiło się wielkie, głębokie, uroczyste milczenie, a każdy poznał, że przyszła śmierć, bo takie milczenie — to mowa śmierci.

Nie mam siły, nie mam serca, a podobno i słów nie mam do opisania tego, co się działo w Czarnolesie po tem spełnionem nieszczęściu. Żal matki któżby poważył się odmalować? któżby wysłowił ów ból, jakiego doznawać musiała? I na odmalowanie bólu ojca nie łatwoby się odważyć; ale niema potrzeby się silić i byłoby jakby świętokradztwo, gdyby na wydanie uczuć Kochanowskiego po stracie Urszulki szukać słów innych, kiedy on nam zostawił *„Treny"*.

Po pierwszych chwilach osłupienia, jakie ogarnia najczęściej po wielkiem nieszczęściu, głęboka rozpacz objęła Kochanowskiego. Póki jeszcze była w domu jego Urszulka, póki leżała w trumience na środku komnaty, otoczona świecami, okryta kwieciem,—póki się mógł wpatrywać w tę twarz ukochaną, której śmierć wróciła anielską pogodę i uśmiech, — póki mógł całować te rączki złożone, póki się nie zamknęło nad nią wieko grobowe, — póki jej nie złożył obok matki swojej, nie przysypał ziemią: póty znał jeszcze jakieś granice w żalu swoim. Ale kiedy wrócił ze Zwolenia i zastał dom pusty, przez kilka godzin chodził jak obłąkany, albo też pogrążony w myślach, siedział jak martwy po całych godzinach. Sprawy gospodarskie, przyjmowanie życzliwych krewnych i sąsiadów, którzy na odgłos niedoli zbiegali się do Czarnolasu, wszystkie trudy i zabiegi codziennego życia, wszystko to ciężyło na biednej matce i może z rzetelnem jej dobrem; bo te konieczne zachody odrywały ją od jej żalu, albo też rozrzewniały do łez, co także ulgę przynosi.

Kochanowski zaś czuł i okazywał zupełną oschłość i rozdrażnienie w smutku; z gniewem, częściej z cierpką iro-

nją, odpowiadał na słowa pociechy przyjaciół, na zalecanie mądrości i pobożnego męstwa, na przytaczanie przykładów, jak ten i ów karę Nieba wytrzymał.

I ta tkliwa dusza, znękana, pognębiona, nie ukołysała się ani trochę, nie wróciła do siebie, dopóki ręka nie uchwyciła za pióro, dopóki przepełnionych uczuć swoich nie wylał na papier.

Dziesiątej nocy po śmierci Urszulki, siedząc samotny w swoim pokoju, tak kreślił swoje żale, a łzy z oczu mu płynęły:

Jako oliwka mała pod wysokim sadem
Idzie z ziemie ku górze macierzyńskim śladem,
Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,
Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc;
Tę jeśli, ostre ciernie lub rodne pokrzywy
Uprzątając, sadownik podciął ukwapliwy [1]),
Mdleje zaraz, a zbywszy siły przyrodzonej,
Upada przed nogami matki ulubionej:
Takci się mej namilszej Orszuli dostało.
Przed oczyma rodziców swoich rostąc [2]), mało
Od ziemie się co wzniósłszy, duchem zaraźliwym
Srogiej śmierci otchniona, rodzicom troskliwym
U nóg martwa upadła. O! zła Persefono [3]),
Mogłażeś tak wielu łzam [4]) dać upłynąć płono [5])?

* * *

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo [6]) słowieńska,
Na którą nietylko moja cząstka ziemieńska,
Ale i lutnia [7]) dziedzicznem prawem spaść miała!

[1]) *Ukwapliwy* = zbyt prędki, z pośpiechu nieostrożny. [2]) *Rostąc* — po staropolsku zam. dzisiejszego *rosnąc*. [3]) *Persefona* — bogini śmierci u starożytnych Greków. [4]) *Łzam* — bardzo stara postać wyrazu zam. dzisiejszego *łzom*. [5]) *Płono* = napróżno. [6]) *Safo* — sławna poetka w starożytnej Grecji. [7]) *Lutnia* — narzędzie muzyczne, używane w starożytności.

Tęś nadzieję już po sobie okazowała,
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając.
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym
Całą noc prześpiewa gardłkiem swem ucieszonem.
Prędkoś mi nazbyt umilkła, nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga!
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami,
I tę trochę teraz płacę sowicie łzami.
A tyś ani umierając śpiewać przestała,—
Lecz matkę ucałowawszy, takeś żegnała:
„Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasiędę;
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.“
To i czego żal ojcowski nie da serdeczny
Przypominać więcej, był jej głos ostateczny.
A matce, słysząc żegnanie tak żałośliwe,
Dobre serce, że od żalu zostało żywe.

* * *

Nieszczęsne ochędóstwo [1]), żałosne ubiory
Mojej namilszej córy,
Poco me smutne oczy za sobą ciągniecie?
Żalu mi przydajecie.
Już ona członeczków swych wami nie odzieje—
Niemasz, niemasz nadzieje!
Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany.
Już letniczek [2]) pisany [3])
I uploteczki [4]) wniwecz i paski złocone,
Matczyne dary płone [5]).

[1]) *Ochędóstwo* — tutaj znaczy: stroje. [2]) *Letniczek* = lekka sukienka. [3]) *Pisany* = malowany i różnokolorowy. [4]) *Uploteczka* = tutaj: wstążeczka (do wplatania np. w warkoczyk). [5]) *Płony* — (dziś płonny) bezużyteczny.

Nie do takiej łożnice, moja dziewko droga,
Miała cię mać [1]) uboga
Doprowadzić, nie takąć dać obiecowała
— Wyprawę, jakąć dała:
Giezłeczkoć [2]) tylko dała a lichą tkaneczkę [3]);
Ociec ziemie bryłeczkę
W główki włożył... Niestetyż! i posag i ona
W jednej skrzynce zamkniona.

* * *

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulo, tym zniknięciem swoim.
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było:
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszytki [4]) mówiła, za wszytki śpiewała,
Wszytkiś w domu kąciki zawżdy pobiegała;
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytnim głowy psować,
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.
Teraz wszytko umilkło, szczere pustki w domu,
Niemasz zabawki, niemasz rozśmiać się nikomu,
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje.
A serce swej pociechy darmo upatruje.

* * *

Żaden ociec podobno barziej [5]) nie miłował
Dziecięcia, żaden barziej nad mię nie żałował.
A też ledwe [6]) się kiedy dziecko urodziło,
Coby łaski rodziców swych tak godne było.

[1]) *Mać* = matka. [2]) *Giezłeczko* = koszulka. [3]) *Tkaneczka* = tutaj znaczy: wieniec weselny. [4]) *Wszytki* — bardzo dawna postać wyrazu; dziś: wszystkie, wszystkich. [5]) Dawniej mówiono: *bar-zo, bar-ziej.* [6]) *Ledwe* dziś: ledwie, ledwo.

Ochędożne, posłuszne, karne, niepieszczone,
Śpiewać, mówić, rymować jako co uczone;
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,
Obyczaje panieńskie umieć i zabawę;
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nie rzewniwe [1]),
Dobrowolne, układne, skromne i wstydliwe.
Nigdy ona po ranu [2]) karmie [3]) nie wspomniała
Aż pierwej Bogu swoje modlitwy oddała;
Nie poszła spać, aż pierwej matkę pozdrowiła
I zdrowie rodziców swych Bogu poruczyła.
Zawżdy przeciwko ojcu wszytki przebyć progi,
Zawżdy się uradować i przywitać z drogi;
Każdej roboty pomóc, do każdej posługi
Uprzedzić było wszytki rodziców swych sługi.
A to tak w małym wieku sobie poczynała,
Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.
Tak wiele cnót jej młodość i takich dzielności
Nie mogła znieść; upadła od swojej bujności,
Żniwa nie doczekawszy. Kłosie mój jedyny!
Jeszcześ mi się był nie zstał [4]), a ja twej godziny
Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję;
Ale pospołu z tobą grzebię i nadzieję.

Tak wynurzywszy w nieśmiertelnych wierszach żale swoje, Kochanowski ulżył sercu, zmiękł, złagodniał, a oparłszy się na stole, zawarł mimowolnie oczy i zasnął, podobno pierwszy raz od śmierci Urszulki. I spotkała go wielka pociecha: przyśniła mu się matka, której ukazanie się było dla niego dobrodziejstwem, bo w dniach smutku i trwogi uspokojenie mu przynosiła.

Od tego pamiętnego snu, od tego zjawienia się drogiej matki Kochanowski stał się jakby innym człowiekiem.

[1]) *Rzewniwy* = zazdrosny. [2]) *Po ranu* = rano. [3]) *Karmie* od wyrazu *karmia* t. j. pokarm. [4]) *Zstać się* = dojrzeć.

Zdawało się, że dobroczynna ręka stargane jego myśli rozplątała, że rozwiązała ściśnione serce, wskrzesiła obumarłego ducha. Nieznośna jego żałość, czarna rozpacz, ostre skargi przybrały barwę łagodnej tęsknoty, pobożnego smutku. Płakał, ale rzęsiste łzy jego gasiły żal, bo płacząc zgadzał się, podlegał i modlił się. Najchętniej siadywał samotny pod lipą swoją, ale już słuchał uprzejmie i z wdzięcznością słów pociechy sąsiadów i krewnych, rozmawiał poufale z żoną, z Ewą, a podobno .najpoufalej z Ludwiną. Dusza świętej, oderwanej od ziemi dzieweczki najlepiej przystawała teraz do jego duszy; bo i on widocznie dążył gdzieś wyżej; i u niego tracił cenę świat ten i sława jego, i on jawnie poznawać zaczynał, że wielkie a nienasycone serce człowieka dla samego Boga jest uczynione i że jedno sam Bóg napełnić je może. Z zupełną rzetelnością, z głęboką pokorą powtarzał za Jobem: „Pan dał, Pan wziął według upodobania swego, niech imię Pańskie będzie pochwalone". Zgoła zrobił się takim, jakim powinien być każdy chrześcijanin, gdyby kiedy mógł się zdobyć na podobną doskonałość, zupełnie oddany woli Boga, przyjmujący z Jego ręki smutek, jak dawniej przyjmował wesele.

Więcej niż w tydzień po onym śnie błogosławionym, właśnie w wigilję Wniebowzięcia Najświętszej Panny, Kochanowski wstał przed słońcem i oświadczył żonie, że ani na śniadanie, ani na obiad nie wróci; dosiadł swego siwosza i pojechał do Zwolenia. Tam oczyścił się wodami świętej pokory, wzmocnił duszę chlebem żywota, potem objechał z kolei znajomych i krewnych; wszędzie krótko zabawił, ale wszędzie dostał prawdziwą jałmużnę serca, łzę rzewną i błogosławieństwo. Zdziwiło i ucieszyło bardzo to postępowanie i matkę i córki, a Kochanowska rzekła:

— Panu Bogu za tę łaskę dziękować! Więcej niż od tygodnia — mówiła ciszej—widzę ja w waszym ojcu zbawienną odmianę. Zrazu zdawało mi się, Boże odpuść, że

on niedosyć pobożnie skaranie Pańskie przyjmuje, a teraz on mnie zawstydza poddaniem się a pokorą swoją. Prawdać: on mąż, ja niewiasta... matka.

— I jabym rada mieć w duszy tyle spokoju, co ojciec—odezwała się Ewa, spuszczając głowę w robotę swoją; — ale choć najmocniej chcę, to jakoś nie mogę: zda mi się, że pan Filip nigdy nie przyjedzie.

A cienkim ręcznikiem, który wyszywała, obcierała pokryjomu łzy, spadające jak groch z jej oczu; wstyd jej było bowiem i bała się obrazić Boga i rodziców, płacząc niespełna w miesiąc po śmierci Urszulki nad czem innem, niż nad stratą siostry. Wtem Nastka, której od śmierci Urszulki z dziesięć lat przybyło, jeszcze bledsza i więcej zapłakana, niż zwykle, weszła do izby, a skrywszy się cokolwiek za piec, chciała wywołać Ewę. Lecz Kochanowska dostrzegła i pomieszanie jej i skinienie ręki i pełna trwogi zawołała, porywając się ze swego stołka:

— Mów! co się stało?

— Pan rotmistrz przyjechał.

— Pan rotmistrz!—krzyknęła Ewa, biegnąc ku drzwiom A była radość w jej głosie. Otworzyła drzwi od sieni. Ale jakież było jej przerażenie, kiedy ujrzała go zbladłego, schudzonego, zaniedbanego w ubiorze! Nie rzucił się do jej nóg, nie przemówił ni słowa, tylko stał oparty o ścianę jak zbieg, jak winowajca.

Filip wracał sam. Przeczucia Kochanowskiego przy pożegnaniu z przyjacielem spełniły się — Podlodowski nie żył już od miesiąca.

Cała podróż powiodła im się jak najpomyślniej; konie zakupili arabskich bardzo pięknych, Podlodowskiemu udało się z nadzwyczajnem szczęściem zadość uczynić tajemnym a ważnym poleceniom króla. Wracali też radzi i weseli do kraju, gdy niespodzianie zostali napadnięci przez bandę zbójecką. Tym razem jednak, prócz chęci zrabowania podróż-

nych, przybył i inny powód ważniejszy. Wyższe osoby zmiarkowały, w jakim celu Podlodowski przybył, jakie wywozi wiadomości, i zawyrokowali, że najlepiej będzie się go pozbyć. Użyto tych samych łotrów, ale im dodano ludzi, broni i zbrodnia się udała.

Cała służba Podlodowskiego legła, a pierwszy on sam, mimo nadludzkiego męstwa, z jakiem stawiał się napastnikom, mimo synowskiego poświęcenia, z jakiem bronił go Filip. Ocalony prawie cudem Filip, odzyskawszy nieco sił, zawlókł się do najbliższej osady wiejskiej, gdzie go przecie poratowano.

Przyszedłszy nieco do zdrowia, o ile mu pozwalały bolesne, choć nie niebezpieczne rany, dążył tam, gdzie mogło być jeszcze szczęście dla osieroconego serca, jeśii Ewa żyje, jeśli mu sprzyja. Przecież, im więcej zbliżał się do Czarnolasu, tem spokojniejszy był o życie, o uczucia bogdanki, a tem silniejsze dręczyły go wyrzuty, że się nie pomścił za ojca, że nie odszukał jego ciała, że bez tych drogich zwłok wracał. I dlatego stał w sieni jak winowajca, i kilka chwil minęło, zanim osłupiała Kochanowska i córki jej zrozumieć potrafiły ze słów jego, co się stało.

Kiedy Filip te straszliwe rzeczy opowiadał, Kochanowski stanął niespodzianie wśród nich, a o nic nie pytając, wszystko odgadł.

— Tego ciosu mi niedostawało i tegom się spodziewał — rzekł z głęboką, ale ze spokojną boleścią. — Pan jawnie przemawiać do mnie raczy; chce, żebym odrazu odżałował wszystkiego i gotował się na trwalsze rozkosze. Niech imię Jego będzie pochwalone!

— Młodzieńcze—rzekł, obracając się do Filipa—trzeba nam niebawem wybrać się do Lublina; ja sam całą sprawę przyjaciela przedstawię miłościwemu panu, on jej wysłucha, on się pomści, on sprawiedliwy.

A według tego, jak mówił, tak też i uczynił. W kilka dni potem pożegnał żonę i córki, pobłogosławił je, wydał rozkazy co do gospodarstwa, jak gdyby długą miała być jego niebytność; o resztę kazał się radzić bratanka Andrzeja z Gródka i pojechał do Lublina wraz z Filipem, który, mimo żalu za przybranym ojcem, dostrzegł w przyćmionych łzami oczach Ewy, usłyszał z pobladłych ust jej, że może być jeszcze dla niego szczęście na świecie.

Ale dla Kochanowskiego zbliżała się już ostateczna godzina; przeczuwał ją i ledwie wyjechał za wrota domowe, otwarcie zaczął mówić Filipowi o śmierci swojej.

— Nie wiem dnia ani godziny, kiedy nastąpi—powtarzał—ale wiem, że przyjaciel niedługo czekać na mnie będzie: zdawna ten wyrok podpisany gdzieś wyżej. Bóg nie opuści wdowy i sierot moich... Ty, młodzieńcze, będziesz synem mojej Hannie, będziesz bratem sióstr mojej pierworodnej i mego pogrobka. Pan w miłosierdziu swojem oświecił mnie niedolą: nie lękam się śmierci, raczej bałbym się życia...

I w takich uczuciach, wśród podobnych zwierzań się stanął w Lublinie, gdzie król i kanclerz dla sądzenia Zborowskich się zjechali. Już też i wiedziano o straszliwej śmierci Podlodowskiego. Stefan Batory, mocno zmartwiony stratą wiernego sługi, niemniej był obruszony na krzywdę majestatowi swemu uczynioną; przystał więc jak najchętniej na żądanie przyjaciela i szwagra, który domagał się jako łaski, aby sam rzecznikiem był w tej sprawie, i wyznaczył mu publiczne posłuchanie na 22 sierpnia.

Kochanowski, lubo słaby, jak gdyby jakaś niewidoma siła ciągnęła go do zamku królewskiego, nie chciał prosić króla o odłożenie posłuchania na dzień następny. Lecz zaledwie wstąpił w podwoje, zaledwie wszedł do sali, gdzie zebranych było kilku panów i urzędników dworu, padł pośrodku nich tknięty apopleksją.

Przerażenie i żal rozbiegły się w jednej chwili po całym zamku; sam król przyszedł do łoża, na którem złożono tymczasem znakomitego męża, lekarzom swoim ratować go kazał; Zamojski Jan trzymał obnażoną jego rękę do krwi upuszczenia, z której krew już iść nie chciała. Daremne były wszelkie starania: Kochanowski raz tylko na jedną chwilę otworzył oczy i podniósł je w górę, widać było, że się modli, zawołał raz jedyny niewyraźnym głosem: „O Boże“ i oddał ducha.

Nagła śmierć Kochanowskiego wywołała żal głęboki nietylko w Czarnolesie, tak długo wesołym i szczęśliwym ale i w całej Polsce. Mało który człowiek z ówczesnych potrafił sobie tylu przyjaciół pozyskać, tyle zasłużyć sławy; mało który poruszył więcej łez, wzbudził więcej żałobliwych głosów.

Ciało jego w wielkim poczcie panów, szlachty i ludu wprowadzone zostało ze czcią do Zwolenia i pochowane obok matki jego i wdzięcznej Urszulki, a strapionej wdowie każdy niósł słowo pociechy, choć ona nieboga już innej nie znała, jak tylko w Bogu i dzieciach.

Ewa znów miała czas dowieść drugim i sobie, że jej serce godne było wzbudzić miłość stałą i prawdziwą. Związek jej z Filipem Owadowskim doznał wielu przeszkód, sprawdziło się na nim stare przysłowie: „zwłoka w ożenieniu zawsze bywa szkodna“, przecież doszedł nareszcie do skutku. Główną przeszkodą był testament Podlodowskiego, który, choć ręką samego króla stwierdzony, po długich sporach prawnych był uznany za nieważny: brakowało mu bowiem koniecznego warunku—podpisu świadków. Ze wszelką tedy prawną słusznością dalecy i bogaci krewni Podlodowskiego rozdzielili spadek między siebie.

Po takim wyroku sądowym Filip, zupełnie ubogi, chciał odstąpić ręki Ewy, lecz ona ani słuchać o żadnym innym mężu nie chciała.

— Ja nie Studzienicy, jeno panu Filipowi oddałam serce i przysięgłam wiarę, za innego, póki życia, nie pójdę. Albo zakonnicą, albo rotmistrzową — to moja nieprzełamana wola; mam do jej dotrzymania dwóch ojców naszych błogosławieństwo.

Matka, mimo przedstawień przezornych przyjaciół, sprzeciwiać się jej nie chciała; pobrali się więc Filip i Ewa w rok i sześć niedziel po Kochanowskiego śmierci.

Zupełnie niespodzianie królowa Anna, uwiadomiona o tych sprawach, rada okazać szacunek zmarłemu poecie, nadała pierworodnej jego córce Ewie z Czarnolasu i Filipowi Owadowskiemu, jej małżonkowi, na przeżycie cztery wioski w Radomskiem.

Ludwina pół roku przed siostrą wyrzekła wieczne śluby swoje, a kiedy, pełna lat i dobrych uczynków, skończyła tę doczesną wędrówkę, klasztor sandomierski miał wielką ochotę starać się o policzenie jej w poczet świętych patronek polskich, tak wiele okazywała cnót i dowodów łask nadprzyrodzonych.

Dorota w osiemnastym roku życia poszła za pana Franciszka, i znalazły się panny w sąsiedztwie, co zazdrościły jej losu.

Co do innych osób historycznych, wspomnianych w tych obrazach, dzieje krajowe najlepiej nauczyć mogą; chociaż, niestety, smutniejsze jeszcze nastąpiły zmiany w Rzeczypospolitej, niżeli w Czarnolesie.

WŁ. UMIŃSKI

KRWAWA DOLA

POWIEŚĆ Z NIEDALEKIEJ PRZESZŁOŚCI

WARSZAWA — 1918
„KSIĘGARNIA LUDOWA", Julji Sikorskiej,
Warecka 14.

Geprüft und auch für die Ausfuhr freigegeben Kais. Deut. Presseverwal.
Warschau, den 25 VII 1918 T. № 10581. Dr. № 924.

TŁOCZNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO W WARSZAWIE.

ROZDZIAŁ I.

Piorun z jasnego nieba.

Jan Kurek, sołtys w Rozdołach, wrócił uznojony z pola, postawił kosę pod stodółką i, kazawszy Jance zadać krowom, sam wszedł do izby, którą szumnie nazywał swoją *kancelarją*.

— Jak tam stara — odezwał się do żony — obiad gotów?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, cisnął czapkę na stół i usiadł na stołku, aż ten zatrzeszczał pod ciężarem jego olbrzymiego ciała.

Na tym stole Kurek urządził sobie za przykładem wójta, „biuro“. Był tam kałamarz, w którym topiły się co dzień muchy, tak, że trudno było umaczać w nim zardzewiałe pioro, leżące na drewnianem korytku; obok kałamarza, pod okrągłym polnym kamieniem, zastępującym przycisk, leżały „papiery“, czyli, jak je zwał sołtys „bumagi“, otrzymywane różnemi czasy z kancelaryi gminnej, adresowane zaś do Jana Kurka, sołtysa wsi Rozdoły. Sołtys gorliwie sprawował swój urząd, z którego był niezmiernie dumny, i to już od kilku lat.

Jeżeli kto miał sołtysować w Rozdołach, to chyba tylko on jeden — Kurek. Był to chłop honorny, obowiąz-

kowy a w dodatku roztropny, więc gospodarze lubili go i wybierali prawie że jednogłośnie, chętnie też zasięgali u niego rady w ważniejszych wypadkach.

Kurek po ojcu odziedziczył tylko 5 morgów, ale dzięki zabiegliwości i pracy dorobił się trzydziestomorgowej posiadłości i gospodarował dobrze, choć żadnych „nowinek“ nie lubił i nie praktykował. Miał jeszcze z tysiąc rubli zaoszczędzonych w kasie pieniędzy, które przeznaczył dla córek Janki i Małgosi, dziewczyn jak malowanie, za któremi chłopaki z całej okolicy latali.

Był to więc w Rozdołach najodpowiedniejszy człowiek na sołtysa i kto wie, czy by go gminiacy wójtem nie obrali, gdyby nie ta okoliczność, że stary wójt, dzięki poparciu pana naczelnika, twardo siedział.

Kurek spodziewał się, że prędzej czy później urząd ten go nie minie, więc starał się tymczasem zasłużyć, zwrócić na siebie uwagę władz przez gorliwe spełnianie obowiązków sołtysa. I teraz, korzystając z tego, że Kurkowa nie podawała obiadu, zabrał się do urzędowania.

— Był posłaniec z gminy? — zagadnął Małgosię— dojrzawszy na stole kopertę z urzędowemi pieczęciami.

— A był, oddał to tu i powiedział, że bardzo ważne i pilne — odparła dziewczyna, która nie mogła doczekać się powrotu ojca. Zdjęła ją ciekawość, co stało w tej „bumadze“; stanęła więc za plecami sołtysa.

Ale ten, obawiając się znać, żeby jaka tajemnica urzędowa nie znalazła się na długim babskim języku, ofuknął córkę:

— Obiad w lesie a ty tu stoisz i oczami łypiesz! Ruszaj mi stąd zaraz!

Jednocześnie zasłonił szerokiemi barami papier, rozciął ostrożnie kozikiem kopertę i zaczął czytać. Przeczytał raz, oczy przetarł, dźwignął się powoli, potem znów twardą dłonią po czole przejechał, jakby nie rozumiał.

Małgosia, która przypatrywała się ojcu uważnie, sto-

jąc we drzwiach, zaraz zmiarkowała, że papier coś ważnego zawiera. Nie bacząc na zakaz, podbiegła na paluszkach. Ciekawość aż ją rozparła, tak, że ledwie parę mogła puścić z gęby.

Spojrzawszy jednak na ojca, przeraziła się. Sołtys stał, jakby go paraliż nagle chwycił; papier trząsł mu się w dygocących palcach, czoło zmarszczyło się, oczy jakby w słup stanęły.

— Jezus Marja!—zawołała przerażona dziewczyna—co się stało, u Pana Boga?

Sołtys utkwił w nią nieruchomy wzrok. Ręka mu opadła i papier wyleciał na podłogę.

Małgosia podniosła go, ale nic nie rozumiała po rosyjsku. Zauważyła tylko, że papier jest „długi"; było tam kilka stron, zapisanych wyraźnem pismem, jakieś dodatki, podpisy, pieczęcie i jakiś druk w dodatku.

— Co to ojcu? — powtórzyła jeszcze bardziej przestraszona.

— Mobilizacya ogłoszona! — jęknął stary, chwytając się za głowę, — zapasowych do wojska wzywają. Wojna!

— Wojna?—odezwała się jak echo dziewucha, którą ten wyraz jeszcze bardziej przestraszył.

— Wojna z Niemcem, wojna! O dla Boga! Wojciech, Kostek, Jurek...

— To oni mają iść, tatulu?

— Wszyscy, wszyscy i Bolek też...

Sołtys, trzeba mu to przyznać, był dobrym ojcem; kochał dzieci i niczego im nie żałował. Dwóch najstarszych synów, którzy się już pożenili i mieli drobne dzieci, osadził każdego na własnym, sześciomorgowym kawałku, pobudował im domy, kupił inwentarz i żywy i martwy, słowem za życia swego wydzielił im ojcowiznę. Średni, Jurek, niedawno dopiero wrócił z wojska; Bolek jeszcze służył, najmłodszy zaś Jędruś miał dopiero trzynaście lat. Wszyscy starsi odbywali powinność wojskową w Petersbur-

gu, w gwardji cesarskiej, gdyż, podobnie jak ojciec, odznaczali się pięknym wzrostem. Kurkowi niemało to podchlebiało; nie chciał też uwalniać żadnego, chociaż byłby to łatwo mógł uczynić, bo grosza mu nie brakło, był dobrze z wójtem i miał „znajomość“ w powiecie.

— Niech służą cesarzowi!—odpowiadał, kiedy matka prosiła, żeby choć jednego w domu zostawił.

Janowi nigdy do głowy nie przyszło, że jego synowie mogą być powołani na wojnę; teraz, kiedy ta niespodziewana konieczność nadeszła, stary dopiero sobie uprzytomnił, jak ciężką ofiarę musi złożyć cesarzowi.

Wszyscy jego czterej synowie byli obowiązani stawić się na zborny punkt, bo należeli do czterech najmłodszych roczników wojskowego zapasu, czyli rezerw. I w dodatku on sam ojciec, jako sołtys musiał z urzędu zawiadomić ich o tej straszliwej konieczności i dopilnować, żeby uczynili zadość rozkazowi, który trzymał właśnie w drżącej od wzruszenia dłoni.

Małgosia pobiegła do matki ze smutną nowiną. Sołtysowa, usłyszawszy, co się święci, uderzyła w płacz. Małgosia i Janka zawtórowały jej, i w domu Jana nastał dzień sądu ostatecznego..

— O ja nieszczęśliwa matka! — desperowała Janowa, — na tom dzieci rodziła i chowała, na tom je piersią własną karmiła, na tom sobie snu odmawiała, żeby moich synów najukochańszych teraz na zatracenie oddać?!

— Ha! wszyscy muszą iść—przedstawiał jej mąż.

— A właśnie, że nie wszyscy — odparła z pasją kobieta.—Ignac Walkowy nie pójdzie, bo go ojciec wykupił; Błażej Dąbrowski też nie, bo rodzice o nich dbali. A ty wszystkich w sołdaty oddawałeś, chcieli czy nie chcieli. Teraz sam jak kołek na gospodarstwie zostaniesz, za pięciu robić będziesz. A jak nie zdołasz i na pysk się przewrócisz, to ci nikt nawet ręki nie poda. Masz to, cożeś

sam chciał! Dobrze ci tak! Ale co ja biedna kobieta zawiniłam!

Kurek stał zmieszany, nie wiedząc co odpowiedzieć. Czuł bowiem, że żona ma słuszność. Mógł był przecie pouwalniać synów od wojska; a przynajmniej dwóch z pomiędzy czterech, a sam nie chciał, bo życzył sobie, żeby „cesarzowi służyli".

Teraz widzi, że ta służba, w której po kilka lat najpiękniejszych zdala od swoich spędzili, to była igraszka dziecinna w porównaniu z tem, czego dziś od nich ten cesarz zażądał.

Kiedy tak Janowa zawodziła, do izby wszedł Jur.

Małgorzata rzuciła mu się na szyję z płaczem.

— Na wojnę idziesz, nieboraku!—zaczęła.

— Co, ja na wojnę?—oburzył się Jurek.—A to jak?

— Mobilizacja...—wyjąkał sołtys.

Jurek porwał papier, przeczytał kawałek, ze złością cisnął nim o ziemię i nogami podeptał.

— Niech ta idzie, kto głupi, ja w domu zostanę! — rzekł twardo.

— Wszyscy idą—tłómaczył Kurek synowi.

— Co? niedawnom z tego przeklętego Pitra wrócił, a tu znów człowieka ciągają?—wołał Jur.—Wojny im się zachciewa? i z kim-że to?

— Z Niemcami i z Austrjakami, ponoś.

— Nie pójdę! — wrzasnął Jur, uderzając nogą w podłogę.

— Wszyscy idą.

— A ja nie!

— Musisz. Cesarz kazał!

— Co mi tam cesarz!

Kurek spojrzał na syna groźnie.

— Jak rozkaz, to rozkaz. Kto nie pójdzie, tego rozstrzelają.

— I... i... i... nie taki djabeł straszny jak go malują!—odezwał się Jur. — Zresztą może bym i poszedł, ale za kogo, za co ja mam krew przelewać? Co mi ten cesarz dał?

— Nie wiesz-że to? A uwłaszczenie? — mówił poważnie sołtys.

— Stare historje! Dał, bo musiał. Już ja w te bajki nie wierzę, co je ciemni ludzie powtarzają. Wiem dobrze, jak to było. Powstańcy ogłosili, że chłopom ziemię nadadzą, żeby do powstania poszli. Cesarz się przeląkł, że jak wszyscy pójdą, to Moskali z Polski wypędzą i jego panowanie się skończy, więc kazał zataić, że to rząd polski chce nam grunty podarować, i potem sam to zrobił. Zrobił, chociaż u siebie w Rosji jeszcze pańszczyznę czas jakiś zostawił. Pewnie dlatego, że nas więcej, niż swoich kocha! A juści...

— Dlaczego dał, to ja nie wiem, ale dał!—rzekł Kurek, którego mowa syna zaczynała gniewać.

— Jakto dał!? Przecie nie za darmo, ale kazał dobrze za to zapłacić. Przez pięćdziesiąt lat płaciliśmy tabele, i jak ludzie obliczyli, to kazał nam porządnie nadpłacić, bo ściągał pieniądze jeszcze niedawno, chociaż nic się już rządowi za to dobrodziejstwo nie należało. A inne podatki także, a jakże...

— Co tam gadasz!—przerwał sołtys. — Za pańskich rządów było chłopom źle, a za ruskich dobrze. Patrz na mnie, dorobiłem się.

— Każdy kto pracuje, ten się dorobi,—odparł Jur.— Abo to rząd rosyjski nam do tego dorobku pomagał? Ja tam widziałem, że chyba przeszkadzał. Książek czytać nie pozwalał, kółka rolnicze to dopiero mogliśmy zakładać, kiedy panowie się u rządu o pozwolenie postarali. Czy nie tak było? Lud w ciemnocie trzymali, żeby go łatwiej obdzierać mogli. Niech tam ojciec co chce gada,

ale ja nie mam być za co wdzięczny ani cesarzowi, ani urzędnikom moskiewskim i na wojnę nie pójdę!

— A właśnie, że pójdziesz!—wrzasnął Kurek, doprowadzony do gniewu.

— Co, może mnie ojciec powrozami zwiąże i na zborny punkt odstawi, jak barana? Ojciec to zrobi, hę?

Podszedł do starego i zuchwale mu w oczy spojrzał.

— Ojciec przecie jest urzędnik cesarski — dodał drwiąco.

— A jestem!—odparł sołtys, prostując się.

— No, to ja ojcu jeszcze raz powiadam, że na wojnę nie pójdę i kwita. Za Moskali bić się nie będę!

Stary oburzył się teraz nie na żarty.

— Ty buntowniku!—zawołał, przyskakując do syna.— W Sybir cię ześlą, w łeb ci strzelą!

— Tak czy owak, nie pójdę! — zaciął się Jurek. — Mnie już bielmo z oczu spadło; nie na darmo jeździłem do Prus i do Ameryki. Wie ojciec chyba, żem nie tchórz żaden, że bitki się nie boję. Ale po co, za co, pytam, mam krew przelewać? Czy to Rosja moja Ojczyzna? A ja ojcu powiadam, że to nasz wróg zapamiętały. Przejrzałem, powiadam i dlatego nie pójdę!

— Opamiętaj się!

— Ja już dawno się opamiętałem. Nie będę się bił o to, żeby Moskal nadal moją Ojczyznę polską gnębił, żeby nas w ciemnocie trzymał, i łyko z nas darł. Ja już nie z tych baranów, co to same wełnę pod nożyce oddają, jak to się dzieje. Czy to ojciec nie słyszał, jak oni naszą wiarę świętą prześladują, czy nie wie nic o Krożach, o Unitach, czy nie wie, że...

— Milcz!—przerwał mu Kurek.

Zasapał się cały. Oczy mu krwią nabiegły. Ten otwarty bunt syna wytrącił go z równowagi.

Nie pojmował on, jak kto może opierać się w oli ce

sarskiej. Jako ojca serce go bolało na myśl, że jego ukochani synowie muszą w sołdaty iść, ale z drugiej strony, jako sołtys, uważał, że powinien spełnić swój obowiązek. Wobec jednak otwartego oporu syna był bezradny. Przecież nie mógł zmusić dwudziesto-kilkoletniego młodzieńca do posłuszeństwa. Runął więc ciężko na stołek.

— Ma rację—rzekła Janowa, która nie przestawała płakać.—Niech zostanie! I tak nie mało naszych pójdzie.

Kurek spojrzał na żonę z podełba, ale nie wiedząc już co ma na to odpowiedzieć, chwycił za czapkę.

— Trzeba ludziom rozkaz oznajmić,—rzekł.

I nie czekając na obiad, wyszedł z izby.

ROZDZIAŁ II.

Na zbornym punkcie.

Przez następne dwa dni sołtys Kurek miał urwanie głowy; musiał porozlepiać wezwania urzędowe o mobilizacji, sprawdzić listę obowiązanych do stawienia się na zborny punkt rezerwistów. Ale te i tym podobne urzędowe czynności były niczem w porównaniu do kłopotów, które spadły nań jako na ojca.

Można sobie wyobrazić, co się działo we wsi, w której ze czterdziestu mężczyzn musiało porzucić rodziny i zajęcia, a byłoby jeszcze gorzej, gdyby ogłoszono powszechną mobilizację t. j. wzięto odrazu cały zapas tych, co niegdyś służyli wojskowo. Ale rząd rosyjski powołał tylko część na samym początku wojny, resztę zaś odłożył sobie napóźniej, jakby się bał, że lud polski zbuntuje się, jeżeli zarządzi wielki pobór.

I tak lały się w Rozdołach potoki łez. Kilkadziesiąt rodzin w tem ze trzysta dzieci miało pozostać bez swych żywicieli i opiekunów. Żony powołanych schodziły się do

sołtysa, błagając, żeby ich chłopów oszczędzono. Kurek nie mało miał roboty wytłomaczyć zrozpaczonym kobietom, że to nie leży w jego mocy; ale w gruncie rzeczy podobała mu się taka wiara, że on — Jan Kurek, coś znaczy.

Najwięcej atoli zmartwienia miał sołtys ze swoimi. Starsi synowie, lubo szemrząc i wyrzekając, poddali się swemu losowi. Stara Kurkowa, popłakując, zabrała się do roboty, żeby na drogę wyporządzić synów. Przy pomocy ich żon szyła na gwałt z domowego samodziału bieliznę, onuczki, kupowała buty, przygotowywała na drogę różne zapasy, kazała nawet zarznąć półrocznego wieprzaka,—przyrządzała sama kiełbasy i salcesony. Synowe niby to przykładały do tego ręki, ale zgnębione co chwila wracały do domu, żeby napatrzeć się na swoich chłopów, z którymi niebawem miały się rozstać na długo, jeżeli nie na zawsze.

A co było przytem wyrzekania! Głowa Kurkowi od tego puchła. Sam też w duszy gryzł się tem rozstaniem. Brała go rozpacz na myśl, jak sobie da radę z opuszczonemi gospodarstwami.

— Co być musi, to musi!—pocieszał się.

To zmartwienie nie przeszkodziło mu naciskać na Jurka, żeby spełnił „swój obowiązek“, jak się stary do syna wyrażał.

Ale namowy, nawet pogróżki ojcowskie odskakiwały od Jurka, jak groch od ściany. Uparł się.

Obawa, co się może stać z młodszym synem, odpowiedzialność jaka nad nim samym ciążyła, nie mało przyczyniała się Kurkowi do zgryzoty i tak już okrutnej.

— Jak nie pójdziesz, to ruszaj sobie precz z domu!—zawołał raz w uniesieniu do syna.—I tak już ludzie gadają we wsi, że się buntujesz. Tylko patrzeć, jak strażnicy po ciebie przyjdą i siłą cię odstawią.

— Pewnie ojciec im doniesie, że nie chcę iść do-

browolnie! — odparł Jurek, którego ta gorliwość starego mocno już irytowała.

— Donieść nie doniosę, hultaju jeden — oburzył się ojciec na takie posądzenie—ale zrobi to pierwszy lepszy chłopak ze wsi. Mało to masz wrogów?

Jurek czuł, że ojciec prawdę powiedział. Wielu chłopaków było mu krzywych, że im dziewuchy pobałamucił, a z żadną się nie ożenił. Ale mimo to nie spieszył się. Robił swoje w polu, jakby nigdy nic i z politowaniem patrzał na „zapasowych“ szykujących się do drogi.

— Jak to im pilno kości za cara położyć — mruczał.—Ordery im pachną!

Przy ojcu jednak nie odzywał się z takiemi kpinkami, bo stary, przejęty swoim urzędem, „wierny poddany“, jak sam nieraz o sobie mawiał, gębę by mu zamknął. Przed matką atoli i przy siostrach nie krępował się.

W tym zamęcie szybko minęły dni, przeznaczone dla powołanych do służby na uporządkowanie spraw rodzinnych i różnych interesów.

Przyszła chwila rozstania. Rezerwiści w nowych kożuszkach, w nowych butach, wyporządzeni, prosto z igły, zaczęli się żegnać ze swoimi.

Baby i dzieciaki za ich przykładem chórem ryknęły, aż się rozlegało w całej wsi. Siadano na wozy, ściskano się, całowano, kobiety błogosławiły ze łzami w oczach swoich, dawały im na drogę poświęcane skaplerze, krzyżyki i medaliki, które miały strzec ich od rany i śmierci Chłopi, chociaż starali się zapanować nad swoim wzruszeniem, mieli także powieki wilgotne i miny markotne. Niejeden zaklął pod nosem, z niejednych ust padło rozpaczliwe.—„Za kogo? Za co?“

W niejednem sercu może powstał taki bunt, jak w duszy Jurka, ale nikt nie śmiał pójść za przykładem sołty-

siaka. Nie dlatego jednak, żeby go ciągnął obowiązek, jakieś poczucie, że tak trzeba.

Żaden z tych ludzi nie miał w sercu miłości dla Rosji, tak samo, jak nie dorósł do miłości swojej polskiej Ojczyzny. Szedł poprostu dlatego, że musiał. Strach przed odpowiedzialnością pędził go na pole krwi, łez i śmierci, przymus twardy, surowy, niby bat spadający na boki końskie i tyle.

Takich, co sobie w duszy zadawali te dwa pytania: „Za kogo? Za co?“ było niewielu. A z pomiędzy wszystkich powołanych znalazł się jeden tylko Jurek, co na te dwa pytania potrafił sobie dać prawdziwą odpowiedź i co miał odwagę podług niej postąpić.

Kiedy rezerwiści odjeżdżali, sołtysiak stał opodal i mierzył ich drwiącem spojrzeniem.

— Niewolniki jadą krew za nahajkę przelewać! — mruczał pod nosem.—A ja wolny.

Kiedy wozy zniknęły w kłębach kurzu na drodze wiodącej do gminy, splunął pogardliwie za niemi, i wrócił do chałupy.

Sołtys jednak nie pozostał w domu. Obowiązek nakazywał mu dostawić swoich zapasowych do gminy, a stamtąd pojechał do powiatu.

Podróż ta, którą odbywano w ponurem milczeniu, trwała do samego niemal wieczora. Była bowiem szósta wieczór, kiedy kilkanaście wozów napełnionych rezerwistami z całej gminy zebranymi, zatrzymało się na zbornym punkcie, w miasteczku powiatowem.

Boże, co się tam działo!

Na ulicy przed urzędem wojennego naczelnika, obozowało pod gołem niebem więcej, niż tysiąc ludzi. Wozy i konie stłoczone były na wielkim placu, w najwyższym nieładzie; niczem jarmark! Pomiędzy wozami snuły się markotne postacie rezerwistów oczekujących, aż ich raczą

powołać do superrewizji, która się odbywała w obszernej izbie, przy kancelarji naczelnika. Każdego poddawano oględzinom, czy jest zdatny do służby, jak rekrutów, którzy dopiero mieli wstąpić do wojska.

Ale oględziny te odbywały się znać bardzo wolno, bo tłum zamiast się zmniejszać, ciągle się powiększał. Przybywali nowi, kłócili się o miejsca, jakby im było pilno, żeby jaknajprędzej stanąć w szeregach obrońców wielkiej Rosji.

Byli między nimi i tacy, co już wczoraj przyjechali i musieli spędzić noc pod gołem niebem, na deszczu. Wozy wysłane słomą służyły im zamiast łóżek.

Między chłopami znalazło się niemało kobiet, które przyjechały ze swymi mężami aż na zborny punkt w nadziei, że ich obronią, albo, że się stanie jaki inny cud. Płakały, wyrzekały i jeszcze powiększały ogólny zamęt.

Ale nie brakło i takich, co pogodzeni, jak się zdawało, ze swoim ciężkim losem, myśleli tylko o tem, żeby sobie skrócić czas zabawą i pijatyką. Tu i owdzie rozlegały się głośne piosenki. Jedne smętne, polskie o kalinie, o kochaniu, o rozłące, inne znów zawadyjackie i wesołe. Niestety nie brakło i takich, co niedawno opuściwszy szeregi rosyjskie, przypominali sobie sprośne śpiewki, jakiemi popisywali się chętnie Moskale nawet na ulicach Warszawy i Petersburga i teraz śpiewali je pochrypniętemi od wódki głosami. Monopol znajdował się niedaleko. Pomiędzy sklepem a wozami krążyły chwiejące się na nogach postacie z butelkami pod pachą. Ckliwa woń spirytusu unosiła się w powietrzu razem z wyziewami ludzkiemi i końskiemi. Inni, którym było nie wesoło, bo tylko co rozstali się z żonami i dziećmi, snuli się, jak mary w tym harmiderze, ze spuszczonemi głowami.

Kurek rozmieściwszy swoich, jak potrafił najbliżej kancelarji, poszedł w towarzystwie wójta złożyć papiery

i dowiedzieć się czy jego ludzie długo będą czekali na superrewizję.

Okazało się jednak, że w kancelarji panował wielk natłok różnych interesantów. Urzędników było zamało a i ci nie mogli dobrze pracować, bo im przeszkadzano ciągle. Wójtowie i sołtysi napełnjali kancelarję, czekając swojej kolei. Kurek dowiedział się od nich, że superrewizja ludzi z jego wsi nie może się odbyć wcześniej, jak nazajutrz, gdyż bardzo dużo rezerwistów a tylko trzech doktorów, którym się wcale nie spieszyło.

W sąsiedniej izbie stała drewniana miara, pod którą podprowadzano rozebranych do naga ludzi. Doktór oglądał zawezwanego, urzędnik zapisywał zaś, czy zdatny, czy nie.

Ale Kurek zauważył, że jednych doktorzy ledwie raczyli obejrzeć, podczas gdy innych badali szczegółowo, i długo. Z tego to powodu była taka mitręga.

Sołtys Rozdołów miał jednak cierpliwość. Siadł razem z innymi na ławie, i ciekawie śledził wszystko, co się dokoła niego działo.

Kiedy tak posiedział parę godzin zauważył, że po kancelarji snuje się paru chałatowych Żydów, którzy nie wiadomo po co tu przyszli. Od czasu do czasu któryś z nich podchodził do piszącego urzędnika i szeptał mu coś do ucha. Urzędnik zapisywał sobie to, co mu powiedział Żydek, czasem nie dosłyszawszy, pytał; Żydek powtarzał jakieś nazwisko, najczęściej żydowskie, rzadziej polskie. Potem wychodził, żegnając się z urzędnikiem jak z dobrym znajomym, przyjaznym uściśnieniem dłoni.

Urzędnicy wychodzili też na papierosa do sieni i tam rozmowy z Żydkami, a raczej szepty, odbywały się jeszcze swobodniej, niż w samej kancelarji.

Kurek nie wiele się na tem rozumiał. Cóż go to zresztą obchodziło?

Wiadomo, że Żydzi zawsze mają jakieś interesy w powiecie, w każdym zresztą urzędzie.

Posiedziawszy ze dwie godziny, Kurek dowiedział się, że już dziś nie zdążą oglądać jego ludzi, bo doktorowie zmęczeni, udali się do domu na wieczerzę. Wstał więc, pożegnał się z wójtem, i poszedł do synów.

Zaledwie jednak zrobił kilka kroków, gdy poczuł, że go ktoś chwycił za rękaw.

W półmroku ujrzał jednego z Żydków, którzy kręcili się po kancelarji.

— A co tam? — zagadnął niechętnie, bo nie lubił Żydów.

— To pan jest sołtys z Rozdołów?—pytał Żydek.

— A jakże, sołtys jestem — odparł Kurek z niejaką dumą.

Dziwne mu się wydawało, że Żyd wie o jego urzędzie, ale mu było przyjemnie, że nawet w powiatowym miasteczku znają go.

— Pan sołtys przyjechał tutaj z zapasowymi?—prowadził dalej rozmowę Żydek.

— Aha, przywiozłem aż trzydziestu. Jutro mają stawać do oględzin.

— Jutro?—ucieszył się Żydek. — No, to bardzo dobrze, że jutro.

— A dlaczego dobrze?

— No, bo jest czas.

— A jabym tam wolał, żeby już dziś ich obejrzeli.

— Pilno wam do domu? co? No, jutro rano to już będziecie mogli wracać. Ale teraz, może wiecie, czy między zapasowemi są tacy, co by nie bardzo chcieli iść do wojska. To przecie jest wielkie nieszczęście dla żonatego i dzietnego człowieka rzucić całe gospodarstwo i rodzinę. A potem niewiadomo, jak długo będzie ta wojna, i czy się z niej wróci, a jeśli się i wróci, to dużo biedy

się człowiek naje, nogę albo rękę straci, oj! oj! może nawet wcale nie wróci...

Żydek westchnął żałośnie, jakby on sam miał iść na wojnę.

— Wiadomo, że nikt ta wielkiej ochoty na to niema,—odparł sołtys.—Ale jak mus to mus—dodał.

— Nu, mus jest, to prawda. Jakby kto nie chciał, to by gwałtem w sołdaty zabrali. Ale też wiadomo, że kto ma głowę na karku, i trochę pieniędzy, ten się czasem może wykręcić. Przecie nie wszyscy są zupełnie zdrowi, zdarza się i taki, co jest chory. Właśnie dlatego doktorzy muszą każdego zapasowego obejrzeć, jakby dopiero pierwszy raz do superrewizji stawał. No, rozumiecie?

— Wiadomo, kaleki nie wezmą; ale kto zdrów ten pójdzie.

— No, tak... pójdzie albo i nie pójdzie. Co tu dużo gadać,—dodał Żydek szeptem.—Powiedzcie mi, panie sołtys, nie ma tam między waszymi kogoś, co jest trochę, tak niebardzo, chory, ale wolałby nie iść na tę wojnę? Powiadają, że wojna będzie okropna i mało kto z niej wróci. Nu, więc warto jest postarać się i nie iść. Nawet trochę pieniędzy warto jest za to dać; nieprawdę mówię?

Żydek mówił coraz ciszej, oglądając się dokoła, czy go kto nie podsłuchuje.

— No, my zrobimy spółkę. Wy mnie pokażecie takich, co by nie chcieli iść na wojnę, i co mają pieniądze. Dobrze? Ja z niemi pogadam. Jak się zrobi interes, to i wy co z tego dostaniecie.

Ale ta propozycja rozgniewała Kurka.

— I! co mi tam opowiadacie! — rzekł niechętnie — pewnie chcecie kogo nabrać na kilka rubli. Znam ja was.

— Boże uchowaj!—zawołał Żydek, machając rękami— Jankiel nie żaden oszust. Jeżeli weźmie pieniądze, to nie za darmo. Ja wcale nie żądam z góry ani kopiejki. Pie-

niądze będą złożone na wasze ręce. Jeżeli się uda, to wezmę, a jak nie, to nie mam pretensji.

Kurkowi odrazu przyszło na myśl, żeby synów uwolnić. Niedowierzał jednak Żydowi, a po drugie miał wyrzuty sumienia. Jakby to było, myślał sobie, żeby on—sołtys, miał się wdawać w takie szacherki z Żydkiem. To byłoby nieładnie odciągać ludzi od spełnienia obowiązków, jakie na nich nałożył sam cesarz, który przecie ogłosił, żeby stawać. Nie! on—Kurek, tego nie zrobi! To pachnie kryminałem i zdradą.

Każdy, kto zdrów, powinien się bić, a nie starać się wykręcić. Ładna byłaby to wdzięczność dla cesarza, jeżeliby zapasowi wykupywali się przez Żydków i nie pomogli mu bronić kraju! A zresztą, myślał sobie Kurek, Żyd pewnie łże, otumania ludzi, wyłudza od nich pieniądze, a jak przyjdzie do czego, to taki, co nawet coś da, pójdzie w sołdaty, jeżeli jest zdrów; a jeżeli chory, to i za darmo doktorzy go uwolnią, bo po co brać chorych? Na nic by się nie przydali w szeregach. Zresztą to nie może być, żeby doktorzy podczas wojny, kiedy nieprzyjaciel zagraża ich ojczyźnie, dopuszczali się takich brzydkich rzeczy i za pieniądze zmniejszali liczbę obrońców Rosji. To byłaby zdrada z ich strony, wielkie przestępstwo. Kurek słuchając Żydka kręcił więc głową coraz energiczniej.

— Ja sołtys, nie mnie się wdawać w takie szacherki, macherki—rzekł wreszcie, gotując się do odejścia.

— O wa—cmoknął urażony Żydek—sam wójt nawet może to robić. Co to jest złego, pytam was, panie sołtys, jeżeli pomożecie uwolnić się jakiemu biedakowi, co ma z pół tuzina dzieci? Jak jego wezmą, to kto da jeść jego dzieciom? Może rząd?—zaśmiał się szyderczo.—Trzy ruble na miesiąc żona dostanie! Niech będzie nawet dziesięć. Czy to jest interes, pytam? No, nie namyślajcie się, Ja to biorę na siebię. Ja znam jednego porządnego urzędnika, a on znowu zna doktorów, Jak za kim poprosi, na-

pewno poskutkuje. A on tego za darmo nie zrobi. No, każdy wie, że musi kosztować.

Kurek wahał się. Żal mu było synów, którzy zostawiali po kilkoro małych dzieciaków, młode żony, i gospodarstwa na jego głowie.

— A ile?—zagadnął.

— No, to zależy. Jak kto zupełnie zdrów, to musi zapłacić więcej, najmniej trzysta rubli. Kiedy jest chociaż trochę chory, to dwieście; a jak naprawdę chory, to i za sto rubli interes da się zrobić. Co ja mówię! nawet za siedmdziesiąt pięć!

— Chorych to chyba wcale nie biorą.

— E, co wy tam wiecie! Jest tak wiele tych zapasowych, że nie ma czasu ich dobrze obejrzeć. Dlatego nawet chory może iść do wojska, rozumiecie?

Kurkowi zrobiło się przykro, kiedy sobie pomyślał, że jego synowie są zdrowi jak rydze i że to tyle by kosztowało. Zresztą i tak nie chciał się do tego mieszać, uważał, że jego synowie, tak jak wszyscy powinni byli iść, skoro sam cesarz tak przykazał. Nie chcąc dłużej narażać się na pokuszenie, machnął ręką i odszedł, chociaż Żydek ciągnął go za rękaw.

Znalazłszy się między swoimi, nic im nawet nie powiedział o tem spotkaniu. Zmiarkował bowiem, że synowie prosiliby go, żeby ich uwolnił, a to kosztowałoby kupę pieniędzy a w dodatku mogłoby się wydać!

Nie, nie!

Trzeba było przenocować. Kurek wyciągnął się na wozie obok synów i milcząc wpatrywał się w niebo. Sumienie go gryzło. Wahał się, toczył sam ze sobą walkę. Patrzył na nich ze współczuciem.—Ciężko będzie rozstać się z nimi! może ich już więcej nie zobaczę! A mógłby teraz, korzystając z czasu, wrócić do domu, zabrać pieniądze ukryte w stodole, a było tego z górą siedemset rubli, i pogadać z Żydkiem przed oględzinami. Ale po-

czucie obowiązku przemogło. Postanowił nie myśleć już o tem.

Noc szybko minęła. O dziesiątej nadbiegł wójt, i poprowadził Kurka, żeby był obecny przy superrewizji zapasowych z Rozdołów.

Odbywało się to, jak powiedział ów Żydek: bardzo pobieżnie i niedbale. Doktorzy ledwie, że spojrzeli na stających przed nimi. Jeżeli zapasowy był kulawy, jeżeli mu brakowało kilku palców, albo oka, słowem jeżeli był kaleką do niczego nie zdatnym, to go puszczali. Ale za to brali nawet takich, którzy byli pewni, że wrócą do domu: suchotników, nawet chorych na serce. I tak: wzięli syna Walentowego z Rozdołów, od kilku lat chorego na piersi, który nawet krwią pluł. Powiedzieli *godien*—na takiego Marcina, który miał ciężką chorobę, tylko nie przyniósł żadnego świadectwa. A z drugiej strony znów uwolnili gładko Sobczaka, tęgiego jak tur chłopa, który nigdy w życiu za dnia w łóżku nie poleżał. Uznali, że ma wadę serca!

Kurek niebawem zmiarkował, że istotnie dzieje się tak, jak mówił ów Żydek. Chorych, którzy nic nie dali za swoje uwolnienie, brano w sołdaty, a zdrowych, którzy mogli dać, i pewnie dali, puszczano do domu.

Wnet przyszła kolej na synów Kurka. Byli to chłopcy pięknie zbudowani, dobrego wzrostu, nic im nie brakowało; zdrowie aż pachniało od nich! Lekarze poklepali ich z przyjemnością po nagich plecach i jeszcze się Kurek nie obejrzał, kiedy już klamka zapadła, jego obaj synowie byli zaliczeni w sołdaty!

Zrobiło się teraz sołtysowi bardzo, bardzo przykro. Nie śmiał podnieść oczu na swoich chłopców. A kiedy jeszcze posłyszał płacz synowych, które rozpaczały, że ich mężów biorą, zdawało się Kurkowi, że popełnił wielkie głupstwo. Nie czas już było jednak na żale.

Z pomiędzy całej partji przywiezionej przez Kurka

z Rozdołów, wróciło z dziesięciu ludzi; między nimi kilku chłopaków jak dęby.

Kurek nie mógł wytrzymać. Odprowadził ich na stronę i zapytał, ile ich kosztowało uwolnienie. Z początku zapierali się, a kiedy ich przyparł, przyznali się. Sobczak dał sto rubli, drugi, trochę chory na ucho, który powiedział, że nic na nie nie słyszy, uwolnił się za marne pięćdziesiąt papierków i teraz śmiał się szczęśliwy.

Żona cieszyła się nim, jak dzieckiem, i w tryumfie zabrała go zaraz do domu.

Do południa jeszcze Kurek pozostał z synami, których zaraz odprowadzono do koszar; żegnał się z nimi czule, dał na drogę kilkadziesiąt rubli, zaopatrzył we wszystko niezbędne. Był podwójnie troskliwy o nich, czuł bowiem, że jeśli muszą teraz iść na okropną wojnę, to i jego potrosze w tem wina. Ale oni nie miarkowali jeszcze, że mogli byli się uwolnić, więc nie mieli do ojca żalu.

Kurek bał się jednak, że im kto może o tem powiedzieć, więc, uścisnąwszy ich po raz ostatni, wsiadł na wóz i odjechał, rozmyślając w drodze, co teraz pocznie z Jurkiem. Tymczasem uprosił wójta, żeby nic nie wspominał, że jeden z jego synów nie stawił się, ale obiecywał sobie w duchu, że buntownika wypędzi z domu.

ROZDZIAŁ III.

U warszawskich strzelców.

Jurek nie czekał na powrót ojca; wiedział bowiem, że pod jednym dachem ze starym nie wytrzyma długo. Zbyt wielka przepaść leżała między nimi.

Zaledwie więc wozy z rezerwistami znikły w obłokach kurzu, Jurek wrócił do matki i sióstr, które razem z bratowemi wylewały łzy w „kancelarji“ Kurka.

— No, i mnie czas w drogę!—rzekł, schylając się do ręki matczynej.

Stara Kurkowa spojrzała nań ze zdziwieniem.

— A ty dokąd? — zapytała tknięta złem przeczuciem.

— Ha! w świat. Nie mogę przecie czekać tutaj, aż mnie strażniki na zborny punkt powloką. Ja buntownik— dodał, uśmiechając się szyderczo. — Nie chcę na dom rodziny nieszczęścia ściągnąć, więc idę. Da Bóg, zobaczymy się jeszcze, matko. Proszę odemnie ojcu się pokłonić. Inaczej nasze oczy na świat patrzą; nie nam razem pod jednym dachem siedzieć. Dziej się wola Boża!

Stara myślała zrazu, że syn żartuje. Ale wnet przekonała się, że powziął jakieś postanowienie, od którego nie zdoła go już nic odwieść.

— Samych nas tak zostawiasz!—wyrzekła.

Ale on nic już nie odrzekł. Ucałował czule siostry, pożegnał się z bratowemi, i zabrawszy trochę odzieży, oraz parę rubli zaoszczędzonych pieniędzy, bocznemi ścieżkami powędrował w kierunku dworu.

— Chciałbym zobaczyć się z panem Olesiem—oświadczył, kiedy mu służąca drzwi otwarła.

Dziewucha znała już Jura. Nieraz przychodził tutaj na rozmowy z panem Olesiem. Oleś był to dwudziestoletni student warszawskiej szkoły wyższej i uczył się na doktora. Do dworu przyjeżdżał zawsze na wakacje, kiedy się wykłady uniwersyteckie kończyły, dla spędzenia paru miesięcy na wsi. Był on dalekim kuzynem państwa M. właścicieli majątku Rozdoły, i wzamian za gościnność uczył synów swego krewniaka, przygotowując ich do szkół.

Poznali się kiedyś w polu. Pan Oleś zawsze nosił przy sobie gazety i różne książki, a chętnie się wdawał w rozmowy z włościanami, napotkanymi podczas wycieczek z chłopcami. Widocznie Jurek sprytny, rozgarnięty

i chciwy wiedzy chłopak, podobał mu się, bo ile razy tylko miał czas, zawsze go zaczepiał i prowadził nieraz wieczorami długie rozmowy pod jesionem, na ławeczce, przed dworem. Pożyczył Jurowi książek ciekawych, objaśniał mu wiele rzeczy, których młody Kurek nie rozumiał. Znajomość ta trwała już od dwóch lat, i z czasem zamieniła się na przyjaźń.

Jurek miał wiele zaufania do rozumu pana Olesia; teraz w tej ciężkiej chwili życia postanowił zasięgnąć u niego rady.

Oleś powitał go serdecznie uściśnieniem dłoni i wciągnął do swojej izdebki na górce.

Sołtysiak, nie zwlekając, opowiedział studentowi swoje położenie.

— I ja znajduję się akurat w takim samym ukropie,—odparł student śmiejąc się.—Ale co do mnie, to już sprawa postanowiona. Ja podobnie jak i ty, nie mam zamiaru przelewać krwi za „braci słowian", bo mój dziadek, który poległ w powstaniu, chyba w grobie by się tam pod Małagoszczą przewrócił, gdybym stanął w szeregach jego zabójców. Nie jestem wprawdzie popisowym, bo mam odroczenie aż do ukończenia nauk, ale mogą mnie wezwać później czy wcześniej na pole bitwy, jako lekarza, bo za rok zostanę już doktorem. Nie myślę jednak czekać na to. Jadę do Warszawy i...

Uciął, patrząc bystro w oczy sołtysiakowi.

Jurek uśmiechnął się.

— I co pan tam ma zamiar robić?—zagadnął.

— Z pewnością, że nie po to jadę, żeby patrzeć z założonemi rękami na to, co się dzieje. Przyszła wielka godzina, mój kochany Jurze, wielka godzina! słyszysz? Teraz rozstrzygnąć się ma pytanie, czy nasza Ojczyzna nadal będzie kajdanami dzwoniła, czy też Biały Orzeł z rozwiązanemi skrzydłami zaszeleści na sztandarach. Rozumiesz ty to?

Na twarz Jurka wypadł rumieniec gorący.

— Na sztandarach, na jakich sztandarach, proszę pana?—zagadnął żywo.

— Czerwone one są, braciszku; białym orłom najpiękniej, kiedy je na krwawem polu postawić. Już, już, rwą się niecierpliwie, łańcuszkami targają! Zobaczysz!

— Chcę zobaczyć, proszę pana, chcę!—zawołał sołtysiak,—jadę z panem.

Pan Oleś uśmiechnął się zadowolony.

— Pojedziesz?—spytał, podając mu rękę.

— Pojadę, panie.

— No, to bądź gotów na dziś wieczór. Wyjadę bryczką, czekaj pod lasem, to cię zabiorę.

Pożegnali się, bo pan Oleś śpieszył się.

— W samą porę przyszedłeś, — rzekł mu przy rozstaniu.

Jurek już nie wrócił do domu. Ścieżką nad strugą, między olszynami poszedł do wsi. Nad samą prawie rzeczką stała na odosobnieniu chata. Sołtysiak skradał się tam, bacząc, żeby go kto nie dostrzegł. Oglądał się po polu. Wszędzie było pusto. Gospodarz zamieszkujący kolonję pojechał z synem na zborny punkt. Zbliżył się do okna, ale jeszcze nie zdążył zapukać, kiedy na progu stanęła, roześmiana jak słońce, rozradowana dziewczyna i pobiegła na spotkanie Jurka.

Dopadła i rzuciła mu obie ręce na szyję.

— Zostałeś?—mówiła wdzięczna—tamci poszli?

Kiwnął głową.

— No i co teraz?—spytała, marszcząc czarne brwi.

Pocałował ją w białe czoło, przytulił do piersi.

— Ha, i mnie czas w drogę, żegnaj mi, droga!

Wciągnęła go do wnętrza. Lica jej pobladły.

— Z Moskalami idziesz?—pytała.

Pokręcił głową.

— Gdzie zaś—odparł, podnosząc dumnie czoło.

Płakała, nalegała. Nie umiał jej odpowiedzieć. Przyszedł tylko powiedzieć, że odjeżdża, sam nie wie dokąd. Czuł, że w jego życiu waży się coś wielkiego, cały jego los, cała przyszłość.

Idzie w świat. Obiecał jej, że wróci, jeżeli co złego broń Boże się nie przytrafi. Potem pobiorą się i będą szczęśliwi.

Kochali się nie od wczoraj. Jurek, poznawszy Hankę, spoważniał, przestał uganiać się za innemi dziewczętami, oddał serce na wyłączną własność pięknej narzeczonej. Przed ojcem musiał jednak trzymać w tajemnicy swoje postanowienie, wiedział bowiem, że stary nie pozwoli nigdy na małżeństwo z ubogą córką gospodarza na paru morgach.

Siedzieli tak sami. Ona zapłakana, pełna obawy, że może stracić swojego chłopca, on poważny. Roili sobie piękne plany na przyszłość, przeplatając wyznania miłosne gęstemi pocałunkami.

Ani się oboje nie obejrzeli, aż tu zmrok zaczął zapadać.

— Na mnie czas!—powiedział wreszcie Jurek, podnosząc się z ławy.—Nie płacz, Hanko, powrócę z czemś! nie z groszem, bo nam go nie zbraknie, przy pomocy boskiej, ale z czemś stokroć godniejszem. Nie powstydzisz ty się za mnie, powiadam ci dziewczyno, a posłyszysz niebawem. Bądź mi jeno wierną!

Nie chciała go puścić. Wolałaby, żeby został takim jak jest, szlochała jak małe dziecko. Ale on wyrwał się niemal siłą z jej ramion.

— Orła Białego będę z łańcucha odkuwał — szepnął jej.

Nie zrozumiała, więc nawet nie starał się jej tego wytłómaczyć. Za chwilę znajdował się znów na łące. Odwrócił się raz jeszcze, żeby zobaczyć jej czerwoną spódnicę, świecącą jak pochodnia w zachodzącem słońcu na tle

ogródka, przed chatą; posłał w powietrzu ostatni pocałunek i zapuścił się w krzaki przy drodze.

Miał czekać tutaj na pana Olesia. Przycupnął pod stogiem siana, skąd było widać wyraźnie trakt, i pogrążył się w głębokiej zadumie.

Wyrwał go z niej turkot bryczki, poznał konie dworskie. Kiedy się zbliżyły, przywitał się ze studentem uchyleniem czapki.

— A, jesteś Jurku! — zawołał radośnie pan Oleś.— Doskonale, że stawiłeś się na słowie. Siadaj przy mnie. Byłem pewien, że się nie cofniesz — dodał, ściskając go za rękę.

— Ja nie z takich,—odparł młody Kurek.

— No w takim razie jedziemy!

W godzinę potem obaj wsiadali do pociągu i nad wieczorem znaleźli się w Warszawie.

Kurek bywał nieraz w stolicy Polski, ale dziś nie mógł jej poznać.

Ulice były ożywione, inaczej niż zwykle, czuć było na nich ruch gorączkowy—wojenny. Uniwersytet był otoczony tłumem ludzi, którzy gwałtem starali się dostać na dziedziniec za kraty. Moskale zgromadzili tam podobno rezerwistów, którzy niebawem mieli udać się na kolej. Mnóstwo żon, matek, sióstr oblegało kratę; dopuszczano grupami biedne kobiety, pragnące pożegnać się ze swoimi.

Był to niewesoły widok. Pan Oleś odwrócił oczy.

— Moskal bierze krwawą daninę z naszej Warszawy—mruknął.

Dorożka mijała samochody, pędzące z głośnym trąbieniem i tramwaje natłoczone jadącymi; w końcu zatrzymała się na samym skraju miasta, tuż pod rogatką Mokotowską, przy olbrzymim, sześciopiętrowym domu.

— No, jesteśmy u celu podróży,—rzekł pan Oleś.

Poszli schodami, ciągnącemi się w nieskończoność. Niezwyczajny, Jur zadyszał się. Na szóstem piętrze za-

trzymali się. Student zastukał w pewien jakby umówiony sposób. Niebawem ukazał się w nawpół otwartych drzwiach jakiś młodzieniec, który ujrzawszy nieznajomego, cofnął się i zmierzył przybyłych nieco podejrzliwie.

— To nasz! — odezwał się półszeptem pan Oleś.

— Pozwól, kochany Kostku, że was zapoznam: Jur Kurek, syn sołtysa z Rozdołów, który równie jak ja i ty doszedł do przekonania, że nie warto krwi przelewać za nahajkę.

— A, w takim razie proszę. Bardzo mi przyjemnie! — zawołał gospodarz, potrząsając dłonią sołtysiaka.

Teraz dopiero wpuścił obu do obszernego pokoju, w którym, jak świadczyły liczne szkice, znajdowała się pracownia malarska.

— Siadajcie panowie — dodał wskazując im otomanę, stojącą pomiędzy oknami.

Ale Jur stał nieruchomie, to bowiem, co tutaj zastał zdziwiło go niepomiernie. Na środku obszernej izby, oświetlonej oknami z góry, stało szeregiem ze dwunastu młodzików, z których najstarszy liczył nie więcej nad dwadzieścia parę lat wieku. W rękach mieli oni kije długości karabinów. Cała ich postawa wskazywała, że odbywali mustrę. Gospodarz, pan Kostek, odgrywał rolę oficera.

— Oto nasi nowi towarzysze! — rzekł, przedstawiając przybyłych. — No, możemy prowadzić dalej nasze zajęcia, nieprawdaż? — dodał, zwracając się do pana Olesia. — Właśnie trafiliście na ćwiczenia. Równaj się! — zakomenderował donośnie.

Na te słowa szereg stuknął karabinami drewnianemi i poprawił szyk cokolwiek rozluźniony. Mustra przerwana na chwilę, rozpoczęła się na nowo.

— No, nie ma co, musimy cierpliwie czekać — rzekł pan Oleś. — Spocznijmy tymczasem.

Pociągnął swojego towarzysza na otomanę.

— Proszę pana, niech mi pan wytłomaczy, po co oni się uczą? — zagadnął szeptem Jur, kiedy już usadowili się.

— Prawda, że ty o niczem nie wiesz. Otóż muszę ci powiedzieć, że w Galicji, gdzie się nam Polakom żyje jako tako, oddawna ludzie przeczuwali, że się zanosi na walną rozprawę między Rosją i Austrją. Postanowili więc walczyć o Polskę na wypadek wojny z Rosją. W tym celu założyli jeszcze w 1909 roku Drużyny Strzeleckie, ochotnicze wojsko polskie, które miało bić się z Rosją w czasie wojny. W roku 1911 rząd austrjacki zatwierdził te organizacje, jako Towarzystwo Strzeleckie. Pierwszą Drużynę zawiązano we Lwowie, drugą w Krakowie. Potem w każdem większem miasteczku, ba, nawet w każdej większej wiosce, powstały inne. Wyszkolono dla nich instruktorów, otrzymano od rządu broń i powstały Związki Strzeleckie i Drużyny.

U nas potem zawiązano taką organizację, zwaną Związkami Strzeleckiemi. Nie można było, rzecz prosta, działać tak otwarcie, jak w Galicji, moskale wsadziliby odrazu do więzienia drużyniaków pod zarzutem przygotowywania powstania zbrojnego. Ale w Królestwie potrzeba było także formować drużyny. Założono je więc w roku 1912 po cichu. Siedziba główna Drużyn jest w Warszawie pod bokiem moskali, kochany Jurku. Młodzieńcy, których widzisz, to właśnie strzelcy warszawscy. Ponieważ nie mogą mustrować się prawdziwemi karabinami, więc sobie porobili tymczasową broń drewnianą; ale teraz nadchodzi pora, że ją będą mogli zamienić na prawdziwą! Izby obszerne, jak ta, zastępują im pola ćwiczeń. I, jak widzisz, mustra wcale nieźle się odbywa.

Spodziewamy się, że prędzej czy później moskale, pobici, cofną się z Królestwa, wówczas nasi strzelcy chwycą za prawdziwą broń i spełnią się najgorętsze ich marzenia; zaczną prać moskali, że ha! Zapłacą im za

wszystkie krzywdy, jakich nam od powstania nie szczędzili, zrzucą upakarzające jarzmo z karków.

Trza tylko jedności, bo jedność daje siłę! A tej niestety, nie masz. Są ludzie krótkowidzący, którzy wierzą miodowym słówkom wilka moskiewskiego, albo też małoduszni, którzy dla miłego spokoju gotowi są znów nałożyć pętlicę na szyję Polsce.

Chociaż nie możemy narzekać. Młodzież garnie się do naszych Związków. Liczba strzelców rośnie z dniem każdym. Przed samym wybuchem wojny wysłaliśmy garstkę sporą młodzieży za granicę, do Nowego Sącza, na ćwiczenia strzeleckie. Wojna zastała ich przy pracy. Spotkamy się w polu! Boże, czy ja nie umrę z niecierpliwości, czy ja doczekam tej pięknej chwili, Jurku!?

Ale ty mnie może nie rozumiesz — dodał smutnie.

— Co, ja nie rozumiem? — oburzył się Jur. — Co tu wiele mówić, proszę pana Olesia. Nie gorszy ze mnie Polak, niż pan, albo ci! — dodał wskazując na mustrujących się młodzieńców. — Z wami idę, i kwita! Oto moja ręka!

— Doprawdy? — pytał z niedowierzaniem pan Oleś, patrząc badawczo w oczy Jurowi.

— Tak mi Panie Boże dopomóż!—zawołał chłopak.— Proszę pana — dodał podnosząc się — co ja tu będę po próżnicy siedział? dajcie i mnie to to. Niech tymczasem będzie kij, wszystko jedno! Potem wsadzicie w garść co lepszego! jam wasz!

Pan Kostek poklepał przyjacielsko po ramieniu sołtysiaka.

— No, odrazu zmiarkowałem żeś nasz — rzekł. — Tak ci z oczu patrzało. No, spodziewam się, że nam wstydu nie zrobisz tam w polu; trzymajże!

Wyciągnął z kąta kij, i wręczył go Jurowi, który zaraz stanął w szeregu.

Pan Oleś nie został w tyle i on chwycił drewnianą broń i zajął miejsce obok sołtysiaka.

Pan Kostek, widząc swój mały oddział, powiększony o dwóch żołnierzy, zaczął komenderować z podwójnym zapałem, aż szyby w oknach brzęczały.

Kiedy w godzinę potem ćwiczenia skończyły się, Jurek nie mógł się powstrzymać.

— Dziękuję panu serdecznie — rzekł ściskając z zapałem dłoń panu Olesiowi — że mnie pan tutaj przyprowadził. Będziemy razem walczyli, dopóki nasz Orzeł Biały na nowo nie rozwinie wolnych skrzydeł. Niech żyje Polska niepodległa!

Okrzyk ten podchwycili z zapałem młodzi strzelcy. Otoczyli kołem sołtysiaka i po kolei ściskali jego spracowaną dłoń.

— Takich więcej, a Polska nie zginie! — zawołał pan Kostek.

Tak więc Jurek został strzelcem. Czuł się dumnym, że nie poszedł z tamtymi niewolnikami. Teraz miał cel życia. Duma rozpierała jego szeroką pierś.

ROZDZIAŁ IV.

Sam jeden.

Jan Kurek, nie zastawszy w domu Jura, nie zbyt się zmartwił; nawet był w duszy zadowolony, że się tak gładko ułożyło. Syn uciekł! Napisał nawet o tem raport do gminy, żeby być w porządku jako urzędnik, ale prosił wójta, żeby jakoś starał się tę sprawę ukryć; bo jakże to by było, gdyby naczelnik dowiedział się, że syn sołtysa w Rozdołach nie stawił się na służbę cesarską!

Kiedy jednak pierwszy kram skończył się, Kurek

zaczął miarkować, że mu grozi klęska nielada. Roboty było huk, żniwa nieskończone, a tu pomocy żadnej w domu nie masz, prócz dwóch dziewcząt—Janki i Małgosi, bo o Jędrku, trzynastoletnim chłopaku, nie było nawet co wspominać.

A w dodatku nie chodziło teraz o jedno gospodarstwo, ale raczej o trzy, bo rezerwistki także zostały same jedne z małemi dzieciakami, bezradne i zmartwione.

Sołtys myślał, myślał i jakoś nic nie mógł wymyśleć. Postarał się o paru parobków za drogie pieniądze naturalnie, bo ludzi nie na żarty zaczęło brakować, i przy ich pomocy zabrał się do pracy nad siły.

Wstawał przed świtem, kładł się późno w nocy, prawie — że nie śpiąc.

Niebawem się jednak przekonał, że nie zdoła. W dodatku parobcy, nie pilnowali jak się należy, nietylko opieszale pracowali, ale, co gorsza, zaczęli popełniać różne nadużycia, sprzedając żołnierzom na własną rękę siano i słomę.

Dowiedziawszy się o tem, Kurek wydalił jednego, drugiemu dał na osobności porządną nauczkę, ale w rezultacie roboty mu jeszcze przybyło.

Musiał prosić sąsiadów o pomoc; ale sami zajęci, nie zbyt wiele mogli dla niego zrobić, a i za to, co zrobili, jak z łaski, kazali sobie zapłacić.

Po paru tygodniach Kurek poczuł, że jeżeli tak dalej pójdzie, to się położy do łóżka, i wszystko djabli wezmą. Popadł więc w zły humor, dokuczał wszystkim w domu, a żona ze swej strony, nie mogąc darować mężowi, że z jego winy dom stał teraz prawie pusty, nie dała mu dobrego słowa. I w chacie sołtysowej, gdzie do niedawna panowała zgoda, dostatek i święty spokój, rozpoczęły się swary; gospodarstwo rozprzęgało się, wkradał się nieład. Kiedy zaś w dodatku ogłoszono mobilizację koni i zabrano dwie szkapy Kurkowi, naprawdę już nie można

było sobie dać rady. Zasiano i zaorano, Boże zlituj się, a w końcu września połowa roboty w polu czekała zmiłowania.

Kurek powoli dochodził do przekonania, że na nim głównie skrupiła się bieda. Gniewało go to tembardziej, że musiał przyznać żonie słuszność. On sam, nie kto inny był po części przynajmniej winien swojemu losowi. Ta psia wierność i posłuszeństwo woli cesarskiej na złe mu już zaczynały wychodzić.

Było to tak pod koniec września 1914 roku. Między ludźmi chodziły wieści o okrutnych bitwach, jakie toczyły się w Lubelskiem, między wojskami rosyjskiemi a austrjackiemi. Potem jednak uciszyło się nieco, ale nie na długo. Gruchnęło bowiem, że od zachodu walą na Warszawę wielkie zastępy wojsk niemieckich i austrjackich.

Rosjanie, którzy się już byli zapędzili daleko za pobitymi austrjakami, cofali się, biorąc po drodze co się dało. Pewnego dnia na polu kurkowem zjawili się dragoni, oświadczając, że przychodzą po owies i siano.

Kurek był przekonany, że zrobi doskonały interes; chętnie więc pokazał sterty i stogi. Owsa nie zdążył jeszcze wymłócić, bo nie miał rąk, ani czasu po temu, ale siano zaofiarował po zwykłej cenie. Dragoni zabrali cały stóg na fury, oceniwszy siano na oko tak „trafnie“, że zamiast spodziewanych kilkudziesięciu rubli, Kurek dostał piętnaście.

Jeżeli sołtys był sprawiedliwy w odprawowaniu swoich obowiązków, to ze swojej strony żądał dla siebie sprawiedliwości od rządu cesarskiego. Widząc więc swoją wyraźną krzywdę, oparł się; zażądał stanowczo zapłaty według wagi. Wszczęła się między nim a dragonami kłótnia. Żołnierze nie ustępowali, Kurek też. Kiedy chcieli odjechać, rzucił się do koni i zatrzymał je za cugle; wtedy podoficer, brodaty drab, wyglądający bardziej na bandytę, niż na kawalerzystę armji regularnej, wyjął szablę i nie-

miłosiernie płazem wygrzmocił pana sołtysa po plecach. Inny dołożył mu kułakiem po gębie, poczem cała wataha odjechała, wymyślając pokrzywdzonemu od buntowników. Utrata siana niezmiernie zmartwiła Kurka, ale było to nic w porównaniu z tem, że go nazwano „buntownikiem". To go jeszcze bardziej zabolało nawet, niż to wypłazowanie po plecach, i to pomacanie po gębie.

Sołtys zaciął się, że będzie dochodził swojego. Napisał więc zaraz na gorąco skargę na owych żołnierzy. Na nieszczęście zapomniał dowiedzieć się, z jakiego byli pułku. Kiedy więc w tydzień potem przyszedł papier z gminy od naczelnika wojskowego, z jakiego pułku byli żołnierze, którzy go tak srodze pokrzywdzili, nie potrafił dać dokładnej odpowiedzi. Świadków zaś żadnych, prócz żony i córki, nie miał. Nie dawał jednak za wygranę. Pojechał do gminy naradzić się z wójtem.

— Nie dość, że mi siano za pół darmo, co ja mówię! za ćwierć darmo zabrali, ale jeszcze po gębie dali i od buntowników obezwali. Mnie, od buntowników! Mnie!— bił się w piersi wielce oburzony, wzywając Boga na świadka swojej krzywdy. — Odnajdę ich! chociażby pod ziemię się skryli — odgrażał się.

Ale wnet przekonał się, że wójt ma nieco inne zdanie w tej sprawie.

— Wasza racja, sołtysie — rzekł. — Siano było cztery albo pięć razy tyle warte. Nie mieli oni prawa brać bez wagi, a tymbardziej nie mieli prawa was bić. Tylko, widzicie, nie potrzebnie chwyciliście za cugle, chcieliście gwałtem konie rządowe zatrzymać. To także gwałt. Ja o tem mówiłem na osobności z naczelnikiem. Żałuje was, ale powiedział, żeby z tego nie robić kramu, bo jak do czego przyjdzie, to żołnierze powiedzą, żeście na nich rękę podnieśli, w chwili kiedy oni spełniali rozkaz naczalstwa. Więc racja wasza i nie wasza. O tem, że was obezwali od buntowników to nawet nie wspomniałem.

— Niby dlaczego? — zirytował się Kurek. — Czy nie wiernie służyłem? czy nie spełniam sumiennie obowiązków? czy nie posłałem na służbę cesarzowi synów?

Oburzył się wielce słowami wójta, bo miarkował, że ten nie ma odwagi stanąć po stronie słusznej.

— Więc nie mam racji? — nalegał widząc, że wójt milczy.

— Widzicie wszystko byłoby dobrze, ale...

— Przecież niczem nie zawinił...

— No, tak, wy w porządku. Ale ten wasz Jur... Naczelnik to prawie—że wie, tylko udaje, że nie wie, bo ten wasz raport to u mnie w kancelarji pozostał. Musiałem mu tylko napomknąć o tej sprawie... Okrutnie się gniewał na Jura. Powiedział, że nigdy się nie spodziewał, żeby syn sołtysa dezerterował z wojska, że będzie z nim źle, jak go złapią. Potem powiedział jeszcze, że to i wasza po części wina, że Jur zbuntował się przeciwko woli cesarskiej. Przecie to wasze dziecko i wyście go, nie kto inny, wychowali, wyście mogli chociażby siłą zmusić go, żeby stanął na zbornym punkcie... Nie prawdaż? Zawszeć naczelnik trochę racji miał... Hę.

— Otóż właśnie dlatego, że ten wasz Jur tak sobie brzydko postąpił, będzie najroztropniej z waszej strony, jeżeli schowacie to wszystko do kieszeni. Nie trza wywoływać wilka z lasu, powiadam wam! Z rządem zaczynać niebezpiecznie; teraz wojna. Każdy, powiada naczelnik, powinien oddać wszystko, co ma, dla wojska, żeby wojna prędko się skończyła... On człowiek, i wy człowiek, on nawet wcale nie zły człowiek, więc dajcie spokój, Kurku.

Sołtys słuchał mowy wójta, jak pijany. W głowie mu szumiało. Nic a nic nie mógł z tego wyrozumieć. Złość bezsilna dławiła go. Tego jeszcze brakowało! Nie dość — że go okradli, prawie że zrabowali i pobili, ale jeszcze chcą go zrobić odpowiedzialnym za Jura! Czyż on nie robił wszystkiego, co leżało w jego mocy, żeby

skłonić syna do spełnienia powinności wojskowej? Nie udało się! więc cóż?

Wzięła go nagle taka pasja, że palnął w stół. Chciał coś powiedzieć, ale wójt kazał postawić wódki i kiełbasy. Znać chodziło mu bardzo o to, żeby Kurek nie dochodził swojej krzywdy. Był przecie dobrze z naczelnikiem.

— No! w.wasze ręce, sołtysie—rzekł, trącając się.

Kurek sam nie wiedział, jak wziął w rękę kieliszek i wypił. Zakąsili. Wójt uściskał sołtysa Rozdołów, wziął od niego słowo, że będzie cicho siedział i na tem się wszystko skończyło. Na dnie duszy Kurka pozostało jednak poczucie niesprawiedliwości, którego przez długi czas nie mógł się jakoś pozbyć.

W parę tygodni po tem przykrem dla Kurka zajściu z żołnierzami, spadły nań nowe przygody. Oto do wsi raz w raz przychodziły żądania władzy wojskowej o podwody. Było z tem latania co niemiara po wsi od zagrody do zagrody. Każdy się przytem wykręcał, jak tylko mógł: ten chory, ten nie ma konia, ten niedawno dawał parę, która dopiero co wróciła. Narzekaniom na sołtysa nie było miary. Zdarzyło się raz, że oficer wpadł znienacka do wsi. Podobno jakieś konie ciągnące tabory rządowe padły na drodze; więc gwałt!

— Dawaj i dawaj!—Oficer nie słuchał przełożeń sołtysa. Jeszcze mu nawymyślał, zaprowadził żołnierzy do stajni i zabrał parę najlepszych szkap. A tu akurat parobek pojechał był z jedną parą wczoraj, i nie wraca. Sołtys zmiarkował, że jeżeli nie dopilnuje koni, to pewnie się z niemi nigdy już nie zobaczy; rad nie rad więc pozostawił zastępstwo sąsiadowi w urzędzie, a sam pojechał razem z oficerem.

Szkapy zaprządz mu kazali do ciężkiej kibitki, i pojechał za nieskończonym korowodem, klnąc w duszy, na czem świat stoi.

W pośpiechu zapomniał nawet wziąć ze sobą zakąski.

Spodziewał się, że go wnet puszczą do domu. Omylił się jednak. Droga jesienna była ciężka; tren się mocno śpieszył, konie poganiano bez miłosierdzia, tak, że co godzina niemal któreś nieszczęśliwe bydlę padało. Żołnierze nie czekali nawet aż zdechnie, chwytali za ogon, odciągali do przydrożnego rowu, zakładali świeże i dalej.

Koniska Kurka namordowały się srodze. Kiedy nazajutrz poszedł do oficera z prośbą, żeby go puścił do domu, ten ani słuchać nie chciał.

Kazał jechać dalej, a na wszelkie przedstawienia Kurka pogroził mu pięścią pod nosem i jakby przez zemstę, wlókł za sobą przez całe trzy dni.

Czwartego dnia w nocy Kurek, doprowadzony niemal do rozpaczy, uciekł pokryjomu z obozu razem z końmi.

— Niech sobie ta inni cierpią teraz za mnie! — pomyślał.

Powrót do domu zajął mu całe dwa dni i razem stracił niemal tydzień. Szkapska wychudły tak, że je Kurkowa ledwie poznała. Sołtys sam zgłodniały był jak wilk, nie wyspany i zaziębiony od noclegów na błocie, bez dachu.

W domu nie zastał ani Janki, ani Małgosi.

— Gdzie dziewuchy?—zagadnął niespokojny.

Stara zrobiła rozpaczliwy gest.

— Na okopach—odparła.

— Jakto na okopach?—powtórzył stary Kurek.

— Na drugi dzień, jak odjechałeś — opowiadała żona—przyjechali kozacy do wsi i wszystkich, kto żył, wypędzili do roboty. Podobno niedaleko stąd, w Kozłowicach, sypią szańce, i potrzebują kupę narodu. Płacą jednak dobrze. Chłop dwa ruble, dziewczyny i kobiety po półtora rubla. Co miałam robić. Musiałam je puścić.

Kurkowi wiadomość ta wcale się nie podobała. Złajał

żonę, ale okazało się, że niesprawiedliwie, bo jak się wnet dowiedział, kozacy nahajkami wypędzili wszystkich zdatnych do łopaty. Ze stu ludzi ze wsi zabrali, a tylko kilkunastu dotąd wróciło do domu.

Stary zmartwił się. Niepokój jakiś wziął go za serce. Dotąd strzegł ładnych córek, jak oka w głowie. Młode to, płoche, zwyczajnie jak dziewuchy, powinny były znajdować się pod ciągłą opieką rodzicielską. Zresztą oburzało go, że jego córki—jednego z najbogatszych gospodarzy w Rozdołach, muszą pracować, jak pierwsze lepsze posyłki folwarczne. Kurek łudził się nadzieją, że Małgosia i Janka wrócą niebawem. Czekał cały tydzień. Kiedy jednak dziewcząt nie było widać, postanowił sam udać się na okopy i sprowadzić je stamtąd do domu niezwłocznie.

Do Kozłowic było ze trzy mile drogi kiepskiej, bocznej. Kurek zaprzągł więc parę koni do lekkiego wózka i pojechał.

Nad samym wieczorem dotarł do celu podróży. Zatrzymał się we wsi i sam piechotą powędrował na okopy. Po drodze dowiedział się jednak, że ludzie już od paru godzin nie robią. Kiedy się zapytał o córki, nikt nie umiał mu powiedzieć, gdzie się znajdują. Od paru dni nie widziano ich wcale.

To jeszcze bardziej zaniepokoiło Kurka.

Po długich poszukiwaniach wreszcie Kurek zdołał się dowiedzieć, że Janka i Małgosia są w jednej z chat, na samym końcu wsi, niedaleko mieszkania żołnierzy i oficerów, kierujących budową okopów.

O samym już zachodzie słońca stanął wreszcie sołtys przed owym domem.

Na progu jednak powitał go niechętnie jakiś starszy.

— Czego?—spytał groźnie.

— Tu podobno znajdują się moje córki — tłomaczył

zdenerwowany już nieco Kurek. — Chciałem się z niemi zobaczyć.

— Tu nie masz waszych córek — odparł podoficer, widocznie zmieszany niespodziewanemi odwiedzinami.

— Kiedy mi powiedziano, że są! No, puście mnie...

Kurek chciał wejść gwałtem do domu, ale żołnierz odepchnął go brutalnie.

Stary jednak nie stracił rezonu, jeszcze mocniej popchnął Moskala i otworzył drzwi.

Na progu doleciał go zapach wódki, i odgłosy harmonijki. W izbie siedział oficer od saperów, przy stole zastawionym szklankami i jadłem. Obok niego Małgosia, która ujrzawszy ojca, rzuciła się ku niemu z głośnym okrzykiem.

— Co ty tu robisz? — zagadnął surowo ojciec, mierząc groźnem spojrzeniem dziewczynę.

Małgosia przypadła mu się nagłym ruchem do kolan.

— Tatulu, tatulu!—zawołała wielkim głosem. — Weź mnie stąd! Weź!

Tuliła się doń błagalnie, drżąca, jak liść osiki.

— A Janka gdzie?—pytał Kurek, którego tknęło złe przeczucie.

— Janko, Janko, tatuś!—zawołała Małgosia.

Sąsiednie drzwi rozwarły się i ukazała się w nich równie przerażona, a zarazem uradowana Janka.

— Dalej! ze mną!

Oficer, który był dobrze, jak to mówią, „trącony", patrzał na to, co się działo, niechętnie. Kiedy Kurek, wziąwszy obie córki za ręce, skierował się ku wyjściu. Moskal podniósł się na chwiejących nogach.

— Nu, zacziem bierzecie córki? Ot, naglec! Zostawcie je. Sławne dziewczyny. No, napijmy się! Aleksiej, nalej wódki.

Żołnierz posłuszny napełnił dwie spore szklaneczki. Oficer dawał zachęcające znaki. Ale Kurka porwał gniew.

— Do domu, dalejże!—wołał, popychając przed sobą obie dziewczyny.

Żołnierz usiłował ich zatrzymać, ale sołtys odepchnął go tak silnie, że się aż potoczył, potem wypadł na dwór.

— Wy, tu? Dla Boga! Co to ma znaczyć?—pytał, spoglądając na córki.

— Nie puszczali nas!—tłómaczyła Janka.

Zaczęła płakać; Małgosia zawtórowała jej.

— Dlaczegoście przyszły tutaj?—nalegał Kurek.

— Powiedzieli nam, że w tym domu będzie wypłata, przyszłyśmy. Ale kiedyśmy weszły do izby, oficer zamknął drzwi na klucz i tak już piąty dzień nas tu trzymają.

— I co?—pytał stary, czując, że blednie.

— Jam nie chciała za nic... broniłam się... — szlochała Małgosia—siłą przytrzymali!... Ooo!

Pokazywała siniaki na szyi, podrapane ręce... podartą sukienkę. Janka płacząc, przyświadczała siostrze...

Kurka omal szlag nie trafił... Zrobił się czerwony, jak ćwik... oddychał ciężko...

Córki czepiały mu się nóg...

— Tatulu—my nie winne... Jezu, Jezu!

Podniósł rękę—chciał bić, bić, bez miłosierdzia. Ale opamiętał się... Dowody były przekonywające.

— Wierzę wam!—jęknął.

Z zaciśniętych zębów wyrzucał z sykiem żmijowym przekleństwa, siadł na płocie, rozerwał koszulę, żeby złapać powietrza. Wściekłość dusiła go... Oddychał, jak miech. Nabrawszy tchu, uchwycił silną garścią pierwszą lepszą żerdź z płotu, rozłamał i zbrojny w grubą kłonicę, wrócił pode drzwi.

Zastał je zamknięte. Walił więc drągiem, rycząc. Nadbiegli ludzie. Robiło się zbiegowisko... Kurek nie zważał na nic... Podparłszy drzwi potężnemi barami, wywalił je i wpadł do izby, srogi, chciwy krwi i pomsty, jak raniony odyniec.

Nie zastał tu jednak nikogo; w drugiej, trzeciej to samo—pustka. Pijany oficer, podoficer, stróżujący u wejścia dieńszczyk, wszyscy zniknęli bez śladu. Kurek wywarł gniew na martwych przedmiotach; pogruchotał butelki, statki, sprzęty na drzazgi. Pytał, dokąd Moskale uciekli. Nikt nie umiał mu na to odpowiedzieć.

Wszyscy wiedzieli już, co się stało. Kurek nie śmiał oczu podnieść na ten tłum, który z jego nieszczęścia robił sobie widowisko. Skinął na córki i wymknął się między opłotkami. Był jak pijany; siadł na wóz i pędził,układając w duszy plan zemsty.—Nie daruje!—Do sądu pozwie za swoją krzywdę, za sromotę! Przecież znajdzie sprawiedliwość, może lepszą, niż tę, jaką sobie w napadzie wściekłości sam wymierzył. Jak się cesarz dowie o tej zbrodni, biada gwałcicielom!

ROZDZIAŁ V.

Kurek szuka sprawiedliwości.

Wróciwszy do domu z owej nieszczęsnej wyprawy po córki, Kurek ze zmartwienia rozchorował się. Przez kilka dni siedział w domu, zamknięty na klucz w swojej kancelarji nie chcąc nikogo widzieć na oczy. Na córki nie mógł nawet patrzeć! darmo sobie tłómaczył, że to nie ich wina, darmo obwiniał o wszystko Moskali; jakaś uraza utkwiła mu w sercu, niby grot jadowity i zakażała myśl oraz uczucie.

Poczuł się osłabiony, zniechęcony, dostał gorączki, wszystko się w nim burzyło i kotłowało. Leżał, nic nie robiąc, zaniedbując nawet swoje obowiązki służbowe. Nie brał nic do ust, nie wpuszczał nawet żony z jadłem do siebie, pomimo, że błagała go o to pode drzwiami.

On, który nigdy prawie wódki nie kosztował, teraz zaglądał raz po raz do butelki. Kiedy wreszcie wszystkie

trzy przeznaczone na poczęstunek flaszki były próżne, Kurek powziął postanowienie.

Ubrał się jak mógł najlepiej, zaprzągł do bryczki, i pojechał ze skargą do naczelnika wojskowego.

— Nie daruję, chociażbym miał sam zginąć!—powiedział sobie twardo.—Nie spocznę, póki te łotry nie otrzymają kary, na jaką zasłużyli.

Długo czekał sołtys, zanim dopuszczono go przed oblicze pana naczelnika.

Nareszcie po kilku godzinach starań, nagabywań, domagań się coraz natarczywszych, stanął przed panem pułkownikiem. Pamiętał dobrze język rosyjski, przesłużywszy w wojsku kilka lat i sprawując swój urząd. Powiedział sobie, że po rosyjsku trzeba przemawiać, żeby być lepiej zrozumianym przez pana naczelnika. Starał się być spokojnym, chociaż krew w nim kipiała, kiedy zaczął wywodzić swoje skargi.

Opowiedział wszystko, jak było, nic nie dodając, nic nie ujmując. Skrzywdzono go strasznie. Córki, które poszły pomagać wojsku w sypaniu okopów, a więc dla odniesienia zwycięstwa nad nieprzyjacielem, znieważono strasznie, pozbawiono je tego, co dla każdej porządnej dziewczyny jest najdroższe. Pozbawiono podstępem, nieuczciwie; popełniono na nich gwałt okrutny, nadużyto władzy i siły...

Mówił na pozór zimno, strzegąc się wyrażeń silnych, dławiąc przekleństwa i złorzeczenia, cisnące mu się na język.

Patrzył uważnie w oczy pana pułkownika, spodziewając sie, że ujrzy w nich oburzenie, współczucie dla swojej niedoli.

Omylił się jednak. Moskal wysłuchał skargi z lodowatą obojętnością. Kiedy Kurek przestał mówić, naczelnik zapalił papierosa, puścił kłąb dymu przed siebie i zaczął bębnić palcami po stole.

— Więc wy Kurek zanosicie skargę naprzeciw oficera rosyjskiej armji? Hm, hm. Ciężką skargę! Jeżeli by się okazało, że wy mówicie prawdę Kurek, to temu oficerowi popadłoby, nie daj Boże!

— Prawdę rzetelną powiedziałem — zawołał sołtys uderzając się w piersi.

— Nu, tak wam się zdaje, że wy prawdę mówicie!

— Jakto zdaje mi się? Toż dziewczyny wszystko wyznały! Niech pan naczelnik sam je spyta.

— No, tak one powiedzialy. Ale czy one czego nie przekręciły czasem, hę? Kto wie, jak tam naprawdę było. Może to nie był wcale gwałt, może one same się zgodziły — hę? Oficer młody. Zwyczajnie jak dziewczyny, niby to nie chciały, a w końcu przystały! Kto tam był przy tem!

Kurkowi krew zalala oczy. Czuł, że z równowagi wychodzi, ale całą siłą woli powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć.

— One nie mogły się zgodzić! To nie może być! Głowę dam za to, panie naczelniku!

— No, tak, ja to rozumiem, że wy za córkami stoicie, Kurek. Zwyczajnie jak ojciec. Ale przecież mogły się bronić, mogły uciec...

— Broniły się...—twardo rzekł Kurek.

— Hm, broniły się, ale może za słabo. Nu, Kurek, więc wy chcecie, żeby ja raport podał do pułkownika? Hę? Rozważcie wy to sobie dobrze, bo wasza odpowiedzialność duża!

— Moja odpowiedzialność? — powtórzył zdumiony i przerażony sołtys.

— I bardzo duża—powtórzył Moskal.—Śledztwo będzie, świadków trzeba znaleźć, rzecz zbadać. To ciężka sprawa. Gwałt, hm! Jeżeliby się okazało, że wasza skarga słuszna, to oficera w sołdaty zdegradują, pagony mu zlecą, rozumiecie? Choć w łeb przyjdzie sobie strzelić!

— Sprawiedliwość musi być!

— No tak, ale jeśli okaże się, że nie wasza słuszność, to co?

— Jakto może się okazać?

— No tak, jeżeli sąd wojenny uzna, że wasze córki, zwyczajnie jak dziewczyny, ot tak, napoły dobrowolnie. Mało to takich bywa? To co wtedy?

— To nie może być!!!

Kurek ryknął, jak zraniony byk. Dławiło go w gardle, drżał cały.

— To nie może być! Nie może! — powtórzył chrapliwie.

— No, uspokójcie się Kurek. Śledztwo pokaże, kto ma rację. No, dobrze! ja do pułkownika saperów waszą skargę wniosę. Sąd będzie wojenny. No, a teraz powiedzcie, jak familja i otczestwo tego oficera?

— A kto jego tam wie? To pan pułkownik lepiej odemnie sprawdzi.

— Gdzie mnie do tego! Wasza rzecz! Oficerów dużo w saperach! Zresztą ja wam powiem, Kurek. Wy sami do pułkownika idźcie! Tak będzie najlepiej! Co ja się do tego mam mieszać? Nie mój oficer!

Kurek siedział jak sparaliżowany. Strach go ogarnął. Czuł, że jest oplątany jakiemiś niewidzialnemi nićmi, które mu język i ręce związały, tamując najmniejszy ruch.

— Niech pan pułkownik to zrobi, proszę pięknie, ja nie wiem, nie znajdę—jąkał.

Ale Moskal potrząsał głową odmownie.

— Skąd ja? Nie moje dzieło! Do pułkownika trzeba ze skargą iść. Koniecznie! No i świadków przedstawić; bez świadków nic nie zrobisz!

Rozkładał ręce, bezradnie niby.

Kurek czuł się coraz bardziej przygnębiony.

— Gdzie ja mam szukać?

— Wasza rzecz. To pewnie będzie dziewiąty bataljon.

A zresztą, kto go tam wie! Nie ja wam nie poradzę, choćbym sam chciał. No, idźcie; jak się dowiecie wszystkiego dobrze, to do mnie przyjdźcie znowu. A teraz nie mam czasu.

Podniósł się, ale Kurek nie ruszał się z miejsca. Moskal stał nad nim.

— Nu, paszoł!—powtórzył gniewnie. — Powiedziałem co masz robić!

— Panie naczelniku!—błagał Kurek.

Zrozpaczony, bezsilny, chciał Moskala pocałować w rękę. Ale ten odsunął się brutalnie i mówił:

— Ale pamiętajcie, że wy ruskiego oficera o brzydką sprawę oskarżacie! Jeżeli wy jemu winy nie dowiedziecie, to z wami kiepsko może być, ostrzegam. Ruskiego oficera nie można lekkomyślnie obrażać, gwałt jemu zarzucać. To ciężka odpowiedzialność! No, a wasz syn nie znalazł się?— dodał nagle.

— Jur?

— A Jur! On buntownik. Do wojska się nie stawił. Wy musicie wiedzieć, gdzie się ten dezerter ukrywa! Wy to powinniście zaraz zeznać! Nu, niech ja jego w ręce dostanę, pod sąd wojenny oddam; a gdzie on! mówcie zaraz!

— Poszedł w świat. Niema go w domu.

— A ja wam radzę, Kurek, wy tego nie ukrywajcie! Inaczej wy sami jego wspólnikiem będziecie i tak samo jak on odpowiadać przed sądem wojennym możecie!

Kurka wzięła naraz ochota palnąć w gębę bezczelnego Moskala i te wszystkie słowa napowrót mu do pyska wtłoczyć pięścią. Ale pomiarkował, że tą drogą nic nie wskóra, sobie tylko najgorzej zrobi. Zahamował więc rękę, która go srodze świerzbiała. Podniósł się.

— O Jurze nic nie wiem! Sam go namawiałem, żeby się do służby stawił. Nie chciał. Nie moja wina, panie

pułkowniku. Mnie teraz córki w głowie. Ja tu przyjdę, ja jego z pod ziemi wykopię tego...

Kurek wrócił do domu z wątpliwościami, ze zgryzotą i srogą troską w sercu.

Słowa pana naczelnika wpiły mu się w pamięć, jak pijawka w ciało i sprawiły ból niezmierny.

Czy aby naprawdę wszystko było taz, jak dziewczyny opowiadały?

Postanowił za wszelką cenę rozstrzygnąć te wątpliwości.

Zawezwał więc Małgorzatę i Janke, zamknął się z niemi w kancelarji sam na sam, nawet matki nie wpuścił i przeprowadził pewne śledztwo. Łagodnością, obietnicami przebaczenia, starał się wydobyć nagą prawdę i wydobył.

Dziewczęta płacząc, opowiadały historję swojego upadku, ze wszystkiemi bolesnemi dla ojcowskiego ucha szczegółami, nic nie utajając.

Wzięto je niczemnym podstępem, upojone, niezdolne do energicznego oporu, siłą i groźbą. Słowem Małgosia i jej siostra stały się ofiarami zbrodniarzy, działających z planem z góry powziętym i wykonanym z piekielną zręcznością.

Słuchając tego szczerego wyznania niedoświadczonych dziewcząt, które lekkomyślnie dały się nikczemnikom wciągnąć w połapkę, Kurek wrzał z oburzenia upokorzenia, wstydu i żądzy pomsty. Czyż miał karać córki? Byłoby to powiększyć jeszcze niezasłużone nieszczęście, które na nie spadło.

Teraz Kurek wierzył im bez zastrzeżeń i cała jego zawziętość skierowała się przeciwko sprawcom tej hańby, która ciążyła mu na piersi ciężkim kamieniem.

Wypytywał dziewczęta o rozmaite szczegóły, które mogły mu ułatwić odszukanie podstępnych zwodzicieli i po-

wziął niezłomne postanowienie, że nie spocznie, póki łotr nie otrzyma zasłużonej kary, a on sprawiedliwości.

Wierny temu, co sobie przyrzekł, Kurek udał się na wyprawę.

Dotarł następnego dnia do owych nieszczęsnych okopów, rozpytał ludzi i koniec końców zdołał dowiedzieć się nazwiska oficera od saperów, u którego znalazł był córki.

Winowajca jednak przeniósł się już był tymczasem w inne okolice i Kurek, chcąc go ścigać, musiał wędrować o kilka mil do najbliższego miasteczka.

Nic go jednak nie mogło zniechęcić, kiedy szło o sprawiedliwość. Wziął nogi za pas, jak to się mówi, i dotarł do kwatery saperskiej.

Nauczony doświadczeniem, zasięgnął porady adwokata, zanim wniósł skargę na oficera przed jego władzą.

Postępował ściśle według wymagań prawa, nie chcąc sobie i wymiarowi sprawiedliwości w czemkolwiek zaszkodzić.

Pohamował swoje oburzenie, zdławił narazie żądzę zemsty i czekał...

W obawie jednak, żeby mu oficer nie uciekł, żeby nie schowano skargi pod sukno, jak to się często zdarzało za rosyjskich rządów, jeżeli szło o osoby urzędowe, siedział parę tygodni w miasteczku, drepcąc to do sądu, to do adwokata...

Nareszcie nadszedł tak niecierpliwie oczekiwany przez strapionego Kurka dzień rozpraw sądu wojennego, przed który pociągnięto gwałciciela.

Były to okropne chwile dla nieszczęsnego ojca. Sędziowie kazali stawić się osobiście poszkodowanym, przeprowadzili śledztwo niezmiernie upokarzające dla nieszczęśliwych dziewcząt. Zawezwano świadków, którzy odrazu wydali się Kurkowi stronnymi.

Byli to ci sami żołnierze, których sołtys widział

obok oficera w owym pamiętnym dniu, kiedy odnalazł córki, a więc raczej wspólnicy występku, aniżeli świadkowie.

W duszy Kurka poczynały się budzić podejrzenia, ale nie mówił nic, czekał.

Przecież cesarski sąd nie może uwolnić zbrodniarza, nie może! zwłaszcza, że pokrzywdzone są przecież córkami urzędnika państwowego, sołtysa Rozdołów! Gdyby szło o zwyczajnego, nic nie znaczącego człowieka, to może wyrok wypadłby pobłażliwy; ale w tym wypadku, musi być i i będzie surowy, bezlitosny! I Kurek cieszył się już naprzód, że niecnego gwałciciela porządnych dziewcząt sąd przykładnie skarze na chłostę i pozbawienie stopnia oficerskiego.

I sam przedsmak tego zadość uczynienia, które go czekało, uspakajał Kurka, kazał mu znosić bez bólu te drobiazgowe dochodzenie sądu, nieraz uwłaczające jego córkom.

Po kilkogodzinnych badaniach świadków, mowach oskarżających i obronach adwokackich, sąd udał się do osobnego pokoju na naradę i wnet wrócił stamtąd dla odczytania wyroku.

Kurek obrócił się cały w słuch. Na twarzy jego malował się tryumf. Spoglądał z głęboką pogardą na obwinionego, który jednak odpłacił mu wyzywającem spojrzeniem.

W miarę tego jednak, jak przewodniczący sądowi wojennemu pułkownik Zabłudow, czytał orzeczenie, Kurek bladł, to znów czerwieniał naprzemian. Zdawało mu się, że źle dosłyszał.

Sąd uznał, że zarzut o zadanie dziewczętom gwałtu był nie dowiedziony. Skazał tylko oficera za nadużycie władzy na miesiąc aresztu w fortecy!

W Kurka jakby piorun trzasnął nagle.

Tak mozolnie budowany przez niego plan zemsty na

drodze sądowej rozleciał się w podmuchu rzeczywistości jak domek z kart.

Człowiek, którego nienawidził z całej duszy, sprawca nieszczęścia jego córek, ten, który rzucił hańbę na jego siwiejącą głowę, wychodził niemal — że nietknięty.

Kurek dostrzegł błysk tryumfu w jego oczach, i to doprowadziło go do wściekłości.

Tego bowiem było za wiele na jego nerwy. Poczuł całą potworność wyrządzonej mu krzywdy, w sędziach widział już nie stróżów sprawiedliwości, ale wspólników przestępcy, przedstawicieli tego porządku państwowego, w którym każdy mały i ubogi musi stać się ofiarą większego od siebie,—obrońców systemu, zapewniającemu bezkarność każdemu noszącemu czapkę z gwiazdką.

Nie potrafił dłużej się hamować.

Bijąc pięścią w stół, obrzucił stekiem najgrubszych wymysłów świadków, sąd i obwinionego. Rzucił się z pięściami ku niemu, i byłby okrutnie poturbował, gdyby go pilnujący porządku na sali żołnierze nie byli ubezwładnili w porę.

Nie potrzebował tym razem czekać długo na skutek swojego zachowania się.

Sędziowie rozwścieczeni obelgami Kurka natychmiast skazali go za obrazę sądu wojennego na pół roku więzienia.

Rzucającego się, jak szczupak w sieci, skrępowano i niezwłocznie zaprowadzono do więzienia.

Tak Janowi Kurkowi sąd rosyjski wymierzył sprawiedliwość.

ROZDZIAŁ VI.

Kurek siedząc w więzieniu, rozpamiętywał sobie wypadki, które go tutaj zawiodły.

Nie miał wielkiej pretensji do sędziów, że go skazali, bo według jego pojęcia nie mogli inaczej postąpić; przecież ich z błotem zmieszał, nie żałując najgorszych wyzwisk, do bicia się nawet porwał. Ma za swoje, ale też i oni mieli za swoje!

Wszystko to nic! Strawiłby i zapomniał, gdyby nie jedna myśl, prześladująca go uporczywie. Oto on, sołtys na Rozdołach, siedzi pół roku za to, że nawymyślał sądowi wojennemu w przystępie rozdrażnienia; a tamten — porucznik, łotr bez czci i wiary, który mu córki pohańbił, dostał jeno miesiąc i to fortecy tylko, nie więzienia!

Miesiąc za taką straszną zbrodnię, a pół roku za znieważenie sądu!

Jakież porównanie!

Im dłużej rozważał to sobie Kurek, tembardziej krew się w nim psuła, tembardziej bolała go wątroba.

I to się nazywa sprawiedliwością! I po taką sprawiedliwość on, Kurek, chodził do carskiego sądu!

Brała go nieraz litość nad własną głupotą. Pocieszał się tylko tem, że inaczej nie mógł postąpić, boć sprawca umknął jego mściwej ręki w pierwszym impecie złości. Napewnoby mu był wówczas kości pogruchotał!

Inna jeszcze okoliczność mocno truła Kurka. Oto żona odwiedziła go kilka razy w więzieniu i za każdym razem przynosiła mu jakąś przykrą wiadomość.

To konia zabrali do wojska, to roboty w polu nieskończone, bo nie ma komu robić, to krowa zdechła!

A wszystkiemu temu, według Kurkowej, nie był winien rząd moskiewski, nie była winna wojna, tylko on sam — Jan Kurek!

Dlaczego — u Boga — baba tak nielitościwie zwalała nań wszystkie nieszczęścia?

Powtarzało się tutaj jedno i to samo: Kurek zawinił, bo oddał synów do wojska, kazał im rzucić dom i rodzinę dla cesarskiej służby, potem jeszcze na dobitkę,

sam na siebie ściągnął nieszczęście, nie pohamował się bowiem na sądzie, teraz siedzi w ciupie, a dom i gospodarstwo marnuje się!

Co się stało z dziewczętami, tego wymyślaniem w sądzie nie naprawił, sobie tylko i rodzinie całej gorzej zrobił!

Takie gadanie jeszcze bardziej rozgoryczało Kurka.

Nawet wiadomość o tem, że go pan naczelnik z urzędu złożył, jako skazanego przez sąd na więzienie, niezbyt go obeszła w porównaniu z tym niesprawiedliwym sądem żony! Chciał według swojego pojęcia jak najlepiej, a tu każdy jego czyn zwracał przeciwko niemu samemu swoje jadowite żądło! To doprawdy zwarjować można!

I Kurek całemi godzinami biegał po swojej celi więziennej. W głowie jego dokonywał się jakiś przewrót, którego jeszcze nie potrafiłby sobie uprzytomnić należycie. Czuł instynktem swoim, że dotąd błądził, ale czem? Dlaczego, pomimo, że był akuratny, że chciał spełniać jak najsumienniej wszystkie swoje obowiązki, zarówno dla rodziny jak dla gminy, i dla cesarza, działo mu się źle, podczas gdy inni, ludzie bez żadnego sumienia, bez najmniejszego zrozumienia swojej powinności, uniknęli wszelkich zasadzek, wszelkich przykrości, idąc niekoniecznie prostemi drogami? Naprzykład tamci, co to za kilkadziesiąt rubli przy pomocy żydka pouwalniali siebie, albo swoje dzieci od służby wojskowej, albo szachrowali z wójtem, i dotąd mieli w oborze wszystkie krowy, w stajni wszystkie konie, pole obrobione, pieniądze w kalecie.

Z wielką przykrością Kurek zaczynał dopuszczać nieśmiałą myśl do głowy! a myśl ta miała tę treść, że wierność dla rosyjskiego cesarza, i gorliwe spełnianie włożonych przez niego i jego urzędników obowiązków, nie zawsze spotyka się z nagrodą i co gorsza nie ochrania takiego wiernego poddanego od nieszczęść i wypadków takich jak pohańbienie córek, albo od pobicia za obronę

swojego dobra, nie mówiąc już o niesłusznych posądzeniach, jak z tym Jurem.

— Ludziom uczciwym najwyraźniej źle się dzieje pod carskiemi rządami, wszystko na nich zwalają i nawet dobrego słowa, sprawiedliwości im pożałują, jak do czego przyjdzie — rozmyślał sobie Kurek. — Z drugiej zaś strony ludziom złym, którzy usuwają się od spełnienia swoich obowiązków, którzy żyją cudzą krzywdą, dzieje się dobrze. Nie potrzeba takich daleko szukać. Naprzykład wójt. Nikt go nie obierał, naznaczyli go z urzędu, a porządnego gospodarza dwa razy nie zatwierdzali poprostu dlatego, że był za porządny. Wójt siedzi z panem naczelnikiem i z pisarzami sztamę trzyma i doskonale mu się dzieje. Przebąkują coś o tem, że gmina na jego gospodarce traci, że w kasie dostanie pieniędzy ten tylko, co mu da łapówkę, że za pieniądze pomaga także w uchylaniu się od różnych ciężarów, ale ponieważ pan naczelnik go proteguje, więc wójtuje sobie, a on, Kurek, siedzi w kozie!

Albo i ten naczelnik! niby to wielka figura, powiatem trzęsie, wójtami jak ulęgałkami przebiera, zebraniom gminnym żadnej uchwały pożytecznej przeprowadzić nie pozwala, jeżeli sam na tem nie zarobi; po cichu, jak ludzie sobie opowiadają, złodziei na prawo i na lewo wspomaga i ochrania, żeby pod klucz się nie dostali, i co? Pan gubernator nietylko patrzy przez szpary na to wszystko, ale nawet do awansu go przedstawił, podobno, i order wyrobił!

O naczelniku straży ziemskiej, to już wróble na dachach śpiewają, że z bandytami w konszachty wchodzi, strażnikom pozwala brać łapówki za byle jaką przyczepkę, i siedzi już ośm lat, pieniążki zbiera, pomimo, że jak książę żyje. Słowem, rząd cesarski porządnych ludzi prześladuje, wszystkie ciężary na nich zwala, a obwiesiów ochrania, pod opiekę bierze, ułątwia im na każdym

kroku wyzyskiwanie biedaków. „Jaki pan, taki kram“, słusznie powiada przysłowie. Gdzie jest taki rząd, tam trudno, oj bardzo trudno! wyżyć uczciwemu człekowi, a obwiesie cieszą się bezkarnością i mogą, co się im podoba robić i w dodatku sprawiedliwości na nich nie masz! Teraz dopiero, podczas wojny, Kurek przejrzał na oczy. I okazuje się, że on był jeno głupi, nic więcej, jeżeli takiemu rządowi wiernie służył, synów mu na śmierć i rany oddał, aby, jak powiedział Jur, bronić szli tej nahajki, co wszystkich smaga, tego łapownictwa, tego bezprawia!

I w duchu przyznawać już zaczynał, że Jur miał słuszność. Po co takich porządków bronić? On, Kurek, pokazałby, jak należy w gminie rządzić, gdyby tylko chcieli go wójtem zrobić. Ale daleko do tego! Zrzucili go nawet z sołtysostwa, i już na nie nie wróci, bo był karany sądownie, więc znaczy, że nie jest godny siedzieć dłużej między łapownikami i złodziejami, których nic złego nie spotkało, i nie potrzebowali upomnieć się za swoje dziecko! Tfy!

Kiedy po upływie sześciu miesięcy Kurkowi wreszcie oznajmiono, że jest wolny i może powracać do domu po odcierpieniu kary, dużo mu się już w głowie odmieniło, patrzył inaczej i na siebie i na rządy moskiewskie w Polsce. Nabrał, jak sam o sobie mówił, rozumu.

A tego rozumu trzeba mu było obecnie więcej, niż go nawet miał; w domu bowiem zastał wszystko w jaknajgorszym stanie.

Była wiosna, a w polu roboty ledwo-że rozpoczęto. Nie było komu robić i czym, bo z dwóch par koni pozostał jeden, z dwóch krów też jedna. Ziarna na zasiew nie było prawie wcale, żona musiała sprzedać to, co leżało w spichrzu na opłacenie podatków. Bieda zakradała się do zamożnego domu Kurka; rad nie rad musiał pójść do kasy gminnej i podnieść swoje oszczędności na czarną godzinę i na wiano dla córek przeznaczone. W dziewczę-

tach też widział zmianę. Rozpróżniaczyły się i podobno podczas jego nieobecności chodziły znowu na okopy, niby to, żeby zarobić, a w gruncie dlatego, że raz sprowadzone z uczciwej drogi w złem zaczęły sobie smakować. Nie słuchały już matki, ojcu nawet hardo się stawiały; dopiero musiał dać parę razy nauczkę zbłąkanym owieczkom, żeby je, jak to się mówi, znowu wziąć w cugle.

Gdyby nie to, że roboty teraz było huk, i brakowało poprostu czasu na rozmyślanie o tych przeróżnych kłopotach i zmartwieniach, to Kurek możeby naprawdę zwarjował. Wstawał przed świtem, kładł się o północku, twardą dłonią wszystko ujął, i powiedział sobie, że obowiązek do ostatka spełni, już nie względem rządu, którym pogardzał, ale względem rodziny i siebie.

ROZDZIAŁ VII.

Niebezpieczne przedsięwzięcie.

Pozostawmy na jakiś czas starego Kurka, pozwólmy mu powoli „dochodzić do rozumu“ na zasadzie własnego, niewesołego doświadczenia, a powróćmy do jego zbuntowanego syna Jura, który tak dla siebie niespodziewanie znalazł się w szeregach strzelców warszawskich.

Owego dnia, zaraz po przyjeździe do Warszawy, sołtysiak opuściwszy pracownię malarską, w której odbywała się mustra nowozaciężnych, nocował u pana Olesia.

Całą noc obaj przyjaciele przepędzili na rozmowie. Snuli plany na daleką przyszłość, marzyli obaj o tej pięknej chwili, kiedy nareszcie będą mogli skrzyżować bagnety z Moskalami w obronie wolności Polski. Pilno im było.

Jur postanowił chodzić codziennie na ćwiczenia, żeby jaknajprędzej zostać zdatnym do szeregu!

Wziął ze sobą cokolwiek zaoszczędzonych pieniędzy,

więc nie potrzebował być ciężarem dla pana Olesia, któremu także nie przelewało się w kieszeni. Ponieważ ćwiczenia odbywały się po południu, miał przeto niemal cały dzień do swojego rozporządzenia. Czas ten spożytkował na czytanie książek, których mu dostarczał pan Oleś, i na zwiedzanie Warszawy, którą bardzo mało i powierzchownie znał dotąd.

Nie mało go też zajmowało to, co się działo na ulicach stolicy Polski. Z żalem widział, jak ludzie z zapałem żegnali rezerwistów, udających się na front. Przecież Moskale ani jednem słówkiem nie wspominali o ulżeniu doli uciemiężonym, a Polacy, zapominając o wszystkich prześladowaniach, o kajdanach, które wciąż brzęczały na ich nogach i rękach, bez szemrania żadnego, bez buntu, szli krew przelewać dla dobra swojego największego wroga. Gdyby nie to, że Jur wiedział o istnieniu takich, którzy inaczej patrzyli na rzeczy, to napewno byłoby mu bardzo przykro. Ale tak pocieszał się myślą, że nie wszyscy przecież ot tak na kredyt, życie są gotowi oddać, że są przecież i tacy, co to życie ważą, co patrzą, zastanawiają się nad wypadkami, i rachują, jakby z nich największy pożytek dla swojej nieszczęśliwej Ojczyzny wyciągnąć.

Oleś tak samo zastanawiał się i to właśnie było przedmiotem ich długich rozmów nocami.

— Mój Boże, jaką krótką pamięć mają ci ludziska,— mówił student, kiwając głową. — Nie dziwię się, że zapomnieli już o powstaniu, w którem nie brali sami udziału, i od którego upłynęło pięćdziesiąt lat z górą, i o dawniejszych, jeszcze gorszych czasach, kiedy to Suworów rznął mieszkańców tej Pragi, gdzie się teraz gromadzą nasi rezerwiści, pędzeni na śmierć. Na to trzeba znać historję swojego narodu, a oni jej nie znają, bo im Moskal nie pozwolił się jej uczyć, a sami do książki nie zajrzeli.

Takim prostakom można dużo wybaczyć. Ale prze-

cież czują, powinni czuć na swojej skórze świeże szramy od nahajki moskiewskiej, które się jeszcze nie zagoiły na ich plecach.

A szkoła rosyjska, prześladująca zapamiętale polskość, a ta zgraja czynowników, którzy łupią nas bez miłosierdzia, pod pozorem, że wykonywają prawo? a ta sfora szpiclów i żandarmów, którzy śledzą każdy nasz krok, nocami wyciągają z łóżek i pędzą do lochów cytadeli, na Sybir, do katorgi? Niesłychana rzecz, żeby kraj, w którym za uczenie dzieci czytania po polsku idzie się do więzienia, żeby ten kraj tak strasznie zaniewidział, zamienił się w trzodę owiec, pędzonych do rzeźnika batem. Jeżeli już nie mają odwagi zbuntować się, niechaj przynajmniej cicho siedzą, niech czekają, aż Moskal, zatrwożony ich postawą, rozdrażniony ich milczeniem, nie zdecyduje się na jakieś ustępstwa, chociażby na jakieś obietnice, których naturalnie przy pierwszej sposobności postara się nie dotrzymać. Ale tak, to doprawdy rzecz niepojęta! Krew na kredyt! Do smutnego stanu doszliśmy, kiedy tak można z nami robić, co się komu podoba. Nie, nie, tak dłużej być nie może i nie będzie!

Jest, chwała Bogu, sporo takich, co się zastanawiają, liczą. Taka, mój Jurku, powinna być polityka: Licz, powiadam ci, patrz, gdzie twoja korzyść prawdziwa, nie daj się łapać na miodowe słówka, staraj się przejrzeć, podejrzeć nawet, jeśli potrafisz, a skoro już sumiennie dojdziesz do przekonania, że twoja Ojczyzna może z czegoś odnieść prawdziwy pożytek, nie wahaj się dłużej, oddaj wszystko, co masz, nawet karku nadstaw, żeby dla niej dobra przysporzyć! Co do mnie, jak na dziś, wierzę, że w naszym interesie leży zwalczać Rosję. Będę tak robił, póki co się nie zmieni, a daj Boże, żebym się nie pomylił.

Spacerowali razem po mieście, nadstawiali oka i ucha. Pan Oleś, który, jak się pokazało, umiał przeniknąć człowieka, jakby mu do duszy zaglądał przez jakieś czarno-

księskie szkiełka, trafiał nieraz na swojego. Jedno słowo rzucone półgłosem, jedno spojrzenie czasem wystarczało mu zupełnie. Wszczynał rozmowę, powoli odsłaniał swój sposób myślenia, a jeżeli się przekonał, że ten ktoś szczerze mu przytakuje, zabierał znajomość. A potem powoli wciągał go do drużyny strzeleckiej.

W taki to sposób, wymagający w obec nieprzeliczonej zgrai szpiegów moskiewskich, wielkiej odwagi i zimnej krwi, pan Oleś w ciągu tygodnia przyspożył drużynie strzeleckiej aż sześciu nowych rekrutów, ku szczeremu zadowoleniu pana Kostka. Pluton powiększał się codziennie o paru nowych strzelców, tak, iż niebawem pracownia mogła się okazać za małą do ćwiczeń. Rekruci robili szybkie postępy. Pewnego dnia gruchnęła radosna wieść, że w Kieleckiem ukazał się pierwszy oddział strzelców, który przekroczył granicę, i nawet starł się już pod Kielcami z wojskiem rosyjskiem.

Wieść tę wnet potwierdziły gazety w postaci odezwy wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, który z wielkiem oburzeniem mówił o ukazaniu się strzelców, i obiecywał, że będzie ich traktował nie jak żołnierzy, ale jak rozbójników, których się po schwytaniu bez sądu ciągnie na pierwszą lepszą gałąź.

Pomiędzy strzelcami warszawskimi aż wrzało od oburzenia.

— A więc tak to Moskale traktują ludzi, którzy stają do szeregu, żeby walczyć za wolność swojej Ojczyzny! — zawołał pan Oleś. — Ba, skoro tak, pokażmy im, że takie pogróżki nie potrafią nas odstraszyć od spełnienia tego, co uważamy za dobre! Koledzy—dodał, zwracając się do strzelców, zebranych do ćwiczenia. — Oświadczam wam, że jutro zaraz, nie czekając na nic, wyruszam do oddziału!

Pan Kostek potrząsnął głową.

— Nie taka to łatwa sprawa!—rzekł. — Na granicy

pełno już wojska, Moskale wysłali mnóstwo konnicy, która się ma ucierać z nadchodzącymi Austrjakami. Łatwo wpaść im w łapy, a wówczas...

Zakończył wymownym ruchem, pokazując na gardło i wysuwając język.

— Dlaczego zaraz wpaść!? Kto ma jaki taki spryt, ten sobie napewno da radę, przemknie się pomiędzy Moskalami. A za ten strach, co się go naje, dozna przyjemnej nagrody, bo wcześniej od innych zacznie tłomaczyć ołowiem i ogniem kochanym Rosjanom, że nie zapomniał o nieszczęsnem położeniu swojej Ojczyzny.

— Co do mnie, nie zmieniam postanowienia i zaraz jutro, jeżeli się da, ruszam w drogę.

— I ja! — zawołał z zapałem Jur, rzucając w kąt drewniany karabin.—I ja i ja!—odezwało się kilka innych głosów.

— Ha, róbcie, jak wam się podoba,—mówił pan Kostek.—Może zresztą macie słuszność. Im prędzej, tem lepiej. Ale powtarzam, niebezpieczne to przedsięwzięcie, moi kochani; trzeba być lisem i wężem w jednej osobie, żeby omylić czujność Moskali, i połączyć się z naszymi, którzy już rozpoczęli taniec. Idźcie na własną odpowiedzialność!

— Każdy za siebie odpowiada, to się samo przez się rozumie!—odparł pan Oleś.

Rozpoczęły się narady. Każdy podawał swoje projekty. Im bardziej się zastanawiano, tem lepiej pojmowano, że pan Kostek ma słuszność. Rozmaici ludzie stwierdzili, że Moskale wyprawili liczne oddziały konnicy i piechoty na granicę, żeby odpierać wkraczającego nieprzyjaciela. Jednakże, przy odwadze i przedsiębiorczości, pojedyńczo możnaby było przekraść się.

Pan Kostek, jako starszy, wybrał z pomiędzy ochotników dziesiątek takich, którzy już znali mustrę i potrafili obchodzić się z karabinem. Między nimi znajdował się,

naturalnie, pan Oleś i Jur, prócz nich kilku młodzieńców, co najgorętszych.

Ten dziesiątek oddzielił się od plutonu pana Kostka, który obiecał wystarać się o pozwolenie komendanta warszawskich strzelców, i miał się nazajutrz zebrać u pana Olesia dla ułożenia planu, jak przedostać się po przez oddziały moskiewskie w Kieleckie celem połączenia się ze strzelcami.

Po długich naradach i rozważaniach, stanęło na tem, że kilkunastu ochotników, którzy mieli natychmiast wyruszyć dla połączenia się ze strzelcami, podzieliło się na trzy grupy. Każda z nich udawała się w drogę osobno, wszyscy zaś mieli spotkać się w Kielcach, w umówionem miejscu, za tydzień.

Grupa, do której należał pan Oleś, sołtysiak i Stanisław N., używający przybranego nazwiska Mur, przenocowała w mieszkaniu studenta, i o świcie wstała dla poczynieniu ostatnich przygotowań.

Pan Oleś wystarał się dla wszystkich trzech o paszporty, w których było napisane, że ich okaziciele nie należą do rezerwistów, ale mają białe bilety, jako niezdatni do służby wojskowej. Była to bardzo ważna ostrożność, gdyż właśnie działało się całkiem przeciwnie: nie mówiąc już o młodym Kurku, Mur podlegał mobilizacji i jak w tej chwili, powinien był stawić się do szeregów rosyjskich. Gdyby go zatem przyłapano, zostałby oskarżony o dezercję.

Następnie należało obmyśleć sobie jakiś interes do okolic objętych już przez działania wojenne.

Pan Oleś miał kuzyna w Kieleckiem i w razie czego mógł się wytłómaczyć, że pragnie go odwiedzić. Ale z sołtysiakiem i z Murem sprawa była gorsza. Moskale, jak słyszano, wszędzie węszyli szpiegów i każdego pochopnie o szpiegostwo posądzali.

Trzeba było zatem mieć jakiś pozór do podróży. Pan Oleś myślał, myślał, aż nareszcie wymyślił.

— Ciebie, Jurku, biorę jako służącego. Nie jest to bardzo honorne, ale za to bezpieczne. Powiem, że mój kuzyn potrzebuje parobka, więc zabieram ciebie, bo na razie nie masz żadnego zajęcia.

— Co zaś do ciebie, mój Stasiu, musisz zostać wędrownym przekupniem.

— Ja, przekupniem? — zawołał Mur, żegnając się.— Nigdy w życiu nie zajmowałem się handlem!

— Nic nie szkodzi. Od dziś zaczynasz handlować papierosami, zapałkami, mydłem, pocztówkami, jednem słowem tem wszystkiem, czego potrzebują żołnierze na froncie. Zresztą nie możesz się nawet zapierać w razie czego, żeś kupiec, skoro masz to wyraźnie wypisane w paszporcie.

Pan Stanisław zajrzał do dokumentu i w istocie, było tam wyraźnie napisane. Rodzaj zajęcia. Kupiec.

— No, niech i tak będzie — zawołał, śmiejąc się.— Zostanę przekupniem wędrownym, Nie wiem jednak, czy zrobię na tem dobry interes i czy wogóle potrafię sprzedawać.

— Nie takie to trudne. Znasz przysłowie, że nie święci garnki lepią. Otóż masz tutaj pieniądze. Kupisz za nie towaru, gdzie ci się podoba; nie chodzi tu o cenę ale o pośpiech. Postarasz się przytem o skrzynkę na rzemieniu, jakiej używają handlarze uliczni papierosami Ty zaś, Jurku, nabierzesz dla nas wszystkich zapasów żywności na drogę. Co do mnie, załatwię trudniejsze nie co sprawunki, a więc koszulki wełniane, buty, jak się patrzy, bo bez tego w wojsku bieda sroga. Wogóle biorna siebie odzież wszelaką. Daję wam na to sześć godzi czasu, bo o trzeciej spotykamy się na dworcu Brzeskim gdzie wykupimy bilety jak się da najdalej, chociażby d

Suchedniowa. No, każdy w swoją stronę. A sprawcie się dobrze.

Z temi słowy nasza trójka rozstała się.

Pan Oleś, załatwiwszy sprawunki, poszedł jeszcze do ludzi, żeby zasięgnąć języka. Miał on swoje znajomości, z któremi się nie wydawał. W południe zastukał do drzwi na czwartem piętrze jednego z domów przy ulicy Widok. Otworzyła mu panienka dwudziestoletnia, drobna blondynka, z czarnemi oczami, które dziwnie odbijały od jasnych złotych włosów. Ujrzawszy studenta, uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

— Ach, to pan, panie Aleksandrze! — rzekła, prowadząc go do pokoju.

— Do usług! — zawołał student, ściskając podaną sobie dłoń. — Właśnie dowiedziałem się, że przed paru dniami wróciła pani z Krakowa, pewnie jak zwykle z ważnemi papierami — dodał.

— Z wiadomościami.

— Dobre są, nieprawdaż?

— Doskonałe! Pewnie już panu wiadomo, że Drużyny Strzeleckie połączyły się ze Związkami Strzeleckiemi, że więc pomiędzy temi dwiema organizacjami nastąpiła zupełna zgoda.

— Słyszałem, wiem nawet, że już wyruszyli w pole.

— Tak jest. Pierwsza kompanja kadrowa, w dniu 6-go sierpnia przekroczyła granicę Królestwa Polskiego przez Michałowice. Chwila, której tak gorąco wszyscy tu pragnęliśmy, nadeszła wreszcie! Dziś nasi strzelcy znajdują się już po tej stronie. Wiem, że pan się do nich wybiera...

— Właśnie, przyszedłem po wiadomości, gdzie ich teraz szukać. Mój Boże, ale że też pani, panno Wando, naraża się tak ciągle. Gdyby panią schwytano...

Wstrząsnął się na myśl, jaki los spotkałby panienkę, gdyby z powierzonemi sobie papierami wpadła w ręce

władz rosyjskich. Wiedział, że od pół roku ta wątła dzieweczka wzięła na siebie trudne i doniosłe zadanie przewożenia listów, których pocztą w żaden sposób przesłać się nie dawało, że chociaż kobieta, starała się w miarę sił służyć sprawie wolności, którą uważała za świętą, że nie wahała się brać na siebie najtrudniejszych, najniebezpieczniejszych zadań, i zawsze wywiązywała się z nich doskonale. Podziwiał w głębi ducha odwagę, zimną krew i poświęcenie panienki. Znał ją od paru miesięcy, i teraz wiedział, że od niej zasięgnie niezbędnych wiadomości. Mimo młodego wieku, panna Wanda była poważna. Prócz odwagi, posiadała energję, dzięki której pokonywała największe trudności. Umiała, jak nikt może, przekradać się przez granicę, między „objeszczykami", jeździła za cudzemi paszportami przez granicę koleją, przewożąc ukryte na piersiach ważne papiery. Oddawała w ten sposób niezapomniane usługi, utrzymując związek między strzelcami w Królestwie, a tymi, którzy znajdowali się w Galicji. Znała wszystkie przebiegi, wszystkie miejsca, któremi można było najłatwiej przedostać się przez kordon graniczny. Pan Oleś doskonale zrobił, że się do niej udał. Nie upłynęło pół godziny, a wiedział już wszystko, co mu w danej chwili było potrzebne.

— Musicie być bardzo ostrożni — mówiła panna Wanda przy rozstaniu — Rosjanie są nader czujni. Ja sama miałam nielada kłopot, zanim dostałam się do Warszawy.

— No, no, już to moja w tem głowa, żeby im nie wpaść w łapy! — odparł pan Oleś, żegnając się.

— Do widzenia w Krakowie albo w pułku strzeleckim, panno Wando! — zawołał na odchodnem, sciskając podaną sobie dłoń panienki.

Znalazłszy się na ulicy, spojrzał na zegarek.

Nie było ani chwili czasu do stracenia. Za półtorej godziny odchodził pociąg z Pragi, należało śpieszyć się

Pan Oleś wskoczył do dorożki i kazał wieść się na dworzec brzeski. Niezliczone tłumy pragnących opuścić Warszawę zalegało stację. Byli to po większej części ludzie tchórzliwego usposobienia, którzy drżeli na samą myśl, że wypadki wojenne mogą ich zaskoczyć. Woleli oni narazić się na największe niewygody, na głód, na poniewierkę, byle tylko nie powąchać przypadkiem prochu, nie spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu zblizka. Samoluby, których obchodziła ich własna osoba, albo wreszcie urzędnicy, którzy nie wiedząc, czy armja rosyjska będzie się opierała nieprzyjacielowi, czy też będzie powoli przed nim ustępowała, jak się na to zanosiło od samego początku, uciekali w popłochu. Nierozsądne gadki o mającej jakoby nastąpić rzezi Rosjan, powtarzane przez bezmyślne i ciemne żywioły stolicy, potęgowały jeszcze przestrach; wypędzający moskiewskich czynowników z ulubionej przez nich Warszawy, gdzie żyli jak u Pana Boga za piecem.

W tym tłumie siedzącym na walizkach, na tobołach pościeli, w oczekiwaniu na pociąg odchodzący w głąb Rosji, student z trudnością odnalazł swoich towarzyszy.

Na szczęście okazało się, że pociąg, przeznaczony do Kielc miał niebawem odejść. W tym kierunku ruch odbywał się żywo, bo Rosjanie przerzucali wojsko na front przeciwko Austrjakom, którzy, jak nam wiadomo, ze strzelcami na czele przekroczyli granicę Królestwa Polskiego w sam niemal dzień wypowiedzenia wojny Rosji.

Nasza trójka była mimowolnym świadkiem wsadzania do wagonów rezerwistów powołanych z Warszawy i okolic. Biedacy, już odziani w szynele rosyjskich żołnierzy, wchodzili do towarowych wozów, w których niedawno przewożono bydło. Chmurni, zgryzieni, siedzieli patrząc w zalzawione twarze swoich najbliższych, którym udało się, aż tutaj za nimi dotrzeć, aby po raz ostatni uścisnąć ich dłonie. Nie wiedzieli co ich czeka; siłą oder-

wani od rodzin, od Ojczyzny, bez wiary, bez zapału, przedstawiali się o nie wiele lepiej, niż woły, prowadzone na rzeź, które na parę tygodni przed nimi zajmowały te same miejsca.

Jakież przeciwieństwo z nimi stanowili nasi trzej młodzieńcy.

Na twarzach ich malował się uśmiech; rumieńce wykwitłe na policzki zdradzały radosne wzruszenie i niecierpliwość, żeby wreszcie stanąć w szeregu z bronią w ręku przeciwko niewolnikom, i wydzierać im dla siebie wolność, której sami nie pokosztowali w swojej Ojczyźnie.

Jur z pogardą spoglądał na tych biedaków, którzy nie mieli odwagi postąpić tak jak on. Siedział na swojem pudle i wesół, szczęśliwy, palił jednego papierosa za drugim.

— Jeszcze pół godziny do odejścia pociągu!

Czas wlecze mu się jak ten żółw; radby już jechać. A tu jak na złość pan Oleś nie może docisnąć się do kasy, bo długi ogonek stoi przy niej. Nareszcie student ma w ręku trzy bilety do Suchedniowa, bo dalej kasjer nie chciał sprzedać.

— No, siadajmy! — rzecze student. W drodze, nie rozmawiajcie o niczem ważnem a broń Boże, o celach naszej podróży. Co najwyżej o potocznych rzeczach. O wojnie, o ruchach wojsk ani słówka! Przy mnie aresztował żandarmi człowieka, który się pytał, dokąd idzie pociąg z wojskiem. Można wpaść w biedę za jedno nierozważne słówko. Rosjanie boją się szpiegów, a nie wiedzą, kogo należałoby za kark chwytać, więc czepiają się pierwszych lepszych, zwykle Bogu ducha winnych nieboraków. Z głupi oni na takie rzeczy, to też każdy w pole ich wyprowadzi! No, nie bójcie się, my pierwsi!

Tak! Ty, Murze, jesteś najspokojniejszy w świecie handlarz papierosami, pocztówkami i wszelakim innym towarem; nie masz innego zamiaru, jak zarobić kilkanaście

rubli w tych ciężkich czasach, no i zrobić wygodę żołnierzom rosyjskim. Ty, Jurku, zgodziłeś się do mojego wujaszka na fornala. Macie paszporty w porządku. Kto by was się czepiał. Dokumenty, to grunt! Reszta furda! No, ale nie zapomnij mi czasem który, jak się nazywa, bo będzie źle!

Tak żartując, nasi strzelcy, doczekali się nareszcie pierwszego dzwonka.

U wyjścia zrobił się tłok iście piekielny. Ale silne łokcie pomogły. Wnet nasi zuchy siedzieli w przedziale trzeciej klasy, przepełnionym do niemożliwości. Trzeba było teraz wziąć języki na skobel, za to nadstawić dobrze uszu.

Pociąg zatrzymywał się długo na stacjach. Był czas na zjedzenie i wypicie. Mur, spryciarz wielki, wyciągał niby to ludzi na rozmowę. Chciał się dowiedzieć, gdzie się znajdowali strzelcy. Ale dowiedział się bardzo mało, wszyscy bowiem jechali, tak jak on z Warszawy, a wieści o pierwszych potyczkach z Austrjakami i strzelcami były takie bałamutne, że z trudnością jądro prawdy dało by się z nich wyłuskać.

Kiedy jednak przejechano Radom, blizkość teatru wojny coraz wyraźniej dawała się odczuwać. Podróżni wysiadali coraz liczniej, a niedaleko Suchedniowa pociąg stał się niemal zupełnie pustym. Nasza trójka miała więcej swobody, ale za to poważniała. Stanowcza chwila zbliżała się szybko. Oto i Suchedniów, mała osada górnicza, przy szosie, o kawałek drogi od stacji. Pociąg dalej nie szedł. Należało wysiadać.

Na stacji żandarm, który jeszcze nie zdążył uciec, przyglądał się podejrzliwie trzem chłopakom. Pan Oleś pragnąc uprzedzić zapytanie, podszedł doń i opowiedział, że pragnie dostać się koniecznie w okolice Kielc, do wuja, i zasięgnął rady moskiewskiego wyżła, udając niewiniąt-

ko. Mur zatrzymał się zdala. Udawali teraz, że się wcale nie znają.

Żandarm pokiwał głową.

— Pod Kielcami nieprzyjaciel, okolica objęta działaniami wojennemi. Dostać się tam nie można.

— A paszport jest? — pyta w końcu żandarm.

— A jakże — odpowiada pan Oleś z uśmiechem, wyciągając papier.

— No, ładnie! niech pan probuje dojechać końmi, chociaż ostrzegam, można wpaść na nieprzyjaciela.

Tego właśnie było potrzeba panu Olesiowi. Podziękował za dobre wiadomości kiwnięciem głowy żandarmowi, który nie podejrzewał, że ma przed sobą tajnego strzelca.

Wszyscy trzej, niby to poznajomiwszy się z przekupniem po drodze, poszli na wieś szukać koni do wynajęcia. Nie mieli wielkiej nadziei, żeby się to im łatwo udało, ale w razie ostatecznym postanowili iść pieszo choćby kilkadziesiąt wiorst drogi.

Maszerując szosą, rozmawiali wesoło z sobą. Byli sami, więc nie potrzebowali się już dłużej krępować.

— A zatem nieprzyjaciel niedaleko — mówił pan Oleś zapalając papierosa.—Trzeba się mieć na baczności! Moskale chcą w nas wmówić, że Austrjacy obdarliby nas żywcem ze skóry. Radziby, żeby cała ludność uciekała, a oni żeby tutaj mogli rządzić się, jak szare gęsi!

— Co do nas, to im się taka sztuczka nie uda — odparł Kurek. — Właśnie chcemy sami temu wilkowi w paszczę wleźć, tylko nas nie puszczają.

Śmieli się z żandarma serdecznie.

W samym Suchedniowie nie mogli znaleźć furmanki, poszli tedy na wieś, ale chciano od nich sto rubli za konie do Kielc. Jeden namyślił się jechać za ośmdziesiąt rubli, ale ta suma była za wysoką dla naszych strzelców, którzy mieli więcej w nogach niż w kieszeni.

— Przysiądziem się do kogo po drodze, a tak piechotką sobie wolniutko powędrujemy—zadecydował pan Oleś.

Przenocowano u pewnego gospodarza, zjedzono dobre śniadanie i o świcie, naradziwszy się jak postąpić w każdym przypadku, ruszono w podróż, kierując się na Kielce.

Niebawem nasi podróżni odczuli, że znajdują się w okolicach, gdzie się toczyły niedawno walki, i gdzie wojna pokazała ludziom swoje surowe oblicze.

Szosą toczyły się furgony napełnione amunicją. Zdala dolatywały głuche pomruki dział, które wyśpiewywały szarym borom pieśń zniszczenia i śmierci.

W tym właśnie kierunku, na to echo, maszerowała nasza trójka.

Nad wieczorem natknęli się na wieś obsadzoną licznie przez kawalerję rosyjską. Było tu jeszcze spokojnie: konie, spętane pasły się na świeżych ścierniskach pod opieką żołnierzy i w każdej chałupie Rosjanie. Odgłosy ich śpiewów, smętnych, dzikich, dolatywały z każdej niemal zagrody.

Na szosie stał posterunek, przyglądający się bacznie przejeżdżającym i przechodniom.

— Ja sądzę, że lepiej nie włazić im w oczy — rzekł Mur.

— Masz słuszność — przyznał pan Oleś. — Lepiej skręćmy w bok; ty zaczniesz swój handelek papierosami i machorką, my zaś popytamy znów o furmankę. Źle byłoby, gdybyśmy zwrócili na siebie uwagę.

Mur rozpakował swoje pudełko i porozkładał towar zachwycająco.

— No, jestem gotów! — rzekł.

Zeszli z traktu, szli ścieżką pod lasem, przemknęli poza krzakami olszyny, że nikt ich nie dostrzegł.

— Zaczekajcie w tej oto chałupie—rzekł Mur—ja postaram się zasięgnąć języka i wkrótce się zobaczymy znowu.

Pożegnali się. Pan Oleś z sołtysiakiem zajrzeli do najbliższej zagrody i zapytali o konie. Gospodarz nie chciał jednak jechać. Utrzymywał, że niebezpiecznie.

— A widzieliście strzelców? — zagadnął od niechcenia pan Oleś.

— Widziałem jednego. Wczoraj *nasi* go tu przyprowadzili.

— Jakto, strzelca przyprowadzili? skąd?

— Do niewoli go wzięli.

Studentowi serce zabiło ze wzruszenia.

— A więc strzelcy znajdują się w pobliżu! — pomyślał radośnie.

— No i cóż z nim zrobią? — pytał, zaniepokojony.

Gospodarz wzruszył ramionami.

— Ano, pewnie go powieszą, czy rozstrzelają—rzekł obojętnie. — Wielki książę wszystkich kazał tracić — dodał po chwili — czytałem w gazecie.

Pan Oleś aż się zerwał z ławy. Oczy błysnęły mu.

— Gdzie on? gdzie?! — wybuchnął.

Lecz wnet opamiętał. Popełnił nieostrożność: gospodarz spoglądał nań podejrzliwie.

— Żal mi biedaka! — rzekł spokojniej; — toć to nasz, Polak — mówił przez zaciśnięte zęby.

— Gdzie on tam *nasz* — żachnął się gospodarz — z Niemcami trzyma. Powiadają, że patrol cały na wywiady aż tu się zapędził. *Nasi* ich otoczyli, jednego zabili, jednego wzięli, reszta uciekła. Trzymają go pod strażą, a jutro ma być sąd wojenny.

Włościanin machnął ręką. Nic go widocznie dola strzelca nie zajmowała. Dla niego Moskale to byli *nasi*, a strzelcy—Polacy, obcy, a co gorsza, nieprzyjaciele. Panu Olesiowi zrobiło się przykro. Nie miał jednak zamiaru prostować pojęć gospodarza; za wiele czasu by na to potrzeba, w jego głowie zrodziła się zuchwała myśl.

Zobaczyć się z jeńcem, dodać mu otuchy, porozumieć się z nim, a potem pomódz mu do odzyskania wolności.

Wybadał zręcznie włościanina. Niebawem wiedział, gdzie trzymano jeńca. Pożegnał się z gospodarzem, poprosiwszy go uprzednio o nocleg. Włościanin zgodził się przyjąć ich do siebie.

— No—chodźmy jeszcze na wieś,—rzekł do Kurka—może gdzie dostaniemy koni.

Ale jak tylko znaleźli się w polu, student wyłożył swój zamiar towarzyszowi.

— Nie wiem, czy się to uda zrobić, — rzekł Sołtysiak,—strzelca pewnie dobrze pilnują!

— A jednak spróbować można! serce mi się przewraca, jak sobie pomyślę, że jeden z naszych tu, niedaleko, czeka na śmierć niegodną żołnierza.

— Jeszcze sami w matnię wpadniemy i tyle.

Mur także kiwał głową niedowierzająco.

Pan Oleś tak gorąco namawiał towarzyszy, że ostatecznie zgodzili się pomagać mu w wykonaniu zuchwałego planu, który uważali za czyn warjacki.

— Nie takich rzeczy będziemy dokonywali tam, na froncie, mówił student.—Zobaczycie.—A teraz do roboty!

Przedewszystkiem trzeba było zbadać, jak rzeczy stoją; wywiadów podjął się dokonać Mur. Miał on dla siebie ułatwiony dostęp, jako przekupień.

Ponieważ jednak znał dobrze Rosjan, przeto u Żydka we wsi kupił dwie butelki konjaku, powtykał je do kieszeni i tak uzbrojony, poszedł do chałupy, gdzie według zasięgniętych wiadomości trzymano strzelca.

Umówiono się za dwie godziny spotkać nad drogą, w olszynce.

Mur, pogwizdując, zbliżył się do stojącego na warcie żołnierza.

— Papierosy, tytoń, pocztówki, mydło, zapałki, dziegieć,—nawoływał po rosyjsku, przeciągłym głosem.

Żołnierz powitał przekupnia przyjemnym uśmiechem.

— Dawaj papierosów,—rzekł stawiając karabin pod ścianą.

Sprzedając papierosy żołnierzowi, Mur łypał dokoła oczami, chcąc coś wypatrzeć.

Niewiele jednak pomiarkował. Dom, w którym siedział uwięziony strzelec, nie różnił się niczem od wielu innych. Był to zwyczajny czworobok, z wejściem od drogi, miał drzwi zamknięte na dużą kłódkę; za to okna małe, niczem nie zabezpieczone.

— Muszę się dowiedzieć, w której to izbie,—pomyślał sobie Mur.

Kiedy więc żołnierz zapłacił kilkanaście kopiejek, za paczkę „tureckich", mniemany handlarz, jakby nigdy nic, podszedł do drzwi i zastukał.

Żołnierz wnet go jednak zawołał:

— Tu nikt nie mieszka!—rzekł.

— Jakto, nikt?—zdziwił się niby Mur.—Dlaczego?

— Tu jeńcy.

— To wy pilnujecie tu Niemców? A dużoście ich nabrali?—pytał dalej z głupia-frant Mur.

— Tu Niemców nie ma. Jednego sokolika Polaczka my tu wsadzili. Popadł się naszym wczera w ręce.

— Tu siedzi?—zagadnął Mur, wskazując na pierwsze okno odedrzwi.

— Tam, — odparł żołnierz, nie przeczuwając nawet co się święci. Bagnet jego skierował się ku oknu w szczytowej ścianie, wychodzącemu na ogródek.

— Aha!—kiwnął głową Mur.—Dobrze mu tak. Niech za nieprzyjacielem nie trzyma przeciwko Ruskim,—rzekł z udanem oburzeniem.—Pewnie jutro rozstrzelają go, albo powieszą.

— Pewniej powieszą. Na takiego to nabojów szkoda, — rzekł pogardliwie żołnierz, zaciągając się papierosem.

— A czy można tego sokolika chociaż przez okno obejrzeć?—pyta dalej Mur.

— Nie można! Ruszaj-że ty, czorcie, precz stąd! Jeszcze starszy zauważy, że wartownik z cywilem rozmówki prowadzi—a to zabronione. *Nu, paszoł won!*

Na takie powiedzenie nie było rady. Żołnierz miał swoją rację.

— No, idę już!—odparł.—Ale—szepnął—wódkę mam do sprzedania, czystą, prawdziwą smirnówkę—dodał, cmokając zachęcająco językiem.

Żołnierzowi aż oczy się zaśmiały. Picie wódki było surowo wzbronione, ale ruski bez oczyszczonej tęskni, wiadomo.

— Hm, oczyszczona! kieliszek by się wypiło—mruczał—dlaczegóżby nie?

— Czterdziestkę mogę przynieść. Niedrogo, za pół rubla.

Była to bardzo niska cena, na przynętę postawiona.

Mur już, już chciał wyciągnąć „sorokówkę“ z kieszeni, ale w samą porę opamiętał się.

— Co dla takiego znaczy buteleczka? — pomyślał— wypije zaraz, a do nocy daleko; potem zastąpi go inny, trzeźwy, i wszystko na nic.

— Przy sobie nie mam, ale tak wieczorem mógłbym dostarczyć — rzekł. — Kiedy znów będziecie stali na warcie?

— Nas tylko dwóch, a zmieniamy się co sześć godzin—odparł żołnierz.—Od północka znowu tu stanę.

— No, więc przynieść?

Umowa stanęła. Żołnierz zażądał nie jednej, lecz dwóch czterdziestek: dla siebie i dla towarzysza.

Mur, zadowolony, stawił się na drugą w umówionem miejscu i zdał panu Olesiowi raport ze swoich wywiadów.

— Doskonale!—zawołał student.—Sztuką niedźwiedzi tłuką! Tu bronią, ani gwałtem nic byś nie podołał. Ci-

chutko żołnierzyki wypiją—posną, a potem się sprobuje. Tylko w tem sęk, że ci Rosjanie głowy mają, do wódki ma się wiedzieć tylko, nie lada jakie. Takiego i dwie butelki nie zaprószą, jak się patrzy. Nie ma co, trzeba coś niebądź do tej oczyszczonej dosypać, dla większej *krzepy*, jak to powiadają.

— Et, zwyczajnego spirytusu do palenia im dać, to skutek niezawodny!—wtrącił Kurek.

— To trucizna; nie przystoi zdradziecko nastawać na życie człowieka. On żołnierz i my żołnierze. Na równą broń potykać się jeno wypada. Mnie wystarczy, jak się dobrze oba pośpią. Poczekajcie, mam tu w apteczce podręcznej naseme proszki. Dawajże, Mur, swoją oczyszczoną, to się ją cokolwiek zanieczyści. Niewielka to rzecz! Nic żołnierzykom nie zaszkodzi, a temu nieborakowi pomoże...

Wnet wódka była gotowa. Czekając północka, nasza trójka wróciła do gospodarza. Powiedziano mu na wszelki przypadek, że się znalazły konie, aby się niepotrzebnie nie narażać na podejrzenia. A o to nie było trudno. W każdym domu niemal kwaterowali Moskale, rządząc się, jak u siebie. Patrole stały u rogatek, nie wpuszczając i nie wypuszczając ze wsi nikogo obcego po zachodzie słońca, do samego świtu. W takim położeniu rzeczy chcieć uwolnić jeńca, w dodatku pilnowanego dobrze, to nie bagatelka.

— A nuż nam się nie uda? — mówił Jur, z natury ostrożny.

Pan Oleś i Mur nie myśleli jednak porzucać zaczętej roboty. Kiedy minął północek, ostrożnie wyszli z zawiniątkami z chałupy i przez opłotki za stodółkami skradali się cicho.

— Siedźcie tu — rzekł w końcu Mur, kiedy znajdowali się blisko.—Zaraz wrócę.

Pan Oleś z Kurkiem przycupnęli w rowie, gotow spieszyć z pomocą na umówiony znak.

W niespełna pół godziny Mur wrócił bez butelek.

— No, uczęstowałem obu Moskali. Przy mnie niemal do samego dna wypróżnili swoje czterdziestki, aż się krztusili, tak pili. Mocna, powiadają! Na zdrowie. Ja sam dla przykładu pociągnąłem i czuję, że mi się głowa kiwa. Zaczekamy jeszcze chwilę, a potem do roboty. Mam tu nawet dłuto do podważania okna.

Wśród głębokiego milczenia płynęły chwile. Wreszcie pan Oleś, spojrzawszy na zegarek, podniósł się i kiwnął na towarzyszy.

— No—myślę, że już pora! Ty, Mur, idź naprzód i przekonaj się, czy Moskale dobrze śpią. Zostaniesz przy nich na wypadek, gdyby się obudzili. Wówczas, rozumiesz— trzeba śmiało i energicznie bagnet w ruch puścić, bo niepowodzenie stryczkiem pachnie. My zaś z Jurkiem uwiniemy się, raz, dwa, trzy.

— Czy nie masz wojska gdzie blisko?

— W sąsiedniej chałupie śpi sześciu dragonów.

— Ładna zabawa! — uśmiechnął się pan Oleś. — Na piki by nas wzięli. No, Mur, idźże!

Mniemany handlarz papierosami zniknął w ciemności. Po dwóch pacierzach rozległo się ciche miauczenie kota, umówiony znak, że wszystko dobrze.

Jur i student, usłyszawszy ten głos, podeszli na palcach. Sołtysiak zapukał do okna.

— Nie krzyczeć tam!—rzekł—to swoi.—Przychodzimy was uwolnić od stryczka.

W izbie było ciemno, ale wnet dał się słyszeć ruch. Blada twarz młodego chłopaka przylgła do brudnej szybki; świecąco gorączkowo oczy wbiły się w przestrzeń.

— Swoi?!

— Strzelcy warszawscy!

Kurek kiwał głową i śmiał się, podważając ramę dłutem.

Puściła snadnie.

— No, wyłażcie!—zachęcał Jur.

— Kiedy ręce mam związane na plecach!

Jednym skokiem Kurek znalazł się wewnątrz, kozikiem chlasnął raz i drugi po postronkach i potem wyrzucił niemal więźnia przez okno, prosto w objęcia pana Olesia.

— Jezus Marja! — zawołał stłumionym głosem jeniec. — Cóż to? kacapów do lali wyprawiliście, że cicho siedzą i na takie zbytki pozwalają? Hę?

— Śpią — szepnął mu do ucha pan Oleś. — Jesteś między swymi. Idziemy do oddziału; po drodze dowiedzieliśmy się, żeś niedźwiedziowi wpadł w łapy, obywatelu — i zabieramy cię na przewodnika. Prowadź nas do najbliższej kompanji.

— Rekomenduję się!—rzekł oswobodzony, przykładając dwa palce do wyszarzanej maciejówki, na której świecił w ciemności biały orzeł.—Jestem kapral czwartej kompanji, pierwszego pułku, pierwszej brygady Józefa Piłsudzkiego, Jan Dulęba. Wysłany onegdaj w patrolu i ogarnięty skutkiem zdrady przez Moskali, położywszy dwóch nieprzyjaciół, po krótkiej ale śmiało to rzec mogę, energicznej obronie, wzięty do niewoli. Pan Bóg, ma, jak to już nieraz wymiarkowałem, w szczególnej swojej opiece, nas—piłsudczyków, czego najlepszy dowód wasze niespodziane zjawienie się tutaj. Tam, do pękniętego szrapnela, wisiałbym dziś, jak amen w pacierzu! No, dajcie łapy, obywatele, niechże wam podziękuję.

Ściskał kolejno wyciągnięte ku sobie dłonie swoich oswodzicieli.

Pan Oleś, słuchając kaprala Dulęby i patrząc nań, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Miał przed sobą małego, chudego, spalonego w słońcu człowieka, ale pełnego rozmachu. W tem drobnem ciele musiał tkwić duch wielki i energja niespożyta. Małe, piwne oczki świeciły, jak u wilka; było w nich coś drapieżnego i zuchwałego.

— Skąd pochodzisz, obywatelu?—zagadnął Mur.

— Warszawiak jestem i wy pewnie z Warszawy? Swój swego zawsze pozna. No, ale nie pora teraz na gadanie. Te bydlęta—rzekł, trącając pogardliwie nogą śpiącego żołnierza,—mogą się przebudzić, podnieść alarm i będzie źle?

— Prowadźże nas.

— Do brygadjera Piłsudskiego chcecie?

— Właśnie!

— Hm, nie łatwa to sprawa przez linje Moskali się przedrzeć—mruczał Dulęba, drapiąc się w głowę. — Gdybym tak miał pod sobą patrol z kadrowej kompanji, to całkiem co innego. Ale tak z trzema rekrutami...

— No, no,—rzekł pan Oleś, nieco urażony tym lekceważącym odezwaniem się kaprala.—Przeszliśmy szkołę...

— Piii! Co tam taka szkoła w murach warszawskich, z drewnianym karabinkiem w garści! Fracha, bracie!! Prochu nie wąchaliście! Ale trudno. Gdyby nie wy, kacapy obdyndali by mnie, ani chybi. Muszę więc wywdzięczyć się wam—zwłaszcza, że do piłsudczyków przystać chcecie. Za mną!

Rozejrzał się, zadał kilka pytań panu Olesiowi i myślał przez chwilę.

— Jest zaledwie parę godzin do wschodu słońca, nie ma tedy ani chwili do stracenia. Pójdę przodem, wy za mną: trzymać się razem, — nie tracić związku jeden z drugim. Baczyć na każdy mój gest. Jak syknę, przypaść gdzie się nadarzy, do ziemi i leżeć nieruchomie, póki nie szepnę: naprzód!

— Niedaleko za wsią na skraju tego lasu, co go widać, znajduje się pozycja moskiewska — bataljon piechoty zajął rów. Nasi stoją o trzy, albo cztery kilometry dalej, w wiosce, za lasem; kacapy przed paru dniami dostali od naszych niezgorsze wcieranie—wiedzą, że ich umiemy gładko podchodzić i mają się na baczności. Musimy obejść

od południa ich stanowiska, a to kawał drogi,—w dodatku niepewny, bo na każdym kroku można się natknąć na podjazd, albo na pieszy patrol.

— Zastosujemy się do twoich wskazówek, obywatelu,—rzekł pan Oleś, który zaczynał się niecierpliwić.

— Broni żadnej nie macie?—rzekł Dulęba.

— Uchowaj Boże—odparł Mur.—Jestem wędrownym handlarzem.

— Na wszelki przypadek trzeba mieć co w garści—mówił kapral, schylając się nad nieprzytomnym żołnierzem; — oddaj że, niewolniku, ten karabinek,—przyda się. A ty—dodał, zwracając się do sołtysiaka,—zabierz drugi tamtemu; a ładownicy nie zapomnij. Wyjmuj naboje ostrożnie, żeby się kacap, broń Boże, nie ocknął.

Jur szybko i zręcznie spełnił rozkaz.

Po chwili stawił się z karabinem i nabojami.

Dulęba skinął głową, zadowolony.

— Zawsze to inaczej człek się czuje z pukawką i bagnecikiem w ręku! — rzekł.—Ja pójdę o dziesięć kroków naprzód; ty obywatelu—dodał zwracając się do Jura,—bacz na prawo, wy zaś trzymajcie się za mną z tyłu. No, w imię Ojca i Ducha Świętego!

Kapral, przeżegnawszy się pobożnie, opatrzył starannie karabin, zatopił bystry wzrok w ciemności i, nadstawiając ucha na najlżejszy szmer, wysunął się na ścieżynkę, która prowadziła wzdłuż wsi, poza opłotkami, przez łąki.

Sołtysiak, stosując się do rozkazu, odsadził się na jakieś dwadzieścia kroków w bok i brnął w mokrej trawie, natężając uwagę.

Jak wiadomo, we wsi znajdowali się dragoni moskiewscy i prawdopodobnie dla własnego bezpieczeństwa musieli powystawiać czaty. Noc była ciemna, ale księżyc miał wzejść za pół godziny; należało się więc śpieszyć. Dulęba, który znał się doskonale na takich nocnych wycieczkach, wyciągał nogi, żeby jaknajprędzej wyminąć wieś

i dostać się do lasu, gdzie zawsze łatwiej byłoby się ukryć w razie niebezpieczeństwa. Mur i pan Oleś, z bijącem ze wzruszenia sercem, kroczyli jego śladem.

Kapral zatrzymywał się co jakiś czas skoro posłyszał najmniejszy szelest. Nie uszli więcej, nad tysiąc kroków, kiedy rozległo się umówione psykanie. Strzelec zniknął w krzakach wikliny i jego towarzysze przycupnęli także.

Wnet się wyjaśniła przyczyna tego nagłego powstrzymania marszu. Na skraju łąki w mroku rysował się wyraźnie cień jeźdźca, siedzącego nieruchomie na koniu i trzymającego karabin w pogotowiu. Dragon był jednak odwrócony twarzą w przeciwną stronę.

— Pikieta rosyjska! — szepnął pan Oleś. — Koń ma lepszy słuch od żołnierza i strzyże uszami; zaniepokoi się, ostrzeże swego pana o naszej obecności.

Jeszcze student nie dokończył, a jego przewidywania spełniły się. Wierzchowiec zarżał i jeździec poruszył się niespokojnie na siodle; koń zaczął przestępować z nogi na nogę. Za chwilę dragon ściągnął uzdeczkę, zawrócił na miejscu i stępa zaczął przybliżać się do krzaka, w którym Dulęba przywarował.

— Baczność!—szepnął pan Oleś.

Położenie stało się groźnem. Strzelcy nie mogli do ostatniego mgnienia zdradzić ruchem swojej obecności; student i Mur z zapartym oddechem wpatrywali się w nadjeżdżającego dragona i przypłaszczyli się jakby w trawie, przyłożyli głowy do samej ziemi.

Jeździec z karabinem gotowym do strzału znajdował się z początku o pięćdziesiąt kroków, potem o trzydzieści a wreszcie od ukrytych strzelców dzieliła go przestrzeń zaledwie dwudziestu kroków. Jeszcze chwila, a dostrzeże przyczajone postacie, da ognia, nadjadą inni i wówczas los naszej czwórki będzie zdecydowany.

Pan Oleś czekał, rychłoli Dulęba, uprzedzając dra-

gona, strąci go kulą z siodła. Ale mijała minuta, a kapral nie dawał znaku życia. Nagle w pobliżu odezwał się derkacz. Żołnierz, usłyszawszy przeciągłe trzeszczenie, zatrzymał się nagle. Zdawało się, że pojedzie znów naprzód, lecz nie. Strzelcy odetchnęli z uczuciem ulgi, przekonawszy się, że dragon nagle zawrócił i stanął na poprzednio zajmowanem miejscu. Derkacz tym razem wybawił z kłopotu naszą czwórkę, odwróciwszy na siebie uwagę Moskala.

Niebawem Dulęba szepnął: *naprzód* i znów cichutko, korzystając z osłony krzaków, kroczył łąką, z której podnosić się już zaczynała mgła poranna.

W kilka pacierzy minęli łąkę i wydostali się na boczną drogę. Tutaj należało zdwoić baczność, bo w nocy na tyłach wojska moskiewskiego panował ruch nie mały. Pod osłoną ciemności dowożono żywność dla oddziału, znajdujacego się na pozycji. Jur słyszał turkot kuchni polowych i widział iskry sypiące się z komina.

— Nie daliśmy im zjeść za dnia,—mruczał Dulęba— więc teraz po ciemku do gęby łyżką nie trafią, psiawiary. Niechno przejadą!

Znowu zatrzymano się na parę pacierzy w krzaczkach olszyny, które na szczęście obficie tutaj rosły i dawały schronienie w razie potrzeby naszej trójce.

Ale nie marnowano czasu nad potrzebę. Pan Oleś z niepokojem spoglądał na zegarek, który wskazywał kilkanaście minut po drugiej.

Wyszedłszy z łąk, strzelcy znajdowali się teraz akurat na tyłach pozycji rosyjskiej. Było tutaj o tyle bezpiecznie, że czujność Rosjan kierowała się cała na front. Można było jednak niespodziewanie na jakie licho natrafić. Niebawem jednak las się skończył; teraz należało brać się prosto przed siebie, bo stanowiska strzeleckie znajdowały się nie dalej, jak o trzy wiorsty.

— Najtrudniejsza część naszej przeprawy nastała—

rzekł. — Byle tylko ciemność dotrzymała, docłapiemy się jako tako przy Boskiej pomocy. Uważać tylko na boki.

Posuwano się w głębokiem milczeniu, przystając co kilkanaście kroków. Dulęba przykładał od czasu do czasu ucho do ziemi, łapiąc delikatne szmery, jakich powietrze do ucha nie donosiło.

Węszył jak wyżeł na polowaniu, starał się przebić ciemności swojemi błyskającemi oczkami. Jur z tej wielkiej ostrożności, posuniętej chwilami do śmieszności, miarkował, że istotnie grozi wielkie niebezpieczeństwo. Nie dawał jednak poznać po sobie, że wie o tem. Zerkał w prawo, trzymając karabinek w pogotowiu.

— Jesteśmy już przed pozycją rosyjską — szepnął Dulęba. — Żeby tylko na przednią placówkę nie natrafić.

Nagle od tyłu lunął na pole snop jaskrawego światła, który przeraził do najwyższego stopnia Dulębę.

— Padnij, na Boga padnij!—jęknął niemal kapral.— A schowaj że się w bruzdę, gamoniu—zawołał niemal ze złością na Jura, który nie odrazu posłuchał komendy.— Reflektor przeklęty, żeby go szrapnel trafił—mruczał kapral, starając się przylgnąć do ziemi jaknajdokładniej.— Jeżeli nas wymaca, przepadliśmy.

Jur, ułożywszy się w rowie, wodził wzrokiem za wiązką elektrycznego światła, która niby wielki palec dotykała pola, krzaków, oświecała drzewa, podobne w jej dotknięciu do widm. Było to jakby oko, którem nieprzyjaciel robił poszukiwania w ciemnościach. Nic nie mogło się ukryć przed tem okiem, długiem, nieuchwytnem. Każdy krzaczek, każda wyniosłość gruntu była widoczną, jak w dzień biały.

Palec świetlany macał formalnie to tu, to tam. Zatrzymał się na kępce krzaków olszynowych, gdzie przed chwilą siedzieli nasi wędrowcy, potem wolno posuwał się wzdłuż rowu. Nagle w jego dotknięciu zabłyszczała lufa

karabinowa, na której trzymał rękę Jur. Dulęba zaklął siarczyście.

— Wymacali nas pogany! — szepnął panu Olesiowi do ucha — teraz będzie źle z nami, jak Bozię kocham, będzie źle!

Paléc świetlany, dotknąwszy Jura, posunął się nieco dalej, i zatrzymał się na Murze, którego skrzynka lakierowana błyszczała wyraźnie, cała biała. Zrobiwszy to drugie odkrycie, promień oślepiającego światła, przeniósł się na Dulębę. Ale ten był niedostrzegalny w głębokiej bruździe.

— No, radzę zmówić pacierz! — rzekł. — Tylko patrzeć jak nas zasypią szrapnelowym grochem!

— Uciekajmy! — radził Mur.

Kapral nie podnosił głowy, czekał. Niebawem nastała chwila ciemności; palec reflektora przeniósł się cokolwiek w bok, i przenikał teraz na wylot grupę wikliny, stojącą o kilkadziesiąt kroków dalej.

— Wszyscy do rowu! — zakomenderował nagle Dulęba!

Zerwał się i jednym susem znalazł się obok Jura.

Pan Oleś i Mur naśladowali swego przewodnika. Zdążyli, zanim palec znów wrócił w dawne miejsce.

Zdziwiony, że zdobycz wymknęła mu się, rozpoczął poszukiwania na nowo. Wodził jakby paznogciem wzdłuż rowu.

W tem błysnęło krwawe światło i rozległ się głuchy łoskot. To pierwszy szrapnel, wysłany z baterji moskiewskiej, pękł po nad głowami strzelców.

Na szczęście był źle wycelowany, gdyż kulki nikomu nie zrobiły szkody. Dulęba wiedział jednak, że za pierwszym pociskiem nadleci drugi, za nim następne.

Położenie stawało się w najwyższym stopniu groźne. Reflektor dokonał tego, czego oko ludzkie nigdyby

nie potrafiło dokazać. Wyszukał naszą czwórkę i uwięził ją niejako w rowie. Teraz szrapnele miały dokończyć dzieła! Bum, bum! Nie upłynęła zdrowaśka, gdy drugi, a zanim tuż trzeci szrapnel ze skowytem piekielnym rozdarł powietrze i lunął z góry deszczem ołowiu. Jedna z kulek trafiła w skrzynkę Mura, druga przedziurawiła czapkę Dulębie, który zaklął znowu od serca.

— Wystrzelają nas tutaj, jak kaczki w sitowiu — rzekł. — Nie ma co na śmierć bezczynnie czekać. Od lasu dzieli nas przestrzeń kilkuset kroków zaledwie. Musimy zaryzykować. Może który z nas zostanie; no ale trudno. Niech opieka boska czuwa nad nim! Naprzód!

Zerwał się pierwszy i popędził jak jeleń przed siebie. Mur, porzuciwszy w rowie skrzynkę, która by mu przeszkadzała, ruszył też za przewodnikiem; Jur i pan Oleś naśladowali towarzyszy.

Biegli tak, wytężając wszystkie siły. Jeszcze nie zrobili połowy drogi, kiedy tuż przed nim, zarył się w ziemi granat i pękł z ogłuszającym hukiem, zasypując oczy piaskiem. Zatrzymali się na sekundę, odurzeni pędem powietrza. Pan Oleś zachwiał się na nogach. Zdawało się, że padnie, ugodzony śmiertelnie. Ale wnet wyprostował się, i znów zaczął biedz za Dulębą, który znać oswojony bardziej z pociskami, nie zatrzymał się nawet.

W miarę tego, jak uciekający zbliżali się do lasu, pociski rwały się coraz częściej i coraz bliżej, Jur z rozpaczą mierzył okiem przestrzeń, dzielącą go od pierwszych drzew. Jeszcze pozostało ze sto kroków. Dolecą, czy padną? To pytanie tkwiło mu w głowie, jak rozpalony gwóźdź.

W uszach dzwoniło mu, jak w kościele, w skroniach pulsowała krew, serce kołatało jak młotem w piersi. Wszyscy byli jakby w klamrę ujęci w ten jaskrawy strumień elektrycznego światła, który towarzyszył im ciągle, nie opuszczając ani na jeden krok. Wyglądali jak upiory.

Obejrzawszy się za siebie, Jur spostrzegł wykrzywione trwogą śmiertelną oblicze Mura, za nim skulonego studenta, usiłującego osłonić głowę trzymanem w ręku zawiniątkiem.

Bum, bum! Szrapnele wysyłane jeden za drugim w pogoni za uciekającymi, piekielnym trzaskiem napełniały powietrze. Białe dymki prochowe świeciły jak srebrne na ciemnem tle nieba.

Był to cud prawdziwy, że z tego gradu kulek ołowianych wielkości wiśni, żadna nie trafiła w cel. Wszyscy strzelcy bowiem biegli dalej; jeszcze pięćdziesiąt kroków, jeszcze dwadzieścia! Nogi uginały się już pod nimi. Jur potknął się o jakiś kamień. Kiedy zerwał się, Dulęba, najzwinniejszy, dopadł już był pierwszy lasu. Za nim Mur, pan Oleś i Jur.

— Nikt nie oberwał? — zagadnął kapral.

— Zdaje się, że mnie drasnęło, — rzekł Mur, pokazując dłoń, z której sączyły się krople krwi.

— Fracha, bratku! — rzekł kapral. — No, możemy sobie powinszować, udało się tymczasem. Podły to wymysł te reflektory; z nocy biały dzień ci licho zrobi. Nic się przed tem gałgaństwem nie ukryje. Ot i teraz, chociaż w gąszczu siedzimy, a jeszcze do nas chce dotrzeć. Probuj se braciszku, baw się.

Ocierał pot czerwoną chustką, dychał, jak karp wyjęty z wody, ale oczy mu się śmiały tryumfem.

Szrapnele jednak nie dały jeszcze za wygranę. Jeden, drugi pękł w konarach starych sosen, zasypując igliwem leżących strzelców.

— Nie możemy tutaj siedzieć. Jeno patrzeć jak Moskale nam się zwalą na kark — rzekł znów Dulęba. — No bracia, nogi za pas. Brzegiem lasu za mną!

Podniósł się. Palec świetlany widząc, że mu się pewna zdobycz wymknęła bezkarnie, pobiegł macać gdzieindziej, przeniósł się znów w pole otwarte. Armaty stra-

ciwszy snać nadzieję dosięgnąć uciekających w gąszczu leśnym, także zamilkły.

Alarm jaki się podniósł, obudził jednak czujność nieprzyjaciela i niezmiernie utrudniał dojście do celu.

Lada chwila z ciemności mógł się wynurzyć jaki oddział; to też Dulęba i jego towarzysze natężali uwagę.

Skradali się między pniami starych sosen, szukali schronienia przed niewidocznem jeszcze, ale przeczuwanem niebezpieczeństwem w podszyciu leśnem, które na szczęście było tutaj bujne niezwykle.

Niebawem znów zapanowała głęboka cisza. Dulęba szedł jak lis na wyprawie zbójeckiej. Kiedy zauważył, że się znajduje po za linją przednią Moskali, i po za ich skrzydłem lewem, przyśpieszył kroku.

— No da Bóg dojdziem w takiej paradzie jak to do Kielc niedawno wkraczaliśmy — mruczał. — Mochom wymkniemy się, jak mysz kotowi z pod pazurów. A już je na naszym grzbiecie położył, kozi syn. Poczekaj teraz, możesz sobie świecić po polu do jasnego dnia. My tu! A coś prochu namarnował, toś namarnował. Bacz, żeby ci na jutro starczyło, jak swojej skóry dziegciem umazanej będzie musiał od nas bronić.

Pan Oleś słuchając tych wymysłów, musiał śmiać się w duszy. Robiło mu się coraz raźniej.

Po kilku pacierzach takiego przedzierania się krzakami, Dulęba zatrzymał się nagle.

— Padnij! — zawołał zdławionym głosem.

Strzelcy przywarowali od razu po za pniakami sosen. Nastała ponura cisza, pełna wyczekiwania.

Brzegiem lasu, naprzeciw nim, kroczył oddziałek żołnierzy. W blasku księżyca, który się już był pokazał, zamigotały ostrza bagnetów. Było ich sześciu. Szli tak samo ostrożnie, jak nasza czwórka. Co chwila zatrzymywali się, badali okoliczne zarośla, nadsłuchiwali.

— To patrol — mruknął Dulęba. — Licho nas na

niego naprowadziło. Te Mochy to mają nieraz psi węch, mogą nas wytropić! — A bodajeście ziemię jutro gryźli.

Kurek, pan Oleś i Mur patrzyli z bijącem sercem na zbliżających się żołnierzy. Sołtysiak skierował przeciwko nim karabin nabity i czekał tylko komendy kaprala, żeby dać ognia. Ale Dulęba, widząc jego gotowość, powstrzymał go giestem ręki.

— Broń Boże strzelać! zginęlibyśmy, bo zaraz ćma by się na nas rzuciła i na bagnetach rozniosła. Wróg tuż, niedaleko. Trza się z nimi po cichu uwinąć.

— Ich sześciu a nas czterech — zauważył Mur.

— O wa! Nie takie rzeczy myśmy dokazywali. Bywało jeden dziesięciu Kacapów w pełnem uzbrojeniu do niewoli zabierał! I z tymi sobie poradzim. Siedzieć cicho a jak się zbliżą na dziesięć kroków, w nich! Kolbę, pięść, bagnet w ruch puścić, i zanim się opamiętają, dalej w las, brzegiem!

Mówił to cichym szeptem, ale wszyscy go słyszeli.

Tymczasem patrol zbliżał się. Nastała chwila stanowczego działania. Byli nie dalej jak na kilkanaście kroków. Ale zrobiło się znowu ciemno, tak iż się z trudnością odróżniało kształty ludzkie.

Nagle stała się rzecz dziwna. Dulęba podniósł się powoli, wyprostował swą drobną, ale zuchowatą postać, spokojnie zarzucił karabin na plecy, i jakby nigdy nic zaczął iść na spotkanie tajemniczej szóstki.

Kurek, sądząc, że już czas prać, co się zmieści, zerwał się, pochwycił karabin za koniec lufy, i skoczył naprzód.

W tem, o dziwo, Dulęba ryknął: „kto idzie“?!

— Swoi! — brzmiała odpowiedź.

Kapral podszedł do kroczącego na czele patrolu żołnierza i wyciągnął ku niemu przyjaźnie rękę.

— A niech-że was, rekruckie dusze! Czy to można

tak Moskalom koło nosa po nocy chadzać? Dulęba jestem, kapral pierwszej brygady.

— A to ty, Felek. A skądże to Bozia prowadzi?

— Mochów podchodzim! Na wywiady nas posłali. Licho, was tu zawiodło! — mówił naczelnik patrolu, ściskając łapę Dulębie.

— To trza szczęścia, żeby tak na swojaków po ciemnicy trafić; chyba na loterję wiedeńską postawię, albo co! Maluczko, abyśmy wam sprali pyski, przefasonowali i polakierowali, jak prawdziwe moskiewskie roże! No, Bóg strzegł! Prowadzę wam oto trójkę zuchów, co mnie od kacapskiego stryczka chytrze uprowadzili. Niech im Pan Bóg da zdrowie do końca wojny! Macie ich tutaj. Setne chłopy. Widzi się, że nasz „Dziadek“ będzie miał z nich pociechę, jak się nieco wymustrują. Obsypali nas tu Kacapy w polu grochem, było i parę granacików, ale poczciwe nikogo nie tknęły. No, pokażcie że się, warszawiaki!

Tak się skończyła pełna wzruszeń i niebezpieczeństw nocna wędrówka pod wodzą kaprala pierwszej brygady, Dulęby.

W godzinę potem nasza czwórka znajdowała się już pomiędzy strzelcami, gdzie, ma się rozumieć, przyjęto ich z otwartemi rękami.

ROZDZIAŁ VIII.

Pierwsza bitwa.

Nasza trójka trafiła na bardzo gorącą chwilę. Strzelcy znajdowali się akurat naprzeciwko nieprzyjaciela i bataljon I brygady otrzymał rozkaz zaatakowania Moskali, którzy zajęli stanowiska pod lasem.

Żołnierze gotowali się do walki. W obozie panował wielki rozgardjasz. Kapral Dulęba zaprowadził swoich

wybawców do kapitana, dowodzącego jego kompanją, i zameldował o swojej przygodzie i cudownem niemal ocaleniu.

Kapitan wysłuchał uważnie sprawozdania, powinszował podoficerowi, poczem powitał serdecznie naszych strzelców.

— Zawsze dobrze myśleliśmy o warszawiakach — rzekł, ściskając dłoń panu Olesiowi — teraz widzimy, żeśmy się wcale nie omylili. Mamy tego dowód w waszem tutaj do nas przybyciu, wśród takich ciężkich okoliczności. Bardzo się cieszę, że nie jesteście surowym materjałem, z którego dopiero pracą można zrobić żołnierza. Wy, obywatelu — dodał zwracając się do Kurka — jako rezerwista rosyjski, możecie odrazu stanąć w szeregu; pan zaś — dodał, zwracając się do studenta — możesz mieć nadzieję, że z czasem otrzymasz wyższy stopień. Bardzo dobrze się składa, nie będziemy potrzebowali odsyłać was do komend rekruckich, ale, jeżeli chcecie, wcielimy was do bataljonu.

Nie potrzeba chyba objaśniać, jak mile brzmiały te słowa w uszach naszych strzelców.

— Jeżeli to możliwe, obywatelu kapitanie, chciałbym widzieć tych zuchów w moim plutonie — odezwał się Dulęba. — Zrobię z nich żołnierzy jak się patrzy, przez wdzięczność za to, że mnie od moskiewskiego stryczka uwolnili.

Kapitan uśmiechnął się.

— Dobrze, dobrze, to się da zrobić — rzekł. — A teraz proszę pana do naszego „Dziadka“. Zapewne ma pan coś niecoś do powiedzenia o tem, co się teraz w Warszawie dzieje.

Pan Oleś, ogromnie uradowany, poszedł za kapitanem, który przedstawił go Piłsudzkiemu.

Jenerał zadał kilkanaście pytań studentowi, który odpowiadał ze wzruszeniem. Miał bowiem przed sobą człowieka, który, jak mówi nasz genjalny poeta Mickie-

wicz, „mierzył siły na zamiary“, porwał się niemal-że z gołemi rękami na wielką potęgę rosyjską, ażeby wywalczyć wolność dla Polski. I on, Oleś, wierzył niezłomnie w to, że nadeszła wielka, oczekiwana przez całe pokolenia chwila, w której z Ojczyzny mogą spaść odwieczne kajdany, i że to napewno nastąpi, jeżeli wszyscy do tego świętego dzieła według siły przyłożą ręce. Miał wielką cześć dla „Dziadka“, tak bowiem w obozie nazywano Piłsudzkiego, i czuł się niewymownie szczęśliwy, że go ogląda na własne oczy.

Zdał raport jaknajbardziej szczegółowy o organizacji strzeleckiej w stolicy i opowiedział w paru słowach dzieje swojej wyprawy dla połączenia się z tymi, co już stali w polu, walcząc za Polskę. Komendant, wysłuchawszy, podziękował, podał młodemu ochotnikowi dłoń, którą ten uścisnął gorąco.

— Mam nadzieję, że pan wytrwa do końca — rzekł na pożegnanie.

— Wytrwam, obywatelu komendancie — odparł młodzieniec, podnosząc głowę.

Wróciwszy od Piłsudzkiego, pan Oleś zastał już swoich towarzyszy w okopie razem z Dulębą, który opowiadał swojemu plutonowi doznane przygody. Rekruci odrazu doznali lepszego obejścia, patrzono na nich nie jak na ciurów do niczego jeszcze nie zdolnych, ale jak na prawdziwych żołnierzy, którzy już mieli sposobność okazać zimną krew i odwagę, zanim jeszcze stanęli w szeregach.

Co do sołtysiaka, to ten z miejsca przedzierżgnął się w żołnierza. Miał nawet swój karabin, do którego nabojów w obozie strzelców nie brakowało. Dulęba, nie tracąc czasu, zaczął zapoznawać go z regulaminem służby w strzelcach.

Jur chwytał wszystko w lot, jak to się mówi; z Murem było trochę trudniej, ale on za to, przeszedłszy

ćwiczenia dłuższe, aniżeli Jur, znał już jako tako mustrę strzelecką.

— No, odpocznijmy sobie coś niecoś! — rzekł Dulęba. — Przyznaję, że mnie te kacapy w ciupie zamorzyli. Skoro świt, napewno nas obudzą, mamy zatem nie więcej jak półtorej, albo dwie godziny czasu, to się prześpijmy, żeby mieć jutro siły do ataku, który jak słyszę jest postanowiony.

Nasi strzelcy nie mogli jednak zasnąć pod wpływem myśli, że za parę godzin już wezmą udział w bitwie. Wyobrażali sobie to wszystko całkiem inaczej, sądzili bowiem, że ich odeślą najprzód do Krakowa na uzupełnienie nauki, a tymczasem pozwalają im iść prosto w ogień bez żadnych przygotowań.

Czuli się niezmiernie dumni z takiego obrotu rzeczy, i szczęśliwi, że ich najgorętsze marzenia tak szybko się ziszczają.

Pan Oleś, zamiast spać, wystarał się o karabin i piastował go od świtu, jak matka nowonarodzone dziecko. Dano wszystkim trzem maciejówki z białemi orzełkami, ładownice z nabojami, plecaki, słowem w mgnieniu oka zamieniono ich na żołnierzy całą gębą.

Z niecierpliwością oczekiwali wszyscy trzej rannej pobudki. Kiedy się już zaczął dzień robić, dano żołnierzom obiad za dzień poprzedni, bo kuchnie dopiero teraz przybyły na stanowiska strzeleckie, i niebawem rozpoczęło się posuwanie naprzód w kierunku stanowisk moskiewskich pod lasem.

Ale cała kompanja nie zrywała się razem; przeciwnie: z każdego plutonu wychodził jeden żołnierz, i kryjąc się w trawie, czołgał się po ziemi, jak wąż, w stronę nieprzyjaciela. Dosięgnąwszy wyznaczonego miejsca, brał łopatkę i okopywał się jak mógł najlepiej. Po nim robił to samo inny żołnierz i tak jeden za drugim wszyscy opuszczali swoje okopy, zajmując nową linję. W ciągu

godziny cała kompanja posunęła się w ten sposób naprzód o sto kilkadziesiąt kroków.

Była to konieczna ostrożność. Rosjanie bowiem, baczne śledząc każdy ruch przeciwnika, posyłali dziesiątek kul temu, kto się podniósł z ziemi.

A nie były to w dodatku zwyczajne kule, ale wybuchające. Taka kula rozrywa się na drobne kawałki w ciele zadając okropne rany. Nic tedy dziwnego, że każdy starał się tych os jadowitych unikać według możności. Pojedyńczego człowieka, w dodatku ukrywającego się w życie czy w kartoflach, nie łatwo trafić. Oto był powód, dla którego żołnierze pomyślnie zajmowali stanowiska bliższe nieprzyjaciela. Odbywało się to bardzo wolno. W dwie godziny dopiero po rozpoczęciu się tej niebezpiecznej wędrówki, przyszła kolejka na Jura i na jego dwóch towarzyszy.

Trzeba było, trzymając karabin w jednej ręce, a łopatkę w drugiej nachylić się, przebiedz kilkanaście kroków otwartej przestrzeni, potem, dopadłszy zboża, runąć na ziemię i czołgać się dalej, jak żmija.

Jur zacisnął zęby, ale nic zawahał się ani na jedno mgnienie oka. Kilkunastoma wielkiemi krokami przebiegł otwarty szlak, nie zważając na bzykające mu koło uszu kulki i szczęśliwie dopadł pszenicy, która pomimo spóźnionej pory stała jeszcze na pniu. Położywszy się zaraz, zaczął kopać koło siebie ziemię i wyrzucać ją tak, żeby czemprędzej zasłonić głowę. Potem pogłębiał swój okop, żeby jaknajlepiej się za nim ukryć, bo Moskale, zmiarkowawszy, na co się zanosi, wysyłali przeciwko strzelcom całe roje kul.

Niestety, nie każdemu udawało się przebiedz cało i zdrowo. Kilka razy zdarzyło się, że strzelec zgięty w pół, nagle zatoczył się, jak pijany, przewracał się i leżał nieruchomie, albo też jęczał z bólu, otrzymawszy postrzał.

Nie powstrzymało to jednak innych od naśladowania go. Ranni leżeli, czekając, aż ich podniosą i opatrzą, a bataljon w dalszym ciągu dokonywał swojego trudnego zadania.

Pan Oleś miał też zaraz po Jurze swoją kolej. Plecak ciężył mu niemiłosiernie, bagnet i łopatka plątały się pomiędzy nogami, lufa karabinu co chwila utykała w ziemię, ale nie ma rady! trzeba się czołgać naprzód! Niebawem jednak wszyscy trzej nasi strzelcy znajdowali się już obok siebie.

Z tego nowego stanowiska nie podobna było ani na krok dalej się posunąć. Moskale bowiem, widząc, że nie przelewki, pluli całemi chmurami kulek, a nadto puścili w ruch karabiny maszynowe. Chwilami zdawało się, że złośliwy rój os opadł leżących na ziemi w dołkach strzelców; co który rękę albo gorzej głowę wysadził, zaraz dostawał postrzał.

Z tego było jasne, że Mochów w okopie siedziało gęsto jak nabił i, że będzie ciężka przeprawa, zanim się ich z nor wykurzy.

Na szczęście w pomoc strzelcom przyszła artylerja austrjacka, która po nad ich głowami jęła posyłać Moskalom jeden szrapnel za drugim.

Nad okopami rosyjskiemi wykwitły liczne białe obłoczki, jakby wielkie maki na zielonej trawie; każdy z tych obłoczków wskazywał miejsce, gdzie się rozrywał pocisk.

Jakoś ogień artylerji pomału uciszył Rosjan, którzy nie mogli już tak bezpiecznie wystawiać się z po za wałów. Za to ogień ich stał się nerwowy, wybuchał chwilami z wielką siłą, przyczem kule, źle znać kierowane, przelatywały górą, potem znów prawie, że przestawali strzelać.

Nasi trzej nowozaciężni strzelcy leżeli jeden przy drugim w rowku, który ciągle pogłębiano dla uzyskania lepszej ochrony.

Dulęba, który już nieraz bywał w ogniu i nie wiele sobie robił z bzykających kulek, wycyganił od Jura tytuniu, nabił fajkę i pykał sobie spokojnie, jakby nigdy nic.

— Kłaniacie się jeszcze szrapnelom, jakby było komu—mówił, widząc mimowolne nachylanie głowy u swoich towarzyszy, kiedy nadlatywał pocisk.—Nie warto powiadam wam nawet nosem im kiwać. Inna rzecz kuferek... przed takim to szacunek mieć należy...

— A co to takiego kuferek?—pyta Mur.

— A no taki ci granat, lepszego gatunku, gruba ryba, co to waży sto, albo i dwieście funtów; jak ci walnie, to ani się obejrzysz, a już pod niebo wyleciałeś, tak, że cię o mało co Święty Piotr za kark chwyci! Niedawno wyrznęło ci to w granatniki, gdzie się niby ludzie chowają; sześciu ich tam siedziało, i co powiecie! jeden tylko ocalał, żeby kapitanowi meldunek zanieść; kawałeczki z nich pozostały, zbierać nawet nie było co! Ale taki zwyczajny szrapnel, to tyle akurat znaczy, co dobra mucha!

Kapral machnął ręką lekceważąco.

— Abyś jeno w okopie siedział i głowy niepotrzebnie za przedpiersnik nie wychylał, to możesz wytrzymać, chociażby i tydzień! — dodał. — Gorzej, jak nie ma co palić. Doprawdy, szkoda wielka, żeście tę skrzynkę z papierosami tam w polu zostawili!

— Teraz by się przydała,—rzekł smutno Mur.—Cóż robić. Zmykać trzeba było, przeszkadzała.

— No, a panu jakże się ta zabawa podobała? — zagadnął Dulęba pana Olesia, który leżał wyciągnięty i patrzał w niebo, zasnute srebrnemi obłoczkami.—O czemże się to myśli?

— Ot tak. Nie chce się jakoś wierzyć, że to wszystko tak nagle stało się rzeczywistością. Czasem dziwne szczęście człowiek ma. Najpiękniejszy sen, w jawę ci się zmienia, jakby z bicza trzasł!

Dobrze mi tu z wami!

— Kiedy panu tu dobrze, to będzie z pana pociecha—rzekł poważnie Dulęba.—Ma pan we krwi wojnę, a to najważniejsze.

— Niedawno wypuściłem pierwsze kule przeciwko tym, co przez długi wiek przyciskali kolanem pierś matki Polski i zdaje mi się, że już odwaliłem nieco kamienia grobowego, pod którym leżała. Sam lepiej oddycham zaraz, ale chciałbym, żeby to jakoś raźniej poszło! Leżymy tutaj ze dwie godziny i ani rusz!

— Żołnierz, proszę pana, uczy się codzień cierpliwości; to obok odwagi, jego największa może cnota. Umieć czekać, przyczaić się, a kiedy godzina wybije, rzucić się jak tygrys, skoczyć na kark i krwi się gorącej napić. Nie ma pan pojęcia, co to za przedni napój! Możesz się tem upijać, jak najtęższą wódką, do nieprzytomności! A jak raz skosztujesz, to już przepadłeś, nie obejdziesz się i będziesz używał, aż i twojej się napije tamten.

Jur słuchał tej rozmowy w milczeniu. Myślał teraz o ojcu, i braciach...

Gdzie są, w którym pułku służą? Czy się kiedy spotkają? On tu, oni tam. A może się ich kule skrzyżują gdzie w boju, a może kulka, którą on niedawno wypuścił z tej oto lufy, jeszcze ciepłej, w bratnią pierś uderzyła?

Sołtysiak pod wpływem tych myśli spochmurniał.

— A niech ta! — rzekł sobie w końcu. — Nie będzie przez to żałował ołowiu! Trudno. Dlaczego tacy? dlaczego poszli, nie zmarszczywszy się nawet? Byli mu zawsze obcy duchem. Nie rozumieli się! Patrzyli jeno w kieszeń, widzieli nie dalej, jak to, co im na nosie siedziało. Jarzmo nie ciążyło im nigdy na karku, jak u wołu, co od najmłodszych lat w niem chodzi od rana do nocy. Pewnie nie przyjdzie im to nawet do głowy, by on, Jur, mógł stać naprzeciw. Trudno. Tak widocznie Bóg postanowił

nas pokarać za obojętność na to, co każdego najbardziej boleć powinno! Nie będzie ołowiu żałował, chociażby nawet wiedział, że tam w okopach leżą.

Ścisnął karabinek, nabił go, i nie bacząc na rój bzykający mu nad głową, wypalił raz i drugi w kierunku nieprzyjaciela.

— Co prawda, to prawda, ale drugiego takiego narodu, poćwiartowanego żywcem w kawały, zmuszonego lać krew za cudze sprawy, nie masz i nie było chyba na świecie, myślał. Srogie winy były, i sroga jest kara. Ale pokuta wnet się skończy, bo serce martwe i głuche przemówiło i poruszyło się. On jest cząstką tego polskiego serca! Tu nie idzie o to kogo bić, jak bić, ale za co! i w tem właśnie *za co,* spoczywa cały sens!

Gdyby i tamci, z przeciwka, bili się o to samo co on, to także ołowiu by nie pożałował, ale byłoby lżej, ba, radośnie nawet... Może z czasem się to odmieni, daj Bóg!

Po trzech godzinach, kiedy inne części oddziału stanęły wreszcie na jednej linji, nadszedł rozkaz znowu posunąć się naprzód. Ale teraz czekała naszych strzelców znacznie trudniejsza część przeprawy. Przed nimi bowiem leżała mokra, bagnista miejscami łąka, prawie-że gola, gdyż kule powycinały olszynki, które tam niedawno rosły. Łożysko strugi, jeno zaroslej tatarakiem i kosaćcami, dawało jakie takie schronienie od kul; tam więc zatrzymywał się każdy.

Kiedy przyszła kolej na pluton Dulęby, ten obojętnie zgasił fajkę, wytrząsnął z niej popiół, uderzając o obcas i schwyciwszy karabin, ruszył pierwszy. Kilkunastoma susami iście zajęczemi przesadził przestrzeń, dzielącą go od strugi i znikł w tataraku, uniknąwszy szczęśliwie roju kulek, które otoczyły go jak szerszenie. Jurowi zrobiło się lżej na sercu, kiedy zobaczył, że i panu Olesiowi powiodła się szczęśliwie ta przeprawa. Po studencie ruszył jakiś mały żołnierzyk. Już, już docierał do koryta strugi,

gdy wtem jedna z kul dosięgła go znać, bo zachwiał się, chwilę starał się jeszcze iść dalej, ale siły mu nie dopisały, nogi splątały się i młodzieniaszek, nie mający więcej nad dziewiętnaście lat, legł nieruchomie, na zielonej łące, wpośród żółtych jaskrów i czerwonej koniczyny.

Trup czy ranny?

Jur wlepił w tę drobną postać swój wzrok, starając się znaleźć odpowiedź na to pytanie. Ale nie zdążył, bo go kolega stojący obok trącił w bok łokciem, przypominając, że to jego kolejka teraz.

Sołtysiak sparł się w sobie. Coś go powstrzymywało w rowie; świeży przykład śmierci, czy ciężkiej rany jakoś odebrał mu ochotę naśladowania towarzyszy. Ale to wahanie trwało zaledwie jedno mgnienie oka. Jur przeżegnał się w myśli: „W imię Ojca Syna i Ducha Świętego“, i skoczył raźnie naprzód.

— Niech się dzieje co chce! Musi iść, kiedy inni idą. Niema na to rady. Komu śmierć sądzona, tego nie minie, chociażby niewiem jak się przed nią ubezpieczał i chował!

Biegnąc, słyszał wyraźnie tuż koło uszu przeciągły świst kul. Jedna z nich uderzyła go lekko w ramię tak, że ledwo, ledwo zauważył jej dotknięcie.

— Głupstwo—pomyślał sobie, i jeszcze prędzej sadził naprzód. Po chwili zadyszany, wzruszony, jak żaba runął w błotnistą wodę, tuż przy panu Olesiu, który powitał go uśmiechem.

— Oto i Mur—rzekł, widząc, że zaraz po sołtysiaku ostatni z naszej trójki znalazł się między nimi. — No, chwała Bogu!

— A cóż to? — dodał po chwili, dotykając ramienia Jura.—Trafiło cię?

— E, gdzie tam! ledwie mnie trąciło—odpowiedział Jur niefrasobliwie.

— Krew!—zawołał student.

Podniósł palec czerwony do oczu sołtysiaka, który się niemało zdziwił.

— Krew? — powtórzył, jakby o kogo innego tutaj chodziło.—Gdzie?

— Ano z ramienia twojego, Jurku!—rzekł pan Oleś.—Jesteś ranny.—Sołtysiak z kolei dotknął palcem ramienia i przekonał się, że było całe mokre od krwi, która kroplami ściekała z niewidzialnej rany.

— Et, głupstwo!—rzekł—nic mnie nie boli, drasnęło mnie znać i tyle.

Poruszył lewą ręką na próbę. Nic mu nie przeszkadzało nabić karabinek i strzelać.

— Nic poważnego, widocznie—przytaknął student.—Zazdroszczę ci Jurku,—dodał cicho.

— Czego?—zdziwił się znów sołtysiak.

Pan Oleś z nabożeństwem umaczał palec we krwi, i przyłożył go do serca.

— To twoja pierwsza krew przelana za Ojczyznę i za wolność, — rzekł poważnie. — Słowo stało się ciałem, złożyłeś dowód, żeś Jej synem nieodrodnym. Tego ci właśnie zazdroszczę, mój chłopcze.

Jur zrozumiał. Na jego twarzy zakwitł rumieniec radości. Nie odrzekł już nic, jeno ścisnął studenta za rękę. Spojrzeli sobie w oczy i uśmiech okrasił im lica. Czuli się w tej chwili obaj jednakowo szczęśliwi.

Mur namawiał kolegę, żeby się zaraz kazał opatrzeć felczerowi. Ale Jur za nic w świecie nie chciał opuścić szeregu.

— Mam czas! Nic pilnego!—odparł.—Zaczekam, aż się to skończy.

Ale bitwa zaledwie się zaczęła.

Przygotowania do mającego nastąpić ataku ciągnęły się dalej, powoli. Jeden oddział za drugim zajmował stanowiska coraz to bliższe okopów rosyjskich. Nieprzyjaciel, przeczuwając znać, że niebawem strzelcy będą go

wykurzali z nory, przywołał na pomoc potężną artylerję, która zaczęła teraz zasypywać energicznie ogniem leżących w ukryciu strzelców.

Co chwila rozlegał się wizgot nadlatującego pocisku, obłoczek biały tryskał nad głowami żołnierzy, buchał z niego płomyk czerwony, i grad kulek ołowianych sypał się z góry.

Na szczęście szrapnele nie były dobrze wycelowane: jedne rozrywały się po za stanowiskiem, inne przeciwnie za blisko, tak, iż nie wiele było ofiar. Rannych zaraz wycofywano z szeregu, i odprowadzano, jak się dało, pod ogniem, na punkt opatrunkowy.

W strudze przeleżano ze dwie godziny. Była już piąta po południu, kiedy znów zaczęto się posuwać naprzód. Od lasu dzieliła strzelców przestrzeń dwustu kroków. Zbliżała się stanowcza rozprawa. Tylko patrzeć, jak wiara miała się rzucić na Moskali z bagnetami i wypierać ich z mocnych pozycji.

— No, moje chłopaczki, żebyście mi teraz wstydu nie zrobili — przemawiał Dulęba. — Bagnety nasadzić na lufy, a jak się rozlegnie sygnał do ataku, podnieść się na nogi i walić prosto na nich. W ataku na bagnety już się nie strzela, nie ma na to czasu. Uczyliście się walki na taką broń? No wiecie! Teraz trzeba to zrobić, co wam kiedyś tam pokazywano. Hm, zaraz się przekonacie, że co innego nauka, a co innego robota. Mochy — ciężkie niedźwiedzie, ledwie się to rusza. Nasi zaś, jak widzicie, dzieciska prawie, ale za to obrotne, juchy. Zobaczycie, jak będą kąsali kacapów! Grunt w tem, żeby baczyć na ostrze moskiewskiego bagnetu. Bo jedno przegapienie, a uczujesz je między żebrami!

Zaledwie Dulęba skończył ten wykład, kiedy nadeszła przepowiadana chwila. Dano sygnał do ataku, na który Moskale odpowiedzieli wzmożonym ogniem karabinowym.

Odezwały się nawet gdzieś na bokach pozycji ustawione karabiny maszynowe: te, te, te, te! i szczekały jak psy spuszczone z łańcucha.

— Nie lubię tego, psia krew! — mruczał Dulęba. — Kulki koszą ci ludzi niczem żniwiarka pszenicę, zwłaszcza jak się dobrze przystrzelają. Taka ci maszynka za całą kompanję strzelców starczy. No, ale jak posłyszysz, że cię objęło takim ogniem, to padnij, i czołgaj się dalej po ziemi; innej rady nie masz!

Były to ostatnie przestrogi; trudno nawet było ich dosłyszeć wśród okropnego trzasku wystrzałów, które zlewały się w jeden nieustający grzmot, ogłuszający niemiłosiernie.

Jur czuł, że mu się od tego hałasu w głowie kręci. Zapomniał o skaleczeniu. Nabijał karabin i odpowiadał, na ogień nieprzyjacielski jak tylko potrafił najszybciej.

Ale wnet strzelanina się skończyła. Strzelcy z okrzykiem, zerwali się z rowu i hurmem ruszyli naprzód, z nastawionymi bagnetami. Wszczęło się istne piekło. Z góry wprawdzie szrapnele przestały padać, jakby się lękały, że w tym zamęcie będą raziły swoich, ale zato kulki bzykały jak wielki rój os, wypłoszonych nagle z gniazda i doprowadzonych do wściekłości.

Co chwila ten i ów zatoczył się jak pijany, padł na bok czy na twarz. Ale ci co obok, albo za nim szli, nie zwracali na to najmniejszej uwagi; jakiś szał ogarnął wszystkich. Biegną, pierś zadyszana rozpiera się okrzykiem, dłonie ściskają kurczowo karabin. Już niedaleko. Szeregi przerzedziły się, ale nie chwieją się. Są jak mur, którego obalić nie zdołał ten grad ołowiu i żelaza. Nagle ogień nieprzyjacielski cichnie. Z okopów wyskakują Moskale, i biegną naprzeciw nacierających, żeby uderzenie uderzeniem odeprzeć.

Ale w ich postawie nie znać już pewności siebie. Zaledwie niektórzy wysuwają się naprzód. Jur widzi pierwszy

raz w życiu tę straszną walkę pierś w pierś, słyszy zgrzyt żelaza, głuche uderzenia kolbami o czaszki, jęki rannych, przekleństwa ścierających się wojowników. Strzelcy jak muchy uwijają się wokół kacapów, zręcznie odbijając wymierzone sobie ciosy i zadając pchnięcia. Czuje jednak, że nie sprosta w tem starciu, ramię bowiem zaczyna go boleć. Przyklęka więc i zmierza z karabina na odległość kilkunastu kroków zaledwie do olbrzymiego Rosjanina, którzy zamierzywszy się karabinem, jak maczugą, gotował się rozbić głowę Murowi. Moskal padł po strzale jak kłoda, a Mur biegnie dalej, szukając nowego przeciwnika... Pan Oleś, także mało ufając znać swojej zręczności, strzela do tych, którzy znajdują się najbliżej. Dulęba za to znajduje się w swoim żywiole. Skacze, jak wróbel, dokoła wysokiego piechura rosyjskiego, który daremnie się przed nim opędza. Ostrza bagnetów skrzyżowały się ze sobą, ale stal Dulęby ominęła zręcznie zasłonę i zatonęła w żywem ciele. Kacap z przekleństwem przewraca się pod nogi kapralowi, który obojętnie przyskakuje do nowej ofiary.

Ale walka ta nie trwa długo. Moskale zaczynają się mieszać, cofają się coraz liczniej. Nagle jakby wiatr przeszedł po nich. Jedni uciekają, rzucając broń, inni podnoszą obie ręce do góry, na znak, że się poddają. Jur zbliża się do trzech Moskali, którzy stoją przed nim w kornej, niewolniczej postawie. Jeden klęka: — Prosti prosti! — krzyczy.

Jest takich coraz więcej. Strzelcy biegną dalej; już wpadli do nieprzyjacielskich okopów i zajmują je z tryumfem. Czerń rosyjska znika między drzewami lasu, część pozostaje, obojętna na wszystko, pragnąca jeno zachować życie.

Zwycięstwo! Strzelcy odprowadzają na tyły wziętych do niewoli kacapów. Dulęba sam jeden wiedzie pięciu chłopów, z których każdy o głowę odeń wyższy. Powiązał ich cienkim sznurkiem i pogania z tyłu. Mur naśladuje

kaprala. Jur stoi wpośród kul, które nie przestają bzykać w powietrzu, i patrzy na to widowisko, które po raz pierwszy ma sposobność podziwiać.

Bitwa skończona. Silny oddział moskiewski, siedzący w okopach pod lasem, nie wytrzymawszy ataku, poprowadzonego z niebywałą energją przez strzelców, cofnął się, oddając swoje stanowiska.

Sołtysiak, znużony, siada na ziemi zroszonej świeżą krwią. Ramię dokucza mu teraz wyraźnie, kiedy zapał walki już mija. Koło niego przechodzi sanitarjusz z czerwonym krzyżem na ramieniu. Kurek kiwa nań, żeby się zbliżył. Pokazuje ramię. Felczer ogląda ranę uważnie i uśmiecha się lekceważąco.

— Nic wielkiego! Kulka karabinowa przeszła na wylot przez mięśnie, nie naruszywszy na szczęście kości. Zgoi się za kilka dni!

Kładzie opatrunek, i oddala się.

Jur jest dumny. Złożył pierwszą ofiarę z krwi, ale zachował zdolność do dalszej walki, o co mu w tej chwili najbardziej idzie.

ROZDZIAŁ IX.

Jak to na wojence.

Dla Jura i jego towarzyszy rozpoczęło się całkiem nowe życie, nieskończenie piękniejsze i pełniejsze, niż to jakie dotąd wszyscy prowadzili,—życie żołnierskie, pełne przygód i niewygód.

Otrzymawszy krwawy chrzest w pierwszej bitwie, w której tak niespodziewanie nasza trójka wzięła udział, Jur, chociaż ranny, nie opuścił bynajmniej szeregów. Był silny, więc skaleczenie chociaż bolesne nie potrafiło go na łóżko szpitalne zwalić. Miał trochę gorączki, ale nic sobie z tego nie robił, pełnił dalej służbę w plutonie Dulęby,

ten zaś po owym dniu krwawym nabrał widocznie szacunku dla „rekrutów“, którzy się tak dzielnie spisywali od samego początku.

Zaznajomił ich ze starymi żołnierzami, to jest z takimi, którzy jeszcze przed wojną należeli do organizacji strzeleckich i wojowali od szóstego sierpnia począwszy.

W kompanji przeważali mieszkańcy Królestwa Polskiego, chociaż nie brakowało i Galicjan rodowitych. Z małymi wyjątkami byli to mieszczanie, ludzie wykształceni, chociaż nie brakowało i synów ludu, takich, jak Jur.

Wszystkie stany, wszystkie profesje walczyły tutaj pod jednym sztandarem za sprawę wolności dla wspólnej Ojczyzny.

Wszyscy czuli się równi, a niczem nie zamącona zgoda panowała w szeregach ochotniczych. Kompanją dowodził młody warszawiak, do niedawna student i kolega ze szkoły wyższej pana Olesia.

Jur i jego dwaj towarzysze czuli się teraz w swoim żywiole.

Nazajutrz po owej pierwszej bitwie wydano rozkaz utrzymania łączności z nieprzyjacielem, który wyparty z mocnych stanowisk pod lasem, cofał się w kierunku północno-wschodnim, osłaniając się strażami tylnemi. Jur niebawem zapoznał się z ułanami polskimi, którzy deptali, jak to się mówi, Moskalom po piętach; strzelcy, krocząc naprzód, ciągle słyszeli odgłosy potyczek. Nie było dnia, żeby ułani nie przyprowadzili kilku, a nawet kilkunastu jeńców rosyjskich. Moskale cofali się tak przez kilkanaście wiorst, ale potem zatrzymali się na nowych, zawczasu obranych i doskonale umocnionych pozycjach. Sądzili, że ich stamtąd nic nie ruszy. Otrzymali przytem posiłki i gotowali się do zaczepki.

Strzelcy zatrzymali się także.

Kazano im okopać się, Jur i jego koledzy wzięli się

tedy do łopatek i pracowali gorliwie, sypiąc wały, schroniska przed granatami, podejścia i rowy przechodnie.

Nie była to przyjemna robota, zwłaszcza, że deszcz zaczął padać i oziębiło się; trzeba było nocować nieraz o głodzie w rowie, gdzie po kostki stała woda, a w dzień pracować pod ogniem artylerji nieprzyjacielskiej, która przeszkadzała strzelcom.

Nie byli oni teraz sami; połączyła się z nimi znaczna siła wojskowa austrjacka; zanosiło się tedy na większe bitwy. Początek wojny minął i zbliżały się walne rozprawy, w których miały brać udział nie bataljony i kompanje, ale całe korpusy i armje.

Wielkie siły austrjackie ciągnęły w Lubelskie z jednej strony, w Kieleckie z drugiej. Na wszystkich traktach tłoczyło się wojsko i tabory. Jur miał sposobność widzieć i Niemców i Węgrów i Czechów, słowem, najróżnorodniejsze pułki. Między temi potężnemi siłami wielkiego państwa garsteczka strzelców utonęła jak igła w sianie, ale ta igła miała nieraz, i to bardzo boleśnie, ukłuć nieprzyjaciela.

Pewnego wieczoru kapral Dulęba, który miał w szczególniejszej łasce Sołtysiaka i lubił z nim gawędzić, bo jak się niebawem pokazało, pochodzili obaj z jednej okolicy, oznajmił nowinę, która bardzo zainteresowała naszego chłopca.

— Pokazaliśmy Mochom, jak się idzie do ataku — mówił podoficer, siadając przy ognisku Jura, ażeby wypalić otrzymane od Mura cygaro — teraz musimy im pokazać, że się także umiemy bronić. Na jutro, jak mi powiedział naczelnik patrolu, który tylko co wrócił z wywiadów, kacapy szykują się uderzyć na nas o samym świcie. Musicie się moje chłopaczki przygotować należycie na to święto. Opatrzcie dobrze broń, postarajcie się zjeść na zapas co się da, wyśpijcie się grzecznie, żebyście potem nie ziewali, jak granaty zaczną bić w okopy.

Dobrze się trzymać i kompanji wstydu nie zrobić. Kacapy nieźle strzelają, armat im nie brak, więc z początku będzie gorącawo. Nie byliście jeszcze w dobrym ogniu armatnim, więc nie wiecie, jak to smakuje.

— Możecie obywatelu, być o nas spokojni — odparł Mur, którego te napomnienia cokolwiek uraziły. — Przekonacie się, żeśmy nie gorsi od innych. A prochu to już powąchaliśmy nawet armatniego razem przecie, no i nie tchórze z nas, śmiem to powiedzieć za siebie i za moich towarzyszy.

— No, dobrze już dobrze, pochwalicie się jutro czynem, nie językiem — odparł Dulęba. — Bo to widzicie, łatwiej się bić na bagnety, niż tak bezczynnie, papierosy kopcąc, wysiedzieć w okopie, kiedy do niego zaczną naprawdę walić. Czekasz, aż cię jaka kulka albo odłamek trafi, i czasami nudzisz się, śmierci wyglądając. Wtedy karty jedyne zbawienie. A macież chociażby jednę talję?

— Nie mamy! — odrzekł Jur. — W karty nigdy nie grałem.

— Nauczysz się, bratku, w okopach, nauczysz — mruknął Dulęba.

— No to już ja dotrzymam wam kapralu kompanji — odezwał się ze śmiechem pan Oleś — mam setkę papierosów do przegrania, na parę dni starczy.

— Właśnie o papierosy najuczciwiej grać w okopach, gdzie nic nie kupisz, chociażbyś miał pełne kieszenie srebrnych rubli albo guldenów austrjackich — rzekł zadowolony kapral, — No, w takim razie pilnujcie się, żebym ich wam wnet nie zabrał.

Podczas tej rozmowy nadjechały pod pozycję kuchnie. Wszyscy poszli z menażkami po obiad, spóźniony o całe dwanaście godzin. Kucharze przez cały dzień boży siedzieli w lesie, nie śmiejąc się wychylić, bo Moskale gęsto zaraz do nich strzelali. Żołnierze byli głodni, jak wilki i rzucili się łakomie na posiłek.

Codzienna porcja rumu rozweselila Dulębę, który do samego północka opowiadał nowym towarzyszom swoje przygody wojenne z ostatnich paru tygodni.

W schronieniu od granatów zgromadziło się kilkunastu strzelców, którzy się ciekawie temu przysłuchiwali.

Okazało się, że choć wojna trwała zaledwie miesiąc i coś dni, kapral doświadczył już siła, a głównie na wywiadach, które najbardziej lubił.

Kiedy jednak nadszedł północek, pogawędce musiano kres położyć, bo do świtu brakowalo kilka godzin zaledwie, a miano budzić wcześnie.

Wnet się okazało, że pogłoski, o mającym nastąpić ataku, były zupełnie prawdziwe.

Zaledwie bowiem pierwsze promienie słońca wyjrzały z za lasu, pod którym teraz znajdowały się pozycje wojska austrjackiego, gdy ze wzgórzy przez Rosjan zajętych odezwała się najprzód jedna baterja, potem zagrało ich kilka równocześnie.

Żołnierze byli już gotowi. Zjadłszy po kawałku chleba, który popili czarną cieczą, noszącą urzędowy tytuł „kawy“, leżeli w okopach, starając się wypatrzeć, co się dzieje u nieprzyjaciela. Ogień artylerji wzmagał się z każdą chwilą. Białe obłoczki wybuchających szrapneli zakwitły po nad okopami strzelców, wzdłuż linji czarnego lasu. Pomiędzy temi pociskami, jak się niebawem przekonano, znajdowały się także granaty. Kilka z nich uderzyło w wał, zabezpieczający od czoła wojska i dlatego zwany przedpiersnikiem, wybuchły z głuchym łoskotem i wyrzuciły każdy w górę tuman ziemi, pozostawiając po sobie dziurę lejkowatą, średnicy z półtora łokcia. Dulęba zaczął zaraz swoje wykpinki.

— Widzisz ich, jacy grzeczni, śniadanie nam zjeść pozwolili, i teraz dopiero, kiedy już siedzimy, jak u Pana Boga za piecem, przypomnieli sobie, że to szturm ma być dziś prowadzony. Musieli ich tam popi

dobrze na śmierć przygotować, bo pewnikiem połowa nocy nie doczeka, jeżeli się na nas pójść odważą.

Dulęba mówił poważnie tak, że się śmiać nikt nie mógł. Ten człowiek, jak się pokazało, z niczego sobie nic nie robił; dobry humor nie opuszczał go nawet podczas bitwy najkrwawszej. Dodawał w ten sposób ducha swoim towarzyszom.

Rosjanie, którzy, jak wiadomo zajmowali wzgórza, mieli wielce ułatwione ostrzeliwanie pozycji strzelców, położonych nizko. To też ich ogień niebawem zaczął dawać się we znaki.

Odłamek granatu zranił najprzód jednego, potem dwóch ludzi. Niezależnie od tego kulki szrapnelowe, sypiące się z góry, trafiły kilku nieostrożnie wychylających się z po za wału dla posłania nieprzyjacielowi paru kulek z karabinu w odpowiedzi na setki pocisków.

— Gorączkę trza w sobie pomiarkować do czasu — prawił Dulęba — karabin przeciwko armacie, to jak ta śpiewka, „dla mnie szabla tobie kij, teraz-że się ze mną bij“! A juści! Wolę poczekać, aż mochy do mnie przyjdą, żeby z nimi pogadać uczciwie. Będą ci tak pukali parę godzin, a potem zacznie się taniec z blizka. Wtedy my im pokażemy, że jeszcze żyjemy i strzelać potrafimy także, a jakże!

Strzelcy, około których stał z prawej strony pułk węgierski, musieli więc bezczynnie przeczekać tę ulewę żelaza, jaka na nich leciała z góry. Było to właśnie, co według kaprala Dulęby, jest najtrudniejsze dla każdego młodego żołnierza do przetrwania: siedzieć bezczynnie i czekać, czy cię śmierć nie ruszy.

Nasi trzej strzelcy po raz pierwszy znajdowali się w takiem położeniu, i trzeba przyznać, nie czuli się zbyt raźnie.

Ponury, podobny do jęku długi poświst kul armatnich, przelatujących nad głowami szrapneli, które biły w gę-

stwinę leśną, trzask konarów oderwanych odłamkami z sosen, była to muzyka nad wyraz dokuczliwa dla nienawykłych do niej nerwów. Ilekroć jakiś źle wymierzony pocisk zawył po nad okopem, młodzi żołnierze nie mogli się powstrzymać, żeby nie nachylić głowy, co wywoływało znów drwinki i przycinki ze strony ostrzelanych już kolegów.

— A schowaj-że nos głębiej w ziemię, żeby ci go nie utrąciło! — radził poważnie Dulęba, zapalając fajkę.

Ale po dobrych paru godzinach nasza trójka rzadziej kłaniała się kulom, aby dopiero po kilku potyczkach zupełnie zaniechać tych powitań.

Po za stanowiskami czołowemi leżały rezerwy w rowach, gotując się podejść bliżej i poprzeć towarzyszy w stanowczej chwili, która zbliżała się znać, bo ogień był coraz gęściejszy.

Oficerowie ze szkłami przy oczach, wychylając się od czasu do czasu badali, co się dzieje u nieprzyjaciela. Nie wiele jednak można było dostrzedz wśród kurzawy i dymu.

Koło południa z rowów moskiewskich ukazały się czarne linje nieprzyjacielskiej piechoty, szykującej się do szturmu.

Natychmiast działa austrjackie zaczęły bić w tę masę celnemi pociskami, które robiły w ciżbie okropne szczerby.

Ale ten straszliwy ogień armatni nie zdołał zachwiać szeregów rosyjskich. W słońcu błysnęły bagnety, długi wąż najeżył grzbiet w stalowe kolce.

Wyczekiwana chwila nadchodziła. Strzelcy na komendę powychodzili ze schronisk, gdzie dotąd siedzieli i pozajmowali swoje miejsca w okopie.

Armaty ustąpiły głosu karabinom, których trzask zagłuszył nawet wybuchy szrapneli. Ogień, z początku rzadki, nabierał siły w miarę tego, jak szeregi piechoty rosyjskiej zbliżały się.

Oficerowie, nic sobie nie robiąc z gradu pocisków, spacerowali wzdłuż okopów, zachęcając żołnierzy i dodając im ducha.

— Oszczędzać amunicji! Strzelać z blizka i tylko napewno! mierzyć dobrze i z zimną krwią! — rozlegały się ich głosy.

Dulęba miał sobie za obowiązek także przemówić do swojego plutonu.

— Nie zapomnij nastawić wizjera, kapcanie jeden — prawił, nie wyjmując z gęby fajeczki. — Patrz, żeby ci piachem zamka nie zawaliło, bo go potem nie otworzysz, chyba nogą! Celuj w sam łeb, bo to najpewniejsze! Czekaj, aż się zbliżą na trzysta kroków, żeby kul nie marnować po próżnicy. Pamiętaj, że ci się każda potem może przydać.

Zatrzymał się przy naszej trójce i pilnował, żeby jego rekruci dokładnie spełniali te wszystkie rady. Panu Olesiowi pokazał, jak przyciskać do ramienia kolbę karabina, żeby nie zabolało, Jurowi położył kilka paczek ładunków, widząc, że dobrze strzela, Mura pochwalił za zimną krew. Był ze swych rekrutów zadowolony, śmiał się do nich przyjaźnie.

— No wiara, pokażcie im, że warszawiaki, to nie żadna hołota, żeście do tańca i do różańca! Że Polak nie potrzebuje się uczyć długo, aby dobrym żołnierzem zostać!

Mówiąc to wszystko, zachował się tak, jakby nie był w bitwie, ale gawędził przy ognisku i przy kieliszku.

Zdawało się, że jest zupełnie obojętny na kule, które świstały mu koło uszu. Robił swoje, jakgdyby śmierć nie miała do niego dostępu.

Tymczasem Rosjanie, podobnie jak niedawno strzelcy w ataku, zbliżali się łańcuchem. Kładli się na ziemi, korzystając z różnych nierówności gruntu dla ochrony przed nawałą pocisków, która się na nich sypała. Podnosili się plutonami, czy po kilkunastu, przebiegali ze sto

albo pięćdziesiąt kroków i znowu padali. Odległość między walczącymi zmniejszała się szybko.

Strzelcy nie żałowali nabojów. Ogień karabinowy stawał się coraz skuteczniejszy. Co chwila można było widzieć z okopów, jak ten i ów Rosjanin przewracał się, żeby się więcej nie podnieść. Ranni i trupy znaczyły drogę przebywaną przez szeregi nieprzyjacielskie. Pole wyglądało jak pocentkowane szaremi kreskami. Pomimo jednak wielkich strat, Rosjanie szli ciągle naprzód.

Do karabinów zwyczajnych przyłączyły się i maszynowe, które miarowym trajkotaniem dawały znać, że kładą ludzką trawę w krwawym pokosie. Skoro tylko taki karabin dobrze wymierzony rozpoczął swoją robotę, w szeregu nieprzyjacielskim powstawała wielka szczerba.

Jur strzelał bez przerwy, starając się zachować równowagę ducha. Mimowoli jednak ogarniała go gorączka, serce biło mu coraz żywiej, na twarz wystąpiły ceglaste rumieńce, oczy błyszczały jak rozżarzone węgle. Zapalał się, budził się w nim drapieżny wilk, pałający żądzą rzucenia się w stado owiec.

Pan Oleś strzelał poważnie, nie śpiesząc się, celując jak do tarczy, naśladując starych żołnierzy. Mur, któremu jakaś kulka przeszyła czapkę i wyrwała garść włosów z bujnej czupryny, miał wykrzywioną twarz, jak jaki potępieniec. Nabijał karabin, i niezważając na niebezpieczeństwo, wychylał się z okopu, żeby łatwiej celować w zbite szeregi, które znajdowały się już nie więcej jak na trzysta kroków od pozycji.

— W nich, w mochów, za naszą Polskę, co nam ją ukradli, a teraz nie chcą oddać!—zachęcał Dulęba.— Oddajesz Polskę kacapie? Nie!? Nie żałuj-że nabojów!

Chodził od żołnierza do żołnierza, i podawał im świeże pałunki na miejsce wystrzelanych. Sam od czasu do czasu, nie mogąc wytrzymać, przykładał broń do ramie-

nia i posyłał któremu „mochowi“ celny pocisk, który rzadko kiedy chybiał.

— Nakryłeś się nogami, a widzisz? Po coś tu przyszedł! — mówił urągliwie. Albo: — A co? nie smakuje ci polski ołów, kacapie? No, może ci jeszcze dołożyć, hę?

Bitwa stawała się coraz bardziej zaciekła. Rosjanie gęstemi kolumnami parli naprzód, nie zwracając uwagi na straty okropne. Jur doznawał dziwnego, przykrego, a zarazem przyjemnego uczucia, paląc w gęsty tłum nieprzyjaciół. Czuł, że nie jedna z jego kul trafiła do żywego celu, dostrzegł nawet wyraźnie jak paru żołnierzy, do których zmierzył, przewróciło się i leżało nieruchomie.

Tak, to nie był sen, ale zjawa najoczywistsza. Walczył za Polskę, zabijał, zadawał rany, odpierał ten żywy mur, który groził strzelcom zgnieceniem.

Posuwał się on chwiejąc, już znajdował się o sto kroków, przed samemi zasiekami drucianemi, i tutaj się zatrzymał.

Żołnierze bili kolbami karabinów, usiłując zniszczyć przeszkodę, która nie pozwalała im posuwać się naprzód. Stali, siekani niemiłosiernie gradem ołowiu. Jedni padali, inni po ich ciałach szli dalej, ażeby z kolei paść o kilkanaście kroków bliżej okopu, bronionego z niesłychaną zaciekłością.

Na domiar klęski odezwały się świeżo sprowadzone dwa karabiny maszynowe, które z dobrego ukrycia raziły istnym gradem atakujące ćmy. Pod tem nowem uderzeniem mur żywy zachwiał się, zaczął się cofać, mieszać. Żołnierze kładli się na ziemię, ażeby uniknąć zabójczego gradu ołowiu. Rozpoczęła się bezładna ucieczka. Ratował życie, kto mógł. Wielu z podniesionemi rękami błagało o pardon, ale kule siekły dalej bez wytchnienia.

Atak dokonany przeważającemi siłami, załamywał się w oczach obrońców. Żywy mur przewrócony, zniszczony niemal doszczętnie, walił się w gruzy.

Dzika radość opanowała obrońców. Zdwoili ogień, żeby zadać jaknajwiększe straty wrogowi. Za to artylerja rosyjska, jakby chcąc pomścić pogrom swoich, zasypywać znów zaczęła okop salwami, które waliły w las, kładąc pokotem stare sosny, ścinały krzaki. Echo tego łomotu rozlegało się daleko, powiększając jeszcze grozę bitwy. Nareszcie tłumy, nacierające z taką pogardą życia, zniknęły w swoich okopach, skąd niedawno wyszły pewne zwycięstwa.

Bitwa skończyła się. Strzelcy ocierali pot z czoła, leżeli znużeni śmiertelnie tem napięciem nerwów i kośbą śmiertelną.

Wpośród grzmotu pękających wciąż pocisków rozlegały się jęki rannych.

Obrona bowiem także poniosła dotkliwe straty.

Obok Jura padł, jak piorunem rażony, strzelec, otrzymawszy kulę karabinową w sam środek czoła. Z wielkiej jak pięść dziury ciekła krew pomieszana z mózgiem.

Dalej nieco wił się w boleściach inny strzelec, któremu odłam granatu oberwał nogę powyżej kolana.

W okopach krew; na przedpolu i dalej setki trupów i rannych, wołających ratunku. Okopy i ten pełen grozy niewysłowionej obraz wywarł niezatarte wrażenie na naszej trójce.

Wszyscy milczeli, nie mogąc przemówić. Jeden tylko Dulęba nic sobie z tego strasznego widoku nie robił.

— No—rzekł klepiąc Jura po ramieniu—spisałeś się nieźle braciszku, widać żeś żołnierz od kolebki. Nie marnowałeś prochu. Sam zauważyłem, jak paru kacapów, do których wymierzyłeś nakryło się nogami! I ty, panie studencie, nie potrzebujesz się wstydzić. Jeszcze parę takich bitew, a wykierujecie się na żołnierzy, jak się patrzy. Zaraz zameldują o was kapitanowi. Niech wie, że mu nie sprowadziłem żadnych niedołęgów!

— A pan, panie Mur, każ się zaraz ogolić, bo nie-

zbyt ładnie wyglądasz z tą bruzdą w czuprynie. Podziękuj Bogu, że się na tem skończyło. Dwa cale niżej, a wyglądałbyś tak oto, jak ten nieborak—dodał wskazując na trupa z rozwaloną czaszką.—Dobry to był kolega, świeć Panie nad jego duszą. Ponieśliśmy straty bolesne, jak to miarkuję—ale też kacapom zadaliśmy bobu? Nie prędko teraz na nas się połakomią. Dostali cięgi, co się zowie.

Tak więc w ciągu kilku dni po zjawieniu się w szeregach strzeleckich nasza trójka dwa razy znajdowała się w ogniu.

Był to jednak dopiero początek.

Bataljon dwa dni zaledwie kosztował spoczynku, bo Moskale, otrzymawszy posiłki, znowu rozpoczęli harce.

Jur czuł się szczęśliwy. Teraz miał to, co mu było potrzebne do życia; walczył o rzecz piękną, wzniosłą, i z pogardą niemal myślał o tych wszystkich, którzy woleli spokój w zagrodzie, obrożę w niewoli, niż ten wrzątek, który go teraz oblał gorącą falą.

Wieczorem przy ognisku, strzelcy zaczęli śpiewać narodowe pieśni, których echo dolatywało aż do okopów rosyjskich. Jur złączył swój nieuczony, ale potężny głos z ogólnym chórem.

„Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy".

ROZDZIAŁ X.

Nocna przygoda.

Na wojnie, tak jak w życiu, smutne chwile mieszają się z wesołemi. Po krwawych walkach nastąpił szereg dni, w których nasi wojacy naśmiali się i nabawili do syta.

Okazało się najprzód, że Dulęba był, jak to powiadnją, chłop do tańca i do różańca, i do bitki i do wypitki jednako skory i zdatny.

Wieczorami przyjmował swoich gości w „mysiej no-

rze“ tak bowiem nazwał ziemiankę, w której stale przebywał w godzinach wolnych od obowiązków służbowych.

„Mysia nora“, albo „mysi pałacyk“ była to przestrzeń, mierząca co najwyżej trzy kroki na długość, dwa na głębokość a dostatecznie wysoka, aby człowiek dobrego wzrostu mógł w niej siedzieć na ziemi, nie dotykając głową wilgotnego pułapu.

Sprzęty w „mysiej norze“ nie były wymyślne; na ziemi leżały dwa zdobyte szynele moskiewskie, zastępujące podłogę; ściany były wyłożone deskami i żerdziami; poprzylepiano na nich dla ozdoby obrazki powycinane z gazet i maleńki wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej przed którym pan kapral I-ej brygady tego a tego pułku, tej a tej kompanji rano i wieczorem zwykł był odmawiać pacierze. Pod nim wisiał starannie utrzymany karabin, plecak i w nim wojskowe przynależytości. Zamiast krzeseł służyły stare kosze od przechowywania dużych szrapneli, albo poprostu pęczki siana, które w nocy zastępowały poduszki i materace.

Pomimo ciasnoty, panował tu porządek i czystość, ma się rozumieć na miarę wojenną.

Codziennie, po capstrzyku, w mysiej norze zgromadzali się ulubieńcy i przyjaciele kaprala Dulęby na pogawędkę. Tu społem wypijano „krupniczek“, sporządzany z dziennej porcji rumu, a kiedy języki, strudzone rozmową lub sparaliżowane obfitym użyciem „krupniczku“, plątały się zbytnio, zasiadano do gry w stare, brudne, połamane od częstego użycia karty.

Dulęba lubił zabawę „w obrazki“ jak nazywał zwykle karty. Z początku grano o pieniądze, ale z końcem miesiąca, kiedy wszystkie „blaszki“ i papierki poprzenosiły się do kieszeni przekupniów, zjawiły się, zamiast gotówki, niezmiernie wysoko cenione i poszukiwane papierosy, a nawet szczypty machorki do fajki. Jeszcze później grano o różne, niezbędne w życiu żołnierskiem rzeczy,

takie jak kawałki cukru, zapałki, pocztówki, mydło a w braku czegoś wartościowego o guziki, rzemyki, igły i t. p.

Dulęba tracił humor, jeżeli karta mu nie szła, ale zato stawał się aniołem, jeżeli mu szczęście dopisało i na gazecie, która zastępowała stół, leżały „uczciwie zdobyte“ papierosy, albo i kupka groszy. Wówczas stawał się gościnny, wspaniałomyślny. Z wygranych pieniędzy posyłał pierwszego lepszego z brzega do kantyny po biały chleb, po piwo, po kawał kiełbasy albo po jaki inny smakołyk i wyprawiał ucztę, co się zowie. Częstował wszystkich swoich gości, żartował, dowcipkował i mysia nora rozbrzmiewała śmiechem.

Jeżeli jednak zgrał się, milczał jak grób, naciągał płaszcz i z kątka ziemianki puszczał od czasu do czasu zjadliwe uwagi w kierunku graczy. Znali go z tego, więc nikt się nie obrażał, choć usłyszał przezwiska w rodzaju: „drapichrust“, „kapcon“, fujarka“, „psi ogon“, albo jeszcze co gorszego.

Te wieczorynki u Dulęby były jedyną wczasie pobytu w okopach rozrywką naszej trójki. Urozmaicały je śpiewy chóralne albo gra na harmonijce. Ciągnęły się one nieraz późno w noc, poczem goście rozchodzili się każdy do siebie, owijali się w płaszcze i kładli na gołej i zwykle wilgotnej ziemi do snu, przerywanego często grzechotem dział moskiewskich, i pęknięciem jakiego granatu.

Pozycje strzelców znajdowały się teraz w szczerem polu, na zboczu pasma wzgórzy, o paręset co najwyżej kroków od rowów moskiewskich, gęsto obsadzonych przez nieprzyjcielską piechotę.

Skoro świt, rozpoczynała się muzyka artylerji, z którą żołnierze tak się oswoili, że było im dziwnie i nieswojo, jeżeli kiedy nie odezwała się w zwykłej porze; armaty austrjackie nie były dłużne; wnet odpowiadały tamtym i tak z krótką obiadową przerwą grzmot ten ryczał sobie aż do nocy, dzień po dniu, od tygodnia. Oczekiwano

nadejścia posiłków i nowej bitwy, ale jakoś dzień za dniem mijał, a żadna zmiana nie zachodziła. Przeciwnicy patrzyli sobie oko w oko, oczekując chwili, kiedy znów będą mogli schwycić się za bary.

Z każdej kompanji wybrano kilkunastu najcelniejszych strzelców, którzy z palcem na cynglu stali u strzelnic i bystrym wzrokiem śledzili każdy ruch w nieprzyjacielskich okopach.

Niechno tylko jaki Moskal wytknął głowę, lub rękę z poza wału, natychmiast oko przyłożone do broni zadrgało radośnie, muszka siadała na celu, palec pociskał cyngiel, i padał strzał, okrutnie niechybny.

— Jednego wroga mniej!

Tygrys-człowiek nabijał powtórnie broń i czekał godzinami cierpliwie bez ruchu na nową zdobycz dla swojej kuli.

Najprzód sołtysiak, a potem za jego przykładem pan Oleś, zaprawili się do tego polowania na nieostrożnych, lub lekkomyślnych kacapów.

Była to praktyczna nauka strzelania na odległość dwustu do trzystu kroków, bo taka niewielka odległość dzieliła z początku pozycje obu oddziałów.

To siedzenie w okopach ciągnęło się przez tydzień, czy dziesięć dni; poczem Moskale, naciśnięci gdzieś w pobliżu przez inne austrjackie oddziały, cofnęli się na nowe „lepsze“ stanowiska w nocy, kiedy nasi strzelcy jaknajmniej się tego spodziewali.

Nazajutrz przyszedł rozkaz iść naprzód. Rozstano się więc, nie bez pewnego żalu z „mysią norą“, z wieczorynkami; ale Dulęba pocieszał swoich towarzyszy, że na pierwszym dłuższym postoju zbuduje nową „ziemiankę“— istny pałac, i tam będzie urządzał królewskie przyjęcia. Niechno tylko będzie tytuń, wódka, trochę groszy na kiełbasę, a na resztę napluć! to było jego ulubione wyraże-

nie. Tymczasem jednak trzeba było maszerować na deszczu i chłodzie, który we wrześniu poczynał się już dawać we znaki, zwłaszcza na biwakach, kiedy zabroniono rozpalać ogniska z powodu bliskości nieprzyjaciela. Po paru dniach następowania na tyły cofającym się Moskalom, czemu towarzyszyły ciągłe utarczki, oddział zatrzymał się w zniszczonej przez wroga wiosce. Na gorących jeszcze zgliszczach żołnierze piekli kartofle w popiele, grzeli się przy tlejących jeszcze głowniach i zanocowali całym plutonem w jakimś nawpół zburzonym przez szrapnele budynku gospodarskim.

Zaledwie jednak ułożono się wygodnie do snu, kiedy ze sztabu bataljonu przyszedł rozkaz, że z plutonu Dulęby ma sześciu ludzi iść na wywiady.

Kapral zerwał się na równe nogi ze swego legowiska.

— Na wywiady?!—zawołał radośnie.—W to mi graj! Dawno już myślałem sobie, jakby to pięknie było znów odwiedzieć nocką braci-słowian — bodaj ich sam lucyper smażył w gorącej smole. No, chłopcy, gratka jest! Kto ze mną pójdzie?

— Jużeście, obywatelu Dulębo, zapomnieli o tej nocy, cośmy to was z pod stryczka kacapom wyrwali?—odezwał się pan Oleś z uśmiechem. — Pilno wam znowu w jakie tarapaty wlecieć?

— Już! — machnął ręką z lekceważeniem kapral; — wielka mi rzecz! W gorszych obrotach człek bywał i jakoś zawsze przy pomocy Boskiej ze wszystkiego się wykręcił cało. A co się kacapów w tych nocnych podchodach natłukło, a co się zacnej zdobyczy naprzynosiło!

Kapral mlasnął językiem.

— Wódki doskonałej, tytoniu delikatnie krajanego, mięsiwa, nigdy wówczas nie zbrakło. Jednem słowem wywiady, to cacana rzecz i niech Pan Bóg da zdrowie przez całą wojnę naszemu komendatowi bataljonowemu, że wła-

śnie z naszej kompanji wyznaczył wywiadowców, a naszemu kapitanowi, że nie zapomniał o plutonie Dulęby, kapralu I-ej brygady.

— No chłopcy, który tam?

Jur podniósł się pierwszy.

— Ja pójdę!—rzekł.

— I ja!

— Ja też nie zostanę!

— No to i mnie dopiszcie!

Strzelcy jeden przez drugiego pchali się w skład patrolu; wnet był już nadmiar ochotnika.

Pan Mur także miał zamiar, ale Dulęba nie chciał go zabrać.

— Mam dość na teraz! Kiedyindziej was wezmę. Teraz Jur pójdzie! Spodziewam się, że się dobrze, chłopie, spiszesz! — dodał, klepiąc po ramieniu sołtysiaka! — No, opatrzeć i przekąsić, co pod ręką się znajdzie i w drogę.

Patrol, złożony z sześciu ludzi, wnet był gotów.

Dulęba zrobił krótki przegląd rynsztunku, potem objaśnił cel wywiadu towarzyszom.

— Trza podejść, jak wiecie, cicho pod same pozycje, wypatrzeć, co się da, a głównie dostać języka. To grunt! mówił.

Mała grupka strzelców, przeznaczona przez kaprala Dulębę, wyruszyła w drogę o samym północku, korzystając z głębokich ciemności. Zadanie patrolu polegało głównie na tem, żeby jaknajdokładniej zbadać pozycję Moskali, ciągnącą się od północy ku południowi, wzdłuż lesistego pasma wzgórz.

W tym celu Dulęba miał zamiar dokonać niezmiernie zuchwałego zamiaru. Oto schwytać jaką wysuniętą na przednie linję placówkę nieprzyjacielską, przywdziać mundur moskiewski, wleźć do okopów chyłkiem, wyszpiegować, co się da, potem cichaczem wrócić do swoich.

— No, a jakże tam z rosyjskim językiem? — zagadnął pan Oleś kaprala.—Znacie go dobrze?

— Przecież do moskiewskiej szkoły w Warszawie chodziłem, gdzie mnie nieraz do kozy za kiepskie udareńja sadzali i „Boże cara chrani“ śpiewać kazali. Pamiętam ci dobrze tę początkową szkółkę, która mnie nauczyła od serca nienawidzić Moskali. Gdyby nie te prześladowania, zostałbym ot takim sobie Polaczkiem, ani zimnym, ani gorącym—ciepłym kluskiem,—niezdolnym walczyć za Ojczyznę — siedziałbym gdzie za piecem—i chleb moskiewski gryzł pocichu. Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Rózgą na ławie albo linją na spuchniętej dłoni wypisywali mi polskie przykazania. Teraz wiem jedno: bić Moskali, póki Polski nie oddadzą i o niczem innem nie chcę dziś słyszeć. Owóż tedy kacapi mnie za swojego wezmą, a w najgorszym razie za Polaka „towaryszcza“.

— Znowu, jak widzę, obywatelu kapralu, w stryk szyję wtykasz—zaśmiał się pan Oleś.

— Nic to! wywinę się! — odparł wesoło Dulęba. — Wiara za mną! Patrzeć kociemi oczami, czołgać się po wężowemu, słuchać—język za zębami trzymać. Hasło: widły!

Od moskiewskich okopów dzieliła patrol przestrzeń nieduża. Rosjanie przeczuwając, że pod osłoną nocy nieprzyjaciel będzie prowadził wywiady, zapalili parę reflektorów, które swym świetlistym palcem macały wszędzie po zagłębieniach gruntu. Zadanie, skutkiem tego, stawało się podwójnie trudnem. Kapral, idący za swoimi nie więcej, jak dwieście kroków, dał rozkaz: „padnij“, gdyż smuga srebrnego światła zbliżała się i lada chwila mogła ich ogarnąć.

— Udawajcie trupów! — radził Dulęba pół głosem— onegdaj był wywiadowczy atak i trochę naszych padło w tem miejscu. Strzelcy leżeli nieruchomie kilka minut; światło ledwie ich musnęło z lekka i skoczyło dalej na okopy.

Ale odtąd czołgano się już po ziemi, nie podnosząc na nogi. Niebawem Dulęba cichym piskiem — umówiony znak — ostrzegł towarzyszów, że się znajduje nieopodal pikiety.

Moskale wyprowadzali w kierunku austrjackich pozycji zygzagowate rowy, zakończone każdy wilczym dołem. Na dnie dołu stał żołnierz z nabitym karabinem, gotów w razie zbliżenia się nieprzyjaciela ostrzedz swoich wystrzałem.

Otóż Dulęba iście psim węchem i kociem okiem odkrył takie stanowisko nieprzyjacielskie o kilka kroków zaledwie od patrolu. Wszyscy zrozumieli znaczenie pisku i zachowywali jaknajwiększą ciszę i ostrożność.

Dulęba, podpełznąwszy do Jura, szepnął mu do samego ucha:

— Jestem już przy rowie i postaram się wziąć kacapa żywcem. Jeżeliby się to nie udało, trzeba go ubić kolbą. Przygotuj chustkę do zatkania mu gęby. W razie alarmu, wleźcie do rowu i czekajcie, aż ogień karabinowy ucichnie, potem każdy niech na swoją rękę wraca, nie dbając o mnie. A teraz patrz w oba!—Sołtysiak wytrzeszczał oczy, według rozkazu i po chwili zdało mu się, że tuż niedaleko widzi lejek podobny do tego, jaki w ziemi powstaje od uderzenia ciężkiego pocisku i że z tej jamy sterczy jakby głowa ludzka.

Bał się jednak ruszyć, żeby nie obudzić czujności placówki moskiewskiej.

Właśnie namyślał się, jak sobie postąpić, gdy w tem posłyszał szamotanie się; głowa zniknęła, natomiast rozległ się w głuszy nocnej stłumiony głos Dulęby:

— Sdawajsia, a to zakaliu!

Tego tylko było potrzeba Jurowi.

Nie namyślając się dłużej, runął na dno leja i przytłoczył całym swym ciężarem kacapa, usiłującego się wydobyć z uścisków Dulęby.

Namacał Rosjaninowi gębę nawpół otwartą, z której wydobywał się sapiący oddech i wpakował w nią przygotowaną chustkę. Drugim ruchem pochwycił karabin żołnierza i odłożył na bok.

Najtrudniejsza część zadania była spełniona.

Przerażony Moskal, czując na gardle ostrze bagneta nie stawiał już oporu. Sapał tylko i mruczał.

Dulęba szybko wprowadzał w wykonanie swój zuchwały plan. Zdarł z powalonego mundur, czapkę, spodnie i buty, i w mgnieniu oka przebrał się za moskiewskiego żołnierza.

— No, ja do nich, a wy odprowadźcie kacapa i oddajcie kapitanowi. Niech go pociągnie za język, póki ja nie powrócę.

— Bierzcie się trochę na lewo i uważajcie na refektory.

Szepnąwszy to, zniknął jak mara, w ciemnościach.

Pan Oleś objął naczelnictwo patrolu.

Jur z bagnetem nastawionym pilnował jeńca, który jednak nie okazywał najmniejszej ochoty do ucieczki. Pełzał posłusznie i nie było z nim najmniejszego kłopotu.

Zaledwie jednak patrol oddalił się nieco, gdy nie spodziewanie rozległ się w pobliżu odgłos ostrożnych kroków.

Zatrzymano się dla zbadania, kto się zbliża. Niebawem jednak strzelcy przekonali się, że o kilkanaście kroków zaledwie od nich leży inny patrol, tak samo jak oni pełzający po ziemi pod przykryciem ciemności.

— Swój, czy nieprzyjaciel?

Na to pytanie nie znajdowano odpowiedzi.

Jur nadstawiał ucha w nadziei, że pochwyci jakieś słówko, z którego można będzie dowiedzieć się prawdy.

Nadaremnie jednak wytężał słuch. Tamci, snać spostrzegli się również, leżeli bowiem w głębokiem milczeniu nie ruszając się wcale.

Położenie było śmieszne i wysoce niebezpieczne zarazem.

— Podnieść się i zaatakować nagle, znaczyło to ściągnąć na siebie grad kul z pobliskich okopów. W dodatku patrol mógł być austrjacki.

— Niechże to djabli porwą! — myślał Jur ze złością. — Co czynić? czekać?

Upływała jedna minuta za drugą, a tamci również niepewni siedzieli, jak mysz pod miotłą.

Tak nie mogło być dłużej. Jur postanowił rozstrzygnąć nieznośną sytuację.

Przyszedł mu do głowy chytry podstęp.

— Udamy Moskali — rzekł do siebie.

— Ej, bratcy! — odezwał się, przykładając palec do cyngla karabinu, wycelowanego w stronę domniemanego przeciwnika. — Z jakiego pułku jesteście?

Było to wielkie ryzyko. Jeżeli bowiem patrol nie składał się z Moskali, zamiast odpowiedzi należało się spodziewać wystrzałów, albo natarcia na bagnety. Ale w tej ostateczności Jur ratował by się powiedzeniem prawdy.

Serce biło mu ze wzruszenia i niepewności.

— My z piętnastego pułku piechoty — odparł gruby głos z za krzaka olszyny.

— Masz djable duszę! — syknął Jur. — Kacapi przed nami.

— Ha trudno! trzeba brnąć dalej.

— To dobrze i my też z piętnastego pułku! — odparł po rosyjsku. — Mamy rozkaz iść na lewo i przejrzeć pozycje strzelców.

— I my także! — odpowiadał głos.

— W takim razie wy bierzcie się nieco w prawo — radził Jur chytrze. — Ilu was jest?

— Nas sześciu ludzi!

— Ładna historja! dwa razy więcej — pomyślał Sołtysiak. — Cudem chyba wymkniemy się z tej matni.

— A nas pięciu — odparł półgłosem, dając znak towarzyszom, żeby się znajdowali w pogotowiu.

Ledwie skończył te słowa, kiedy z ciemności wyłoniła się głowa brodatego moskiewskiego podoficera.

Kacapowi znać błysnęły orzełki polskie na maciejówkach, gdyż podniósł się na kolana.

Jeszcze jednak nie zdążył się dokładniej rozejrzeć, gdy Jur wpakował mu w gardło swój bagnet.

Moskal runął z jękiem na ziemię.

Jur i jego towarzysze widząc, że nadeszła chwila stanowcza, zerwali się na równe nogi i skoczyli jak tygrysy na leżących o kilka kroków od nich Moskali, którzy nie mogli połapać się w żaden sposób w tem wszystkiem.

Zanim zdążyli pomyśleć o obronie, kolby karabinów ciężko spadły na czaszki.

Jur przygwoździł jednego z przeciwników do ziemi swoim bagnetem. Pozostali przy życiu kacapi, wstawszy, jęli uciekać co sił w kierunku własnych okopów.

Ich okrzyki zwróciły uwagę załogi obu pozycji. Wnet zabłysły reflektory i w ich świetle zabieliły się postacie zmykających.

Nie poznano ich, gdyż z okopów rosyjskich gruchnęło kilka strzałów karabinowych.

Zawtórowały im karabiny austrjackie, które biły w patrol od tyłu. Jur widział, jak z pomiędzy czterech uciekających dwóch zaraz padło a pozostali zdołali dostać się do swoich.

Wszystko odbyło się tak szybko, że nasza trójka ledwie miała czas, korzystając z zamieszania, zrobić kilkadziesiąt kroków w kierunku swoich. I im świsnął mimo uszu z tuzin kul.

— Widły, widły! — huknął Jur — znamy hasło! Dajcie pokój, nie strzelajcie, swoi idą!

To wezwanie poskutkowało. Ogień z pozycji strzeleckich ustał, a Moskale strzelali w dalszym ciągu.

Sołtysiak mimo wszystko pilnował jeńca, który dał się prowadzić jak baran, nie próbując nawet uciekać.

Po chwili patrol znajdował się już wśród swoich. Wycieczka nocna powiodła się znakomicie.

Odprowadzono schwytanego Moskala do sztabu pułkowego, gdzie z niego wydobyto ważne zeznania. Kapitan pochwalił Jura, wysłuchawszy raportu. Sam komendant nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy sołtysiak opowiadał o swoim fortelu wojennym.

— Widzę, nie głupi z ciebie chłop, i można cię wysyłać częściej na zwiady — rzekł kapitan. — Na, masz tu cygaro, będziesz wymieniony w rozkazie dziennym.

Jur odszedł dumny z wyróżnienia. Jeszcze nie zdążył usnąć, kiedy zjawił się Dulęba. Jak się okazało, dzielny kapral istotnie dotarł do okopów moskiewskich, dowiedział się, jakie pułki zajmowały pozycję, jak gęsto kacapi siedzieli w rowach, a nawet wymiarkował, gdzie stała baterja. Były to cenne wiadomości, które sztab nazajutrz potrafił doskonale wykorzystać.

Po tygodniu Dulęba był już sierżantem, a Jur otrzymał pierwszą gwiazdkę na kołnierzu za waleczność i dobre patrolowanie.

ROZDZIAŁ XI.

Karabin maszynowy.

Na wojnie bardziej jeszcze aniżeli w życiu prywatnem „fortuna kołem się toczy“. Dziś jesteś na wozie, jutro pod wozem. Tak też było z naszą trójką i ze strzelcami, w których służyli nasze zuchy.

Po dniach chwały i zwycięstw przyszła godzina ciężkiej próby i klęski.

Było to na samym początku jesieni. Wojska austrjackie, zwyciężane przez olbrzymie siły moskiewskie, zebrały się na nowo, uporządkowały, żeby w połączeniu z armją niemiecką znów pewnem pchnięciem odrzucić przeciwnika. Maszerowano w kierunku Warszawy i strzelcy nasi, tworzący jedno ogniwo potężnego łańcucha, opasującego od zachodu srebrną wstęgę Wisły i stolicę Polski, także brali udział w tym pochodzie.

Kompanja, do której należał pluton Dulęby, kroczyła na czele dywizji austrjackiej szosą, ciągnącą się szarą linją, aż pod same mury Warszawy. Nieprzyjaciel cofał się, ale od czasu do czasu, znalazłszy dogodną dla siebie pozycję, zatrzymał się nagle i tamował pochód kolumnom, które niby długi wąż, pełzały gościńcem.

Zbliżał się wieczór. Pogodny, złoty dzień jesienny ustępował powoli chłodnej, mglistej nocy. Stojące już nisko słoneczko, oświetlało skośnemi promieniami świeżo pozorywane ścierniska, rude kartofliska, pola zieleniejące już młodą runią oziminy, kładąc na nich długie cienie przydrożnych topoli.

Zdala, od strony lasu, dochodziły rzadkie odgłosy wystrzałów działowych; pozatem tonący w powodzi złotego światła widnokrąg nie zdradzał niczem obecności wroga.

Dulęba kroczył wesoło obok młodego oficera, pykając z fajeczki. Za nim, czwórkami, postępowali strzelcy z karabinkami, przewieszanemi przez ramię. Setki nóg miarowo uderzały o szaber na szosie, podnosząc tumany kurzu, który w słońcu wyglądał, jak złota chmura.

Ludzie byli znużeni długim marszem, śmiechy i rozmowy, wszczynane, rwały się jakoś. Oddział wlókł się ociężale, żołnierze myśleli o wieczerzy, o śnie na suchej słomie, gdzie w stodole; nikomu nie była w głowie bitwa.

Aż tu nagle w tej przedwieczornej ciszy gruchnęło kilka strzałów karabinowych z niewielkiej odległości.

Huk podziałał na strudzonych żołnierzy, jak uderzenie biczem na wlokącą się szkapę. Wszyscy podnieśli głowy, dreszcz jakiś przeszedł po oddziale.

— Stój! — zakomenderował oficer.

Żołnierze usłuchali rozkazu chętnie. Jedni stanęli wsparci na lufach karabinów i ziewając, czekali obojętnie, co nastąpi. Inni, korzystając z chwili, usiedli na przydrożnych kamieniach; jeszcze inni wyciągnęli się jak dłudzy na murawie.

— Dlaczego nie odpocząć krzynkę, kiedy się nadarza sposobność ku temu?

Oficer, wyjąwszy szkła, przypatrywał się krzakom, z pomiędzy których padły przed chwilą wystrzały.

— Gdzie oni siedzą i ilu ich może być? — rzucił przez zęby Dulęba, który i bez lornety widział doskonale.

— Ano tam, w olszynce, nad rowem! — bąknął kapral. — Chyba nie więcej od kompanji.

Z powodu tej niespodziewanej przeszkody pułk zatrzymał się a za nim cały ów długi nieskończenie wąż kolumn, znajdujących się w marszu.

Sztab pułku, pod osłoną grupy drzew, zebrał się na naradę; nadszedł rozkaz: Czołowa kompania ma wyprzeć szczupłą, jak się zdawało, straż tylną moskiewską i otworzyć napowrót zamkniętą szosę.

Rozwinięto front i dwustu ludzi rozsypanych w łańcuch strzelecki, nasadziwszy bagnety na lufy karabinów, ruszyło naprzód w kierunku nieprzyjaciela.

Dulęba znajdował się na lewem skrzydle, mając u swojego boku Jura i Stanisława N. — czyli Mura. W drugim szeregu był pan Oleś.

— No, nie posiedzą oni tam długo!—mówił kapral— weźmiem ich na bagnety i wyparujemy wnet. Wiara, naprzód!

Oddział nie potrzebował zachęty! Żołnierze nie strzelając posuwali się szybkim krokiem, nie szukali nawet zasłony, gdyż ogień nieprzyjaciela był rzadki. — Ot, kilkudziesięciu kacapów zasiadło sobie w głębokim rowie! Bagatela!

Zaledwie jednak kompanja posunęła się wzdłuż traktu o staję co najwyżej, kiedy niespodziewanie rozległ się grzechot tak dobrze znany żołnierskiemu uchu: tak... tak... tak...! Równocześnie grad ostro świszczących kulek jął chłostać łańcuch strzelców.

Jeszcze się nikt nie zdążył spostrzec, a już kilku zabitych i kilkunastu rannych leżało na świeżej runi zbożowej.

— Jezus Marja! karabin maszynowy!—jęknął Dulęba.

Łańcuch stanął, jak wryty.

Młody porucznik, prowadzący kompanję do ataku, z lornetą przy oczach starał się wyśledzić miejsce, gdzie ukryto zabójczą maszynę.

Dostrzegł ją wnet.

Karabin stał w rowie przydrożnym. Jego lufa była skierowana tak, że kule raziły ukośnie wzdłuż i wpoprzek szosy.

— Na lewo do rowu! Padnij! — rozległa się komenda.

Żołnierze chłostani niemiłosiernie ołowiem, skwapliwie spełnili rozkaz swego przewodnika.

Wszyscy, hurmem zaczęli biedz w prawo, to w lewo, i za chwilę leżeli w rowie, po przeciwnej stronie, niż ta z której szczekała przeklęta maszyna.

Wnet się jednak okazało, że rów nie dawał bynajmniej dostatecznej ochrony.

Był on tak płytki, że człowiek z największą trudnością mógł się w nim pomieścić.

Żołnierze pokładli się na brzuchach, wyprostowując ciało, żeby jaknajdokładniej przystawało do dna rowu. Nie wiele to jednak pomagało. Kule, wystrzelone poziomo

z odległości co najwyżej stu kroków, szorowały powierzchnią szosy, wzbijały obłoki kurzu i sztrychowały w okropny sposób zagłębienie gruntu, w którem szukali przytułku strzelcy.

Biada temu, który znalazł się w płytszem miejscu! Kula wyrywała mu w plecach bruzdę krwawą, odrywała tylną część czaszki, grzęzła w ramieniu, rozrywała łydkę wzdłuż. Co chwila, ktoś trafiony boleśnie, rzucał się konwulsyjnie w górę, po to, żeby druga kula zakończyła jego cierpienia.

Rozlegały się wzdłuż rowu przekleństwa i jęki.

Położenie kompanji stawało się rozpaczliwe. Nawet Dulęba zamilkł, jak kamień. Każdy starał się przywarować jak najlepiej do ziemi, zakryć głowę jakimś kamieniem, albo nieznaczną grudką.

Wysiłki te jednak były, niestety, daremne. Karabin maszynowy warczał wciąż, jak rozjuszony pies, wyrzucając grad kul, które siekły rozciągnięte ciała, jak straszny, krwawy bicz. Każde jego uderzenie znaczyło śmierć, albo bolesną, okropną ranę.

— Wytłuką nas do ostatniego, bisurmany przeklęte! — syczał Dulęba.

Nie podnosił głowy, bo jeden cal wyżej — to śmierć pewna.

Leżał, jak przykuty. Kule przelatywały tuż nad nim, czuł wyraźnie dotknięcie rozpruwanego przez nie powietrza, równie bolesne jak smagnięcie rózgą.

Czapka jego była przestrzelona w paru miejscach, to samo plecak; Jurowi wyorało bruzdę w gęstych włosach; Mur czuł, że mu plecy krwawią, i paznogciami jak pies, wygrzebywał pod brodą dołek, żeby w nim schować głowę.

Cała kompanja leżała pokotem, rada zapaść się w ziemię, bezsilna wobec tego huraganu ołowiu, przelatującego o parę cali zaledwie nad rozpłaszczonemi ciałami.

Iść do ataku w tych okolicznościach, znaczyło — popełnić samobójstwo bez najmniejszej korzyści; karabin maszynowy położyłby paręset ludzi, zanim by go wzięto szturmem.

Pozostać zaś w tym przeklętym rowie — równało się oddaniu na powolne, ale niezawodne wytępienie.

Co minuta jeden ze strzelców trafiony w głowę, czy w plecy ryczał z bólu, albo, rzuciwszy się w męce, otrzymywał nową kulę, która go dobijała.

Dulęba, leżąc obok porucznika, nie tracił jednak przytomności umysłu.

— Przecież nie pozwolimy się tak wyrznąć, jak te barany!—mówił nie podnosząc głowy.—Co robić? panie poruczniku?

— Pójdę w kilku na ochotnika na tę podłą maszynę. Może nam się uda zdusić gada w jego gnieździe.

— Padniecie, zanim zrobicie dziesięć kroków, — odparł dowódzca kompanji.

— Więc cóż robić?

— Ano nic. Czekać, aż nasza artylerja uciszy ten karabin. Słyszysz Dulęba, już w niego walić zaczynają!

Istotnie, na szosę padło parę granatów i pękło niedaleko naszych strzelców, z suchym łoskotem.

Widocznie jednak nie trafiły w cel, bo karabin maszynowy terkotał dalej bez przerwy; nawet pluł gorącej ołowiem, aniżeli przedtem.

— Przekleństwo! wyginiemy wszyscy, jeżeli go nie uciszą!—jęczał porucznik.

Nie zważając na niebezpieczeństwo, zerwał się na chwilę, żeby rzucić okiem na swoją kompanję.

To co widział, było okropnem. Ze czterdziestu rannych i z tuzin zabitych w ciągu dziesięciu minut — oto krwawy wynik pracy djabelskiej machiny.

Co chwila jednak przybywała nowa ofiara.

— Dalibóg, nie wytrzymam dłużej!—mruczał Dulęba—a ty, Jur?—Sołtysiak ostrożnie odwrócił głowę od kaprala.

— Pewnie, że to do niczego czekać tak bezczynnie na swoją kolejkę—odparł Kurek.—Jak ma co być, to niech ta zaraz się stanie. Ja tam wolę iść do nich.

— I ja—odezwał się pan Oleś, który dość bezpiecznie leżał za swoim kamieniem.

— Na kacapów przeklętych; dalej, i ja!

Wszyscy byli zdecydowani na ten szalony atak; woleli szybką śmierć, niż to powolne oczekiwanie i patrzenie jej w oczy.

— Ja pierwszy! — rzekł Dulęba. — Ty drugi za mną się czołgaj—jeżeli mnie ubiją, nie zważaj na to i wal dalej.

— Nie będę na nic baczył, byle ich w dziurze przycupić—odparł Jur.

I zaczęli się oba, napodobieństwo wężów, czołgać dnem rowu z największą trudnością wymijając leżących towarzyszy rannych i zabitych.

Dulęba wnet otrzymał bolesne draśnięcie kulą, lecz nie zważał na nic.

Korzystając z każdej, najmniejszej grudki ziemi, ochotnicy posuwali się wzdłuż rowu.

Nieprzyjaciel nie dostrzegł ich w zapadających ciemnościach, gdyż pociski orały jak przedtem szosę, naprzeciw kompanji strzelców. Inaczej byłby na nich przedewszystkiem skierował swój niszczący ogień.

— Dojdziem, czy nie dojdziem?!

To pytanie, jak żelazny rozpalony do czerwoności gwóźdź, tkwiło w mózgu Jura, który wlókł za sobą karabin za koniec lufy, gotując się do śmiertelnego ataku.

Po nadludzkich ostrożnościach i wysiłkach trzej strzelcy znaleźli się akuratnie naprzeciw karabinu maszynowego. Dzieliła ich od przeklętego narzędzia zniszczenia przestrzeń co najwyżej dziesięciu kroków.

Słyszeli już wyraźnie rozmowę żołnierzy rosyj-

skich, obsługujących kartaczownicę, rozkazy podoficera, wołającego o świeżą skrzynkę z nabojami, które połączone we wstęgę, znikały szybko w gardzieli karabinu; widzieli słup pary, unoszącej się z osłony na lufie blaszanej, wypełnionej wodą, która wrzała od gorąca szybko po sobie następujących wystrzałów.

W tem miejscu niebezpieczeństwo było podwójnie wielkie, gdyż w sąsiedztwie karabinu maszynowego coraz gęściej padały pociski austrjackie. Jak dotąd jednak żaden granat nie trafił, bo pies wojenny szczekał ciągle hau, hau, hau! a każde jego szczeknięcie to śmierć albo rana.

Dulęba zatrzymał się i dał znak towarzyszom.

— W nich! Hura! Niech żyje Polska! — wrzasnął głosem potężnym, który zagłuszył na chwilę grzechot kartaczownicy. Zerwał się na równe nogi i, trzymając swój karabin za koniec lufy, rzucił się zapamiętale naprzód.

Jur i pan Oleś powtórzyli ten okrzyk i wszyscy trzej wyskoczyli z rowu na szosę.

W tej chwili ujrzeli wroga śmiertelnego o kilka kroków zaledwie od siebie. Czterech żołnierzy leżało w rowie, obok kartaczownicy. Jeden z nich, ukryty za pancerzem karabinu, przez strzelnicę kierował ogniem i był tak zajęty, że nawet nie odwrócił się;—drugi kręcił korbką, wprawiającą w ruch mechanizm, trzeci wyjmował właśnie świeżą wstęgę z ładunkami; czwarty—podoficer spostrzegł jednak wyskakujących z rowu przeciwległego strzelców i zerwał się na równe nogi.

Dulęba podbiegł ku niemu, zamierzył się kolbą, a Jur gotował się utopić bagnet w plecach strzelającego. Pan Oleś zaś w żołnierzu, czuwającym przy skrzynce. Zwycięstwo uśmiechało się im.

Nagle jednak z rowu, jak żmije, wysadziły gardła lufy karabinowe. Huknęło kilka strzałów naraz. Dulęba zachwiał się i runął jak kłoda. Jur poczuł piekące ude-

rzenie w piersi; zrobiło mu się słabo, padł na kolana, i zachwiał się. W oczach zamroczyło mu się. Walczył chwilę z niemocą, ale wnet krwią własną oblany — legł na szosie.

Kompanja strzelców w owem spotkaniu z karabinem maszynowym poniosła dotkliwą klęskę: ze stu trzydziestu ludzi zginęło trzydziestu paru, a przeszło czterdziestu otrzymało mniej lub bardziej dotkliwe poranienia.

Pomiędzy walecznymi, którzy polegli, znajdował się, niestety, sierżant Dulęba, który śpi snem wiecznym pod brzozą płaczącą, niedaleko miejsca, gdzie zginął w zuchwałym ataku na piekielną maszynę. Zgon jego okrył żałobą cały pułk, któż bowiem nie kochał poczciwego, dzielnego, zawsze wesołego, nigdy nie tracącego ducha Dulęby? Ale nie jego jednego opłakiwano w pułku.

Jur omal także nie przypłacił życiem swego poświęcenia.

Otrzymał bowiem w same piersi aż dwie kule karabinowe, które przeszyły mu płuca na wylot.

Gdyby nie to, że w parę minut potem udało się trafnym strzałem zmusić do milczenia zabójczy karabin maszynowy, ranni pomarliby z upływu krwi. Na szczęście sołtysiak w porę został podźwignięty z pola walki i odniesiony do szpitala, gdzie przez kilka tygodni walczył ze śmiercią.

Młodość, zdrowie i energja przemogły rany. Po miesiącu Jur dźwignął się z łoża boleści, ale tak osłabiony, że musiano go odesłać na dłuższy wypoczynek.

Przez ten czas wiele zmieniło się na placu boju.

Jur dowiedział się, że z jego rodzinnej wioski Moskale ustąpili; postanowił więc swój przymusowy urlop spędzić w zagrodzie ojczystej. Tęskno mu było do starej matki, do sióstr, do ojca, który pewnie znajdował się w niełada kłopotach.

Na żydowskiej bryczce, zaprzężonej w kulawego ko-

nia, ciągnął się Jur do Rozdołów, gdzie nie był od paru miesięcy.

Zima okryła przez ten czas pola białym całunem śniegu, z pod którego wyglądały smutne szczątki spalonych wiosek.

Wojna kroczyła tędy z żagwią w krwawej dłoni, pełno było wszędy jej śladów. Pola zaorane wyrwami od pocisków, drzewa potrzaskane od granatów wyciągały ku niebu z rozpaczą swe obnażone gałęzie. Czarne kominy chałup zniszczonych sterczały w chmurne niebo. Z każdego kąta wiał smutek i przygnębienie.

Znalazłszy się na drodze nad rzeczką, gdzie czekał przed paru miesiącami na pana Olesia, Jur ujrzał chałupę swojej narzeczonej; serce zabiło mu w piersi żywiej. Dotknął palcem furmana w zatłuszczone, wyświechtane plecy, i kazał się zatrzymać.

Ale w chacie nie było żywego ducha. Zajrzał po przez wyrwane z zawias drzwi, popatrzył na połamane sprzęty, na nagie ściany, i pokiwał głową.

Nie śmiał poprostu pytać, co się z nią stało. Zdjęty złemi przeczuciami, powlókł się pieszo do zagrody Kurkowej, odprawiwszy woźnicę; wolał być sam w tej smutnej chwili.

Wlókł się wolno, sobie znajomemi ścieżkami.

Nareszcie ujrzał zagrodę ojcowską.

Dom stał wprawdzie cały, ale jakoś w te kilka miesięcy podstarzał się, podupadł, jak człowiek po ciężkiej chorobie.

W podwórzu panowała głucha cisza. Otwarte wrota od obórki jednym rzutem oka pozwoliły przekonać się przybyszowi, że nie ma w niej ani jednej sztuki bydła. W stajence rżał głodny, i wychudzony koń. Na podwórzu wałęsała się jakaś zmizerowana kura i chudy prosiak. Kurek zatrzymał się u drzwi, huknął: „Jest tam kto?“

Narazie nikt mu nie odpowiedział. Zastukał więc.

Po dobrym pacierzu posłyszał wreszcie jakieś stukanie w chałupie, jakby laską o podłogę.

Serce zadygotało mu w piersi.

— Matka! Pewnie chora, nieboractwo!—pomyślał sobie.

Ale zamiast pożółkłej twarzy matczynej, we drzwiach ukazała się głowa męska. Jur patrzał na tego człowieka, bez nogi, wpartego na kuli, zgarbionego, nie mogąc go na razie poznać.

— A czego to?—zagadnął kaleka, zmierzywszy podejrzliwem spojrzeniem przybysza.

Teraz dopiero Jur poznał najstarszego brata po głosie i cofnął się przerażony.

— Bój się Boga! To ty?

— Jur!—zawołał beznogi, równie zdziwiony i przerażony.

Patrzyli tak jeden na drugiego: Jur z trudnością rozeznał w tym steranym człowieku kwitnącego niedawno zdrowiem najstarszego brata, ten zaś ledwie też poznał Jurka w bladej, wychudzonej długą chorobą postaci, która tak niespodziewanie zjawiła mu się przed oczyma.

— A starzy gdzie?—zagadnął wreszcie Jur.

Kaleka machnął ręką.

— Poszli.

— Dokąd-że?

— A z wojskiem.

— Z jakiem wojskiem?

— No rozumie się z naszymi. Siostry też. Kto żył poszedł.

— Po co? dokąd?—pytał Jur.

Kaleka wzruszył ramionami.

— Kazali iść wszystkim, to i poszli,—odparł siadając na zydlu.—I tak nie ma czego pilnować. We wsi połowa chałup zgorzała, bitwa była tuż.

— A gdzie oni teraz?

— Bóg ich tam raczy wiedzieć. Czy to oni jedni

poszli? Prawie wszystkie wsie w okolicy pustkami stoją. Teraz tu Niemcy siedzą, to i żadnej wiadomości stamtąd nie masz.

— No a ty? Gdzieżeś to nogę stracił?

— Kula kość zmiażdżyła i doktorzy w szpitalu ucięli. Potem do domu wracać kazali. No i siedzę.

— Order dostałeś?—zauważył Jur, wskazując na srebrny krzyż świecący na piersiach brata.

Ten uśmiechnął się gorzko.

— To niby za tę nogę, — odparł. — No i trzy ruble na miesiąc pensji miałem pobierać. Alem grosza dotąd nie widział.

— Carska łaska—rzekł Jur.

Złe słowo wydarło się kalece z piersi. Klął cara, wojnę, swoją głupotę. Nie darował i ojcu.

— Dałbyś spokój staremu!—oburzył się Jur.

— Nie dam! Bez winy nie jest! Kto nas do wojska carskiego pędził? Kto na tę przeklętą wojnę wszystkich wysyłał? No i ma teraz czego chciał! Ja kaleka. Michał ziemię gryzie...

— Michał poległ!—jęknął Jur.

— A poległ. Siostry się pomarnowały, gospodarstwo też... Masz psie, kość, za wierną służbę, a bodajeś się nią udławił!

Jur słuchał tych druzgocących wieści, które waliły weń jak obuchem.

— Da Bóg wrócą. Weźmy się tymczasem obaj do pracy... Ojcowiznę uratujemy,—pocieszał brata.

— Zostaniesz?

— Póki się nie poprawię nieco.

— A potem?

— Do swoich wracam,—odparł Jur wskazując na białego orzełka u czapki.

Kaleka milczał przez chwilę, potem wyciągnął dłoń i uścisnął bratu prawicę...

Kiwał głową potakująco. I jego wzrok spoczął na białym orzełku, błyskając ogniem, jak ten metal.

— Poszlibyśmy razem, — tłómaczył się kaleka, — ale widzisz... Nie mogę... — wskazał ręką na nogę ruchem w którym przebijał się żal.

Jurkowi łzy rozczulenia zakręciły się w oczach. Ujął w ramiona brata. Teraz serca ich zespoliły się w jednem, wielkiem, wspólnem ukochaniu.

Nigdy bracia nie czuli się tak bliscy sobie, jak w tej chwili.

KONIEC.

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096412936